

De. II 1.

TOM CCLXXXV.

ROK 72.

ZESZYT 855.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

M A R Z E C.

1912.

TOM I.—ZESZYT 3.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—
1912.

TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str.</i>
1. JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI,—przez <i>Bronisława Chlebowskiego</i> . . .	409
2. WSPOMNIENIA Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI, — przez <i>Henryka Wiercińskiego</i>	443
3. PRZYSIĘGA KOŚCIUSZKI,—przez <i>Szymona Askenazego</i>	477
4. NIEZNANY POEMAT POLSKI Z WIEKU XVII, — przez <i>Romana Pollaka</i>	492
5. METODY W ESTETYCE,—przez <i>Michała Sobeskiego</i>	540
6. BIGNON I SPRAWA POLSKA PO r. 1831, — przez <i>Marcelego Handełsmiana</i>	550
7. PIŚMIENICTWO:	
HENRYK SIENKIEWICZ: „W pustyni i w puszczy,“ — przez <i>Henryka Gallego</i>	582
MARCELI HANDELSMAN: „Pamiętnik Jana Olrycha Szanieckiego,“ — przez <i>d-ra Żeliszława Grotowskiego</i>	585
ARTUR HAUSNER: „Odrodzenie Galicyi a drogi wodne,“—przez <i>Wacława Dunina</i>	590
8. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Sprawa biskupa i jej następstwa.—Trzy wzmianki prawodawcze Koła Polskiego.—Pomniejszyciele olbrzymów.—O stanowisko Koła Polskiego w parlamencie niemieckim.—Huberband jako imię i zjawisko pospolite w dziejach naszej bankowości	591
9. WSPOMNIENIA POZGONNE:	
b. p. Leopold Meyet i ś. p. Jadwiga Kraushałowa,—przez <i>L. W.</i> . . .	602
10. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	605



De II. 1.

Józef Ignacy Kraszewski

1812—1912

(Stanowisko Kraszewskiego w literaturze i życiu społeczeństwa).

Zaledwie ćwierć wieku dzieli nas od zgonu najpopularniejszego i najplodniejszego pisarza jakiego dotąd wydało nasze społeczeństwo. Trzydzieści trzy lat upłynęło dopiero od złożonego mu w r. 1879, na pamiętnych uroczystościach krakowskich pięćdziesięcioletniego jubileuszu, hołdu wdzięczności i miłości przez kilkanaście tysięcy przybyłych w tym celu przedstawicieli wszystkich dzielnic i kolonii polskich, wszystkich warstw, kół i grup społecznych. Żaden z największych naszych pisarzy nie doczekał się podobnego uznania za życia, a bardzo nieliczni z wielkich u innych narodów mogliby się poszczycić równie gorącym i wspianym uczczeniem ich zasług.

A jednakże przez tę ćwierć wieku, prócz poważnego, choć nie wyczerpującego przedmiotu „Zarysu“ Chmielowskiego (Kraków 1888), opracowanego w pierwszej, lepiej wykończonej połowie, już w r. 1878 (z okazji jubileuszu), nie ukazało się dotąd żadne poważniejsze studium, poświęcone tak bogatej i różnostronnej działalności Kraszewskiego. Rozpoczęte w ostatnich latach jego życia zbiorowe wydania dzieł (we Lwowie i Warszawie) przestały wychodzić z powodu słabego poparcia ze strony publiczności i z wyjątkiem cyklu „Powieści historycznych“, rozchodzącego się dotąd, dzięki taniej cenie, wśród czytelników z kół ludowych przeważnie, utwory głośnego tak niedawno pisarza znikły ze stołów księgarskich, półek czytelnicy, wobec obojętności współczesnej inteligencji, nie znajdujących w nich zadowolenia swych ideowych i artystycznych upodobań i dążeń chwili, ani też wiecznotrwałego piękna i prawdy, dających nieśmiertelną wartość wielkim dziełom.

Tego zobojętnienia, tego zapomnienia niemal ogółu o tak popularnym i czczonym niedawno pisarzu, nie można uważać za sąd potomności, za wyrok, odbierający wartość jego olbrzymiej produkcji literackiej. Podobne koleje przechodziła puścizna wielu bardzo znakomitych autorów i artystów. Bogactwo zjawisk współczesnego życia, rosnącej z coraz większą intensywnością różnostronnej działalności i twórczości ludzkiej, wywołuje wszędzie takie same skwapliwe interesowanie się i zapalanie nowościami chwili, a odwracanie się, zapominanie o sprawach i zabytkach świeżej przeszłości. Bibliografom, krytykom, historykom literatury zostawia się trud rejestrowania, klasyfikowania i wybierania tej rosnącej z każdym rokiem produkcji i podsuwania uwadze ogółu tego, co należy wyłączyć od zagłady, ochronić od zapomnienia i wprowadzić w obieg nanowo.

Stulecia urodzin czy zgonów, których święcenie staje się obyczajem powszechnym, jako wyraz rosnącego w duszach obowiązku pamięci o zmarłych a zasłużonych ogółowi mężach, pobudzają i zniewalają do rozpatrywania ponownego ich działalności, wartości pozostałej spuścizny, rewizji dotychczasowych sądów. W związku z tymi obchodami zostają zwykle podejmowane nowe, poprawne wydania dzieł, prace biograficzne, krytyczne, odświeżające w duszach współczesnych osobistość pisarza, jego dzieła i zasługi. Zgodnie z wielką ideą „Dziadów“, żywi przynoszą swym zasłużonym przodkom należny im hołd pamięci, wdzięczności, miłości, a od nich otrzymują wzamian odśloniętą w ich dziełach mądrość i piękność.

Na tem polega moralna, religijna ważność i doniosłość obchodów jubileuszowych. Bez tego stają się one sztywną, martwą i nudną ceremonią.

Rozpatrzenie i przypomnienie, w treściwym naturalnie zarysie, znamion olbrzymiej, a tak różnokierunkowej działalności literackiej, kulturalnej i społecznej Kraszewskiego, trwającej bez mała lat sześćdziesiąt (1830—1887), odśloni nam przymgloną, dla dzisiejszego pokolenia, postać niez mordowanego pracownika, pozwoli oświetlić doniosłość, społeczną przedewszystkiem, dokonanego przezeń dzieła i znaczenie pozostawionej nam spuścizny. Akt należnego od nas hołdu przynieść zarazem może i powinien uświadomienie co do wartości i użyteczności zdumiewającej, przerażającej nawet rozmiarami swemi produkcji piśmienniczej tego nauczyciela i wychowawcy społeczeństwa w ciężkiej epoce jego istnienia.

I.

Niezwykła, wyjątkowa rola, jaką literatura odgrywa w naszym życiu po utracie bytu politycznego, rozpoczyna się dopiero od katastrofy r. 1831.

Po ostatnim rozbiorze życie narodowe znajdowało jeszcze swój wyraz w działalności legionów, pułków Księstwa Warszawskiego i wiążących się z nimi nadziejach, a jednocześnie w pracy kulturalnej, wspartej na pozostawionych w kraju pod panowaniem rosyjskiem dawnych instytucjach (szkoły, sądy, urzędy) i nowo zorganizowanych, jak: Towarzystwo Przyjaciół Nauk, uniwersytet wileński, liceum krzemienieckie, stowarzyszenia rozmaite. Piętnastoletni samorząd Królestwa Polskiego spotęgował pracę kulturalną i otworzył pole dla działalności politycznej. Rozkwit pracy naukowej i literatury w Warszawie, Wilnie i Krzemieńcu był naturalnym objawem, wynikiem a zarazem potężnym czynnikiem pracy oświatowej i życia narodowego, znajdującego teraz przyjaźniejsze warunki rozwoju. Rok 1831, gasząc to życie, niszcząc te liczne warsztaty pracy, krępując surowością ciągłego stanu wojennego czy wyjątkowego wszelką działalność społeczną, sprowadził nietylko dla obszarów, zostających pod panowaniem Rosyi, ale i dla innych dzielnic polskich, znajdujących w Królestwie Kongresowem ognisko życia narodowego i duchowego, klęskę, której następstwem był wzrastający ucisk polskości przez solidaryzujące się z Rosyą i ulegające jej wpływowi rządu: austriacki i pruski. Emigracya, oddalając od kraju najlepsze siły duchowe, najgorętsze serca, najżywsze inteligencye, uniemożliwiła im udział w pracy kulturalnej i życiu narodowym, które znajdzie się teraz w ciężkich nadzwyczaj warunkach, zarówno wskutek skrępowań, paraliżujących wszelkie śmielsze, poważniejsze zamierzenia, jak i dla braku pracowników chętnych i uzdolnionych. Życie emigracyi znowu, rozwijając się zdala od kraju, pod wpływem prądów duchowych, społecznych dążeń, spraw i interesów politycznych Zachodu, a jednocześnie przy oddziaływaniu przygnębiającem tęsknoty, ciężkich warunków materialnych bytu, zacieraniu się w umysłach świadomości rzeczywistego stanu rzeczy w oddalonej a cierpiącej tak ojczyźnie, wytwarzaniu wizji anhelistycznych czy przedświtowych, traci coraz bardziej związek z interesami i potrzebami społeczeństwa, na które jednak nie przestaje oddziaływać, czarując i upajając je wieszczym majestatem i wieszczą zagadkowością dzieł pisarzy emigracyjnych, rozwija-

jących idee mesyanistyczne i doktryny polityczne. Nizki stopień kultury umysłowej w pozbawionych wyższych szkół dzielnicach polskich uniemożliwiał zrozumienie należyte i ocenę przenikających ukradkiem do kraju utworów, odczytywanych z czcią religijną, odurzających, podniecających, lecz nie dających wskazań odpowiednich warunkom bytu, środkom i siłom realnym.

Życie duchowe narodu rozpadło się teraz na dwie różne, oddalone od siebie i odrębnie rozwijające się sfery. Rozkwit wielkiej poezji na emigracji nie był wyrazem wzrostu pracy narodowej, nie wynikał z bogatej działalności kulturalnej, lecz przede wszystkim wypłynął z cierpienia, męki moralnej społeczeństwa, bólów rozłączonej a nie mogącej zespolić się z niem „duży”. Dzieje ludzkości nie ukazują nam drugiego podobnego zjawiska. Literatura, głównie poezya, staje się teraz dla narodu polskiego głównym, jedynym niemal wyrazem jego życia, jego protestem wobec świata i stwierdzeniem prawa do bytu i udziału w życiu duchowym ludzkości. Jednocześnie jednak z tym wzrostem jej znaczenia i bogactwa wytwarza się rozdwojenie na dwie słabo ze sobą powiązane sfery: literatury emigracyjnej, obejmującej prawie cały rozkwit wielkiej poezji, i krajowej, będącej wyrazem ciężkich warunków życia kulturalnego i narodowego na ziemiach polskich. Wielkie idee i zadania, głoszone przez genialnych pisarzy w literaturze emigracyjnej, zostają w rażącym przeciwieństwie z ubóstwem gruntu duchowego, wyjałowionego w kraju przez zgaszenie ognisk oświaty i skrzepowanie wszelkiej zbiorowej działalności.

Wpływ literatury emigracyjnej, dostającej się z trudem do kraju, strzeżonego pilnie przez policję i cenzurę trzech rządów, podniecając młode, wrażliwe dusze, nęci je do szukania w tułaczem życiu swobody, koniecznej dla twórczości i pracy narodowej, a często też prowadzi na przymusowy pobyt za Uralem. Tym sposobem społeczeństwo ubożeje kulturalnie.

Nielicznym jedynie powiedzie się, w tak ciężkich stosunkach, spełnić trudne posłannictwo szerzenia światła i ciepła uczuć, budzenia życia duchowego, krzepienia serc i sumień w społeczeństwie, wychowaniem w ubogich i ku jego wynarodowieniu przeważnie zmierzających szkołach, zmuszonego następnie żyć w warunkach, pobudzających do zaspokajania swobodnego tylko najniższych potrzeb i popędów, umożliwiających jedynie dążenia ku realizacji nielicznych celów i zadań życiowych.

W takiej dusznej, przygnębiającej atmosferze odbywała się działalność literacka i służba społeczna Kraszewskiego, stanowią-

ca główną jego zasługę, stawiająca go w rzędzie tych nielicznych wielkich pracowników, których gorliwości, wytrwałości, pobudzającemu oddziaływaniu zawdzięczamy podtrzymanie życia duchowego i wyższego stopnia kultury wśród najnieprzyjaźniejszych warunków. Znaczenie Kraszewskiego, jako pisarza, wartość literacka jego olbrzymiej ilościowo produkcji, nie dorównywa bynajmniej doniosłości jego wpływu oświatowego, wartości jego pracy kulturalnej, jego oddziaływania wychowawczego. By należycie uczcić w tym roku jubileuszowym niespożyte zasługi społeczne tego olbrzyma pracy, należy z powyższego stanowiska rozpatrzyć jego działalność.

II.

Mazur ze krwi, płynącej w jego przodkach z linii ojcowskiej, podlasiak przez matkę i wpływy lat dziecięcych, spędzonych w Romanowie, Litwin przez miejsce zamieszkania rodziców (Dołhe, około Prużany) i wpływy studyów dłuższego pobytu w Wilnie, wołyniak przez zespolenie się z życiem tej prowincyi w ciągu wieloletniego zamieszkania w charakterze ziemianina i działacza społecznego, wreszcie warszawianin z urodzenia i późniejszych coraz ściślejszych stosunków z tem ogniskiem polskiem, w którem założy wreszcie na czas pewien stały warsztat pracy i pole działalności, przez samo zespolenie w swej krwi i duszy tak różnorodnych wpływów, nawiązanie w ruchliwym życiu rozległych stosunków, nagromadzenie wrażeń, obserwacji, wiadomości—uzdolnił się Kraszewski do swej przyszłej działalności literackiej i pracy kulturalnej, obejmującej przedewszystkiem cały obszar ziem polskich w obrębie państwa rosyjskiego. Edukacya szkolna, odbywana dość nieporządnie w Białej, Lublinie, Swistoczy i Wilnie (przeważnie po zamknięciu uniwersytetu, w utworzonych wtedy akademiach duchownej i lekarskiej), zaopatrzyła przyszłego pisarza w zasób wiadomości i pojęć z zakresu filozoficzno-literackiego. Filozofia, historia, nauki ścisłe, w ciasnym bardzo udzielane zakresie, zarówno w średnich, jak wyższych szkołach, nie dostarczały umysłowi podstaw głębszego i szerszego pojmowania zjawisk świata ludzkiego i przyrody. Uzdolnienia artystyczne młodzieńca: literackie, malarskie i muzyczne, nie znalazły w zasobach umysłowych, w sile uczuć wrażliwego i chwiejnego w sądach i czynach ducha, bodźców i czynników rozwoju, pozwa-

lających osiągnąć wyższe stopnie piękna w wypowiedaniach się i odbiciach stanów wewnętrznych, w odtwarzaniu świata otaczającego. Wszystkie te właściwości wychowania, kolei życiowych, zasobów i zdolności duchowych, zbliżyły Kraszewskiego umysłowo i moralnie ze społeczeństwem, wśród którego i dla którego rozpoczął on działalność w chwili właśnie, gdy katastrofa roku 1831 wytworzyła scharakteryzowane powyżej ciężkie warunki bytu i ścieśniła do ostatecznych granic zakres i środki pracy kulturalnej.

Rzecz naturalna, iż młody pisarz nie odrazu uświadomił sobie swe zadania, swój stosunek do społeczeństwa, formy i kierunku działalności. Pierwsze utwory, ogłaszane (1830—1834) pod pseudonimem Kleofasa Pasternaka, są właściwie próbami uzdolnień literackich, zbiorcami grubo i karykaturalnie kreślonych postaci i scen z życia współczesnego (świat małomiasteczkowy) i przeszłości. Jaskrawość rysów w charakterystyce nienawiści walk wyznaniowych w Wilnie za Zygmunta III, w powieści „Kościół ś-to Michalski“ (1833), wywołała tak wielkie zgorszenie u czytelników i krytyków, iż młody autor zmuszony był w „Tygodniku petersburskim“ (1833, № 8) upewniać, że w przyszłości nie będzie brał za przedmiot swych utworów waśni religijnych. Nie zrażony tem, pełen zapału do pracy literackiej, w której widział główne zadanie swego życia, drogę do sławy, jaką spodziewa się (już w r. 1833) zdobyć napisaniem „dwustu“ tomów, występuje śmiało do walki z wadami otoczenia, malując w „Czterech weselach“ dosadnie ciemnotę i marność moralną obywateli ziemskich, chciwość i ograniczenie umysłowe księży, zmysłowość kobiet. Z młodzieńczą śmiałością i pewnością własnej wyższości, z ironicznym uśmiechem mentora, przejętego ideami wieku oświeconego, przemawia w gawędzie „O kaszy gryczanej“ do ówczesnych hreczkosiejów polskich, „co urodziwszy się w gryce, pożywacie ją całe życie... i nie umiecie myśleć o czem innem, jak o kaszy.“ Martwota i poziomość życia realnego wywołuje w niemającym stałych zajęć obowiązkowych a szukającym pokarmu dla wyobraźni młodzieńcu, zamiłowanie fantastyczności. Choć niedawno jeszcze, w pierwszych swych pismach, szydził z romantycznych uniesień, uwielbia teraz utwory Hofmana i Jean Paul'a Rychtera i zaczyna sam tworzyć powieści fantastyczne, jak: „Pan Karol“ (1833), którego pierwotny tytuł brzmiał „Trupia główka“. W liście do matki określał ten utwór młody autor, jako: „conception burlesque, sentimentale, romantique, infernale“.

Rozwijająca się uczuciowość znajdzie bodziec w miłości dla poznanej w r. 1835 (poślubionej zaś w r. 1838) panny Zofii Woroniczówny, a wzory i podmiotę do wypowiedzania się—w utworach współczesnych poetów: Mickiewicza i po części Zaleskiego. Trzecia część „Dziadów“ znaną jest Kraszewskiemu niezadługo po jej ogłoszeniu. Obok prób kompozycyi muzycznych, mających znaczenie jedynie jako wyraz muzykalności młodzieńca, zjawia się teraz cały szereg lirycznych wypowiedzeń się w formie pieśni, fantazyi i t. p., odbijających zarówno spokojną uczuciowość miękkiej duszy, jak wrażliwość na piękno wielkich dzieł poezyi i zdolność odtworzenia tego piękna, jak o tem świadczy np. w fantazyi „Szatan i kobieta“ udatna kopia „Widzenia Ewy“ z „Dziadów“ drezdeńskich. Odbicie wpływu Mickiewicza spotykamy też w zręcznym tak drobiazgu, jak „Dziad i baba“ i bajkach. Można by się domyślać jedynie—bo świadectw wyraźnych niema—iż z młodzieńczą bezwzględnością, stanowczością i werwą skreślona krytyka współczesnej cywilizacyi, zwłaszcza francuskiej, w „Tygodniku petersburskim“ („Asmodeusz w r. 1837“), miała swe źródło i pobudkę w sądach „Ksiąg pielgrzymstwa“ i pokrewnem z tymi poglądami, szerzącym się wśród młodzieży polskiej we Lwowie i Warszawie przekonaniu o wyższości rodzinnej kultury a zarazem Słowiańszczyzny całej nad starzejącym się i upadającym światem romańskim i germańskim.

Głoszona w „Romantyczności“ i wypowiedzeniach się Gustawa potęga uczucia, wyższość dusz czujących, którym odsłaniają się prawdy, jakich przyroda „żadnemu księdzu ni mędrcom nie wyzna“, przedstawiała się teraz młodemu pisarzowi, jako zasada ponętna i prawdziwa, bo harmonizująca z nastrojem duszy, w której myśl, nie osiągnąwszy wyższych stopni rozwoju przez studia systematyczne, nie zdobywszy w dorywczej lekturze samouka syntezy, ustalającej stanowisko względem świata zjawisk i ujmującej w całość systemu te zjawiska—chętnie poddawała się pod kierunek fał uczuciowych, które, choć dość słabe, dawały duszy oparcie przez związek z uczuciami ogółu, przez harmonię z tradycjami, wierzeniami przeszłości. Stąd wynikła ta charakterystyczna zawistość Kraszewskiego, jako człowieka i pisarza, od prądów i stanów uczuciowych otoczenia; na tem również opiera się także jego popularność.

Nim jednak ten związek uczuciowy z ogółem ustali się, dojdzie do harmonii, przy stopniowem wzmaganiu się uczuciowości w społeczeństwie, zwłaszcza w świecie kobiecym i młodszym, nadrastającym pokoleniu męskim, karmiącym się tworam i współ-

czesnej wielkiej poezyi, młody pisarz, czujący się obecnie poetą, odtworzy z naturalną w takich położeniach egzaltacją młodzieńczą przeżyte świeżo i na innych obserwowane kolizye marzyciela z otoczeniem, w głośniejszej powieści: „Świat i poeta“ (ogłoszona w r. 1839, napisana wcześniej, zapewne w r. 1837). Podczas gdy nieszczęśliwy kochanek Maryli przeciwstawia niezdolnemu zrozumieć go obojętnemu, szyderczemu światu całą potęgę płomiennego uczucia, całą prawdę rozdzierającego serce bólu i rozpacz, a wreszcie w „godzinie przestrogi“ całe piękno i doniosłość moralną odśloniętej mu i uspokajającej go prawdy, to, przypominający go imieniem, bohater powieści Kraszewskiego na usprawiedliwienie swych pretensyi do nierozumiejącego i nieuznającego w nim wyższości świata może powołać się tylko na swą wrażliwość, swe marzycielstwo, w dość ciasnych granicach zawarte, swą nieznaną jomość ludzi i życia, sprowadzającą mu zawody w niedobrych małżeństwach. Dysharmonia rażąca, dzisiejszego czytelnika zwłaszcza, między pretensjami i skargami bohatera, poza którym stoi współczujący im i wypowiadający w nich własne przeważnie przeżycia autor, a jaskrawo i tendencyjnie skreślona ujemną charakterystyką przeciwstawionemu mu „Świata“—świadczy o niedojrzałości artystycznej i moralnej głośniego już wtedy i cenionego przez krytykę (Tyszyński, Grabowski, Edmund Wasilewski) pisarza. Rażącym dysonansem myślowym i artystycznym są również porozmieszczane nad wszystkimi rozdziałami powieści motto, wybrane wyłącznie z utworów Kochanowskiego, tak dalekiego przecież uczuciowością i pojęciami od bohatera romansu. Mimo to, utwór ten powabem, wymową protestu uczuciowego przeciw martwocie, poziomości i zinateryalizowaniu życia pociągał lepsze, żywiej czujące dusze i znalazł życzliwe przyjęcie w kraju i poza jego granicami, zwłaszcza w literaturze czeskiej i rosyjskiej.

Przez ożenienie i osiedlenie się w Gródku pod Łuckiem wszedł Kraszewski w bliższe stosunki z ziemiaństwem wołyńskim, a jednocześnie i z ludem wiejskim tych stron. Rozgłos, pozyskany przez dotychczasową twórczość, współpracownictwo w „Tygodniku petersburskim“, głównym organie ubogiego, zacieśnionego tak życia duchowego prowincyi litewsko-ruskich po r. 1831, zbliżyły go z grupą przedstawicieli i kierowników tego życia, wyznającą i głoszącą jedynie możliwe w ówczesnych warunkach i do pewnego stopnia usprawiedliwione następstwami r. 1831, pojęcia i dążności zachowawcze i katolickie.

Zarówno życzliwe przyjęcie, jakie znalazły w tem kole utwory Kraszewskiego, jak powaga, jaką pozyskała u ogółu ta wpły-

wowa grupa, jak wreszcie stanowczość i energia, z jaką głoszą ci ludzie swe pojęcia zachowawcze, głębokość i szczerłość uczuć i wierzeń katolickich u stojącego zdala od grupy „Tygodnika“, lecz zbliżonego z Kraszewskim, księdza Chołoniewskiego, budziela życia religijnego na Podolu, oddziałała na młodego pisarza, potrzebującego oparcia w przekonaniach i uczuciach chwiejnych.

Cała energia moralna wyraża się u Kraszewskiego niestłabnym nigdy, przeciwnie, rosnącym z latami popędem, a następnie już nałogiem tworzenia, ciągłej pracy myśli i wyobraźni, wszystkim się interesującego i wszystko podejmującego ducha. Ta wszechstronność, ta bajeczna ilościowo produkcyjność, pociąga za sobą brak silniejszego ideowego oświecenia i powiązania ze sobą tych niezliczonych, a tak różnorodnych treści i formą płodów, tudzież słabość kompozycyi, wiążącą się ze słabością akcyi, powszedniością dusz u wprowadzanych do utworów postaci. Stąd, w powieściach Kraszewskiego, luźność i epizodyczność bogatego w szczegóły opowiadania przysłania akcyą słabo uwydatniającą się, bo nie znajdującą oparcia w charakterach. Ponad poziom gawędy wznosi te utwory jedynie artyzm pisarza bogactwem, plastyką i zwięzłością stosunkową charakterystyk i opisów, tudzież stanowisko moralne i społeczne, z jakiego autor obserwuje, ocenia i sądzi—we wplątanych w opowieść uwagach—wprowadzane do utworu postaci. Jednakże uczuciowość pisarza rozlewna, rozpraszająca się wszechstronnie, nie skupiona w ognisku idei, zabarwiającej ją swym blaskiem, nadającej stały kierunek, siłę i rozpęd, jest zbyt słabą, by przeniknąć interesujące i piękne epizody, by skupić je i czynić z utworu całość, w którejby każdy szczegół, niezależnie od swej wartości był częścią konieczną, kamieniem niezbędnym w budowie, tonem uzupełniającym symfonię całości.

Intensywność tej uczuciowości, stopień jej napięcia, koncentracja w pewnym kierunku zostają zwykle w ścisłym związku z również niestałym, zmiennym i chwiejnym grupowaniem się pojęć. Od czasu do czasu szczęśliwsze, choć chwilowe ich ustalenie i zharmonizowanie pozwala Kraszewskiemu, dzięki uzyskanemu przez to silniejszemu oświeceniu i żywшему intuicyjnemu odczuciu przedstawianych objawów życiowych, tworzyć wyższej i trwalszej wartości dzieła; w miarę jednak rozwijania się i wzrostu twórczości, chwile takiej koncentracji i harmonii duchowej stają się coraz rzadsze.

III.

Twórczość Kraszewskiego w ciągu dwudziestoletniego okresu wołyńskiego (od ożenienia w r. 1838 do osiedlenia się w Warszawie r. 1859) ogarnia trzy odrębne sfery zjawisk życiowych. Jedną z nich stanowi przeszłość, odtwarzana w formie epopei, dramatu, powieści, drugą współczesne życie klas średnich i wyższych, dostarczające materiału do licznych powieści i rozpraw krytycznych, trzecią współczesne życie ludu wiejskiego, obserwowane przez pisarza-ziemianina na Wołyniu i Polesiu. Stosunek uczuciowy i stanowisko pojęciowe Kraszewskiego do zjawisk i postaci każdej z tych trzech sfer jest inny i stąd wynikają różnice doniosłe w wartości utworów, odtwarzających objęte nimi postacie i zjawiska.

Najlepsze wyniki osiągnęła twórczość Kraszewskiego w trzeciej z tych sfer, w obrazach życia ludowego, dzięki harmonijnemu współdziałaniu uczucia, podnieconego przez bliższe zetknięcie się w życiu wiejskiem z niedolą ludu, z ciężkimi warunkami jego bytu — i umysłu, interesującego się żywo sprawą ludu, pod wpływem zasad chrześcijańskich, pojęć humanitarnych, zarówno wieku oświeconego, jak dawnych pisarzy polskich z wieku XVI i XVII, których pisma świeżo studiował.

Przekonania, grupujące się w umyśle pisarza-ziemianina około idei ludowości, zajmującej wtedy w duszach polskich tak wydatne stanowisko, iż w ludzie, w jego uzdolnieniach, sferze jego pojęć, wierzeń odbitych w przysłowiaach, pieśniach, podaniach, wierzeniach, znajdują się nieznanne, niezużytkowane siły i zasoby, z których wyniknąć może przyszłe odrodzenie społeczne, narodowe, literacko-artystyczne—nadały rozpraszającej się uczuciowości Kraszewskiego wyraźny kierunek, a plastycznej wyobraźni podsunęły tak blizki — przez warunki życia—przedmiot. Stąd twórczość, dzięki szczęśliwemu, harmonijnemu zespoleniu głównych czynników artyzmu, wydała świetny cykl wysokiej i trwałej wartości obrazów życia ludowego, interesujących prawdą charakterystyki i ujmujących ciepłem uczucia. Szereg tych utworów rozpoczęła ogłoszona pierwotnie w „Atheneum“ (1841) a następnie włączona do obrazów „Latarni Czarnoksiężskiej“ „Historya Sawki“, z kolei zjawiała się „Ułana“ (1843), „Ostap Bondarczuk“ (1847), „Budnik“ (1848), „Jaryna“ (1850), „Ładowa pieczara“ (1852), „Chata za wsią“ (1854), „Jermoła“ (1856) i „Historya kołka w płocie“ (1859). Powieści te, mające, obok wysokiej wartości artystycznej

i społecznej, znaczenie świadectwa historycznego, nadającego im trwałe znaczenie, wzbogaciły literaturę, do której wprowadziły poraz pierwszy w tak szerokich ramach, w takiej pełni i prawdzie życie wieśniacze; w bogatej zaś działalności społecznej Kraszewskiego stanowią najpoważniejszą może zasługę. Takie szczęśliwe połączenie uczuciowości z opanowaniem pojęciowem i artystycznym ujęciem dobrze znanego pisarzowi przedmiotu jest dość rzadkiem w grupie jego powieści, osnutych na życiu klas szlacheckich i mieszczańskich. Jednym z nielicznych wyjątków jest „Boża czeladka“ (1857), ogrzana ciepłem wspomnień i przeżyć rodzinnych autora. W tej sferze twórczości stanowisko pisarza względem przedmiotu jest inne, zwykle chłodniejsze, krytyczne, często ironiczne. Gdy w powieściach ludowych przemawia za ludem do klas wyższych, tu zwraca się wprost do tych klas w roli opowiadacza a zarazem nauczyciela, wychowawcy, satyryka i doradcy. Widzi on zadanie swe (jak je określa w „Studyach literackich“ r. 1842) w objęciu przewodnictwa życia społecznego. „Minęły czasy — powiada pisarz-społecznik — gdy literaci pisali tylko dla koła literatów, dziś muszą być oni przewodcami i naczelnikami moralnymi swego wieku.“ Rzecz naturalna, iż przy takim pojmowaniu zadania, względy i wymagania artystyczne schodzić muszą na drugi plan, że utwory w takich celach pisane, związane być muszą z potrzebami i warunkami chwili, że w odtwarzaniu postaci współczesnych nie sięgnie do głębi dusz, nie ukaże nam „czystej treści człowieka“, zawsze i dla wszystkich ciekawej i nauczającej, lecz te zmieniające się z biegiem czasu choroby i właściwości danej epoki. Utwory tej grupy będą miały znaczenie głównie jako świadectwa, pamiętniki swego czasu, ciekawe dla socjologa, historyka, a wreszcie i dla czytelnika zwykłego, o ile szukać w nich będzie obrazów życia przeszłości. Taka „Latarnia czarnoksiężska (1843), „Pamiętniki nieznajomego“ (1846), „Komedycanci“ (1851), „Interesa familijne“ (1852), „Dwa Światy“ (1855), „Choroby wieku“ (1856), „Metamorfozy“ (1858), „Jasełka“ (1860), a nawet i „Powieść bez tytułu“ (1854), mająca podkład autobiograficzny, są dla dzisiejszego czytelnika już historycznymi tylko powieściami, obrazami obcej mu często, bo mało znanej przeszłości. W ścisłym związku z tą grupą utworów zostaje działalność publicystyczna, rozwijająca się z początku na kartach „Tygodnika petersburskiego“ (Asmodeusz, Choroby moralne wieku XIX, Listy ze wsi), a następnie w czasopismach wileńskich, warszawskich, poznańskich (głównie w „Gazecie Warszawskiej“ od r. 1851 do 1859), a wreszcie znajdujące najszersze pole z chwilą objęcia

w r. 1859 redaktorstwa „Gazety codziennej“ (od r. 1861 zw. „Polską“) w Warszawie. Jednym z najwybitniejszych owoców tej działalności są „Wieczory wołyńskie“ (Lwów 1859), poświęcone kwestyom społecznym a głównie podniecającej umysły ówczesne kwestyi włościańskiej. Obserwacye i obrazy ludzi i miejsc w znanych mu bliżej czy też zwiedzanych w przejeździe stronach, pomieszczał Kraszewski w licznych listach i opisach, początkowo w „Tygodniku petersburskim“ (Pińsk i Pińszczyzna, Pruzana, Wspomnienie Wilna) i w osobnych książkach, jak: „Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy“ (1840), „Obrazy z życia i podróży“ (1842), „Wspomnienia Odessy, Jedyssanu i Budżaku“ (1845), „Druskieniki“ (1848).

Trzecią grupę, utwory, odtwarzające przeszłość, cechuje względnie chłodny stosunek uczuciowy, niedostateczna znajomość i słabe rozumienie życia odległych wieków, posługiwanie się nagromadzonymi z różnych źródeł drobiazgami, wątpliwej autentyczności rysami, anegdotami, przy niezdolności do syntezy i kompozycji, uwydatniającej główne, zasadnicze rysy danej epoki, wybitne postacie. Kraszewski patrzy na przeszłość okiem zbieracza zaciekawiających go zabytków archeologicznych, podań, szczegółów obyczajowych, rysów kulturalnych. Wyobraźnia jego uzupełnia i rozjaśnia rolę tych zabytków przez odtwarzanie ludzi, którzy się nimi posługiwali, którzy potrzebni są autorowi do wyjaśnienia nam obrzędów, zwyczajów, stosunków. Nie odczuwa on jednak dla tych ludzi żywszego zainteresowania, nie sięga do głębi ich duszy, nie umie wlać pełni życia w ich postacie, przedstawić donioślejsze czyny i charaktery. Opowiada o bohaterach swych utworów, ale nie pokazuje ich, kieruje nimi, jak maryonetkami, lecz nie daje im bytu samoistnego, charakteryzuje określeniami, opisami, nie zaś spełnianymi przez te postacie czynami. Tło opowieści, opisy i akcesorye, oparte na zebranych świadectwach, stanowią główny przedmiot i podstawę wartości tych utworów; charaktery, akcja i kompozycja nie dopisują, nie dochodzą średniej skali wymagań. To też mimo znacznej sumy pracy, obfitości szczegółów, starannie zebranych, wielka epopea litewska, obejmująca pod ogólną nazwą „Anafielas“ trzy wielkie opowieści białym 11-o zgłoskowym wierszem skreślone: „Witolorauda“, „Mindows“ i „Witoldowe boje“, nie mogła opanować dusz, a nawet zaciekawieć współczesnych, niezbyt przecie wybrednych i łatwo ulegających urokowi takich np. „Klehd“ i „Gawęd“ Wójcickiego. Osnowa, nie znajdujaca punktów oparcia w zakresie pojęciowym, nie przemawiająca do uczuć, nużąca rozwlekłość gładkiej, lecz

rzadko pociągającej błyskami arcyzmu, opowieści, słabość akcyi, rozpraszającej się na mało interesujące i wzruszające szczegóły—odebrały tej epopei, starannie obmyślanej, lecz nie ogrzanej ciepłem żywszego uczucia, nie ożywionej prawdą intuicyjnego odtworzenia życia wieków odległych, pięknem i powagą przenikającą całość idei, wcielonej w wybitne postacie — siłę przyciągającą i przekonywującą. Zamierzenia twórcy nie zostały urzeczywistnione. Jedyne lirycznego charakteru ustępy, zestawione w całość kantaty p. n. „Milda“, dzięki pięknej muzyce Moniuszki, pozyskały pewną popularność. Podobny los spotkał dwa dramaty historyczne Kraszewskiego: „Halszkę z Ostroga“ (1837) i „Tęczyńskich“ (1843) i to również z podobnych powodów.

Powieści historyczne, których szereg zaczynają wydane w roku 1833: „Rok ostatni panowania Zygmunta III“ i „Kościół ś-to Michalski“, a kończą (w okresie wołyńskim) dwie najwybitniejsze: „Kordecki“ (1852) i „Caprea i Roma“ (1859) przedstawiają podobne nagromadzenie opisów, rysów obyczajowych, szczegółów anegdotycznych, postaci drugorzędnych, scen epizodycznych, przy słabej akcyi, bladeści figur głównych i niezadawalającej artystycznie kompozycji. Utworom tym zbywa również na intuicyjnym przeniknięciu, jak i na opanowaniu myślowem całości obrazu dziejowego, syntezie, umożliwiającej nadanie szczegółom i epizodom właściwego znaczenia, odbicia w nich przewodnich idei i dążeń chwili. Jedna z najlepszych powieści historycznych: „Czasy Zygmuntownskie“ (1846) zawdzięcza swe piękno uczuciu, jakie wlał tu autor w niemającą związku z życiem dziejowem epoki, opowieść losów rodziny Sołomereckich. „Kordecki“ jest w kompozycji przeróbką, rozszerzoną i uzupełnioną „Gigantomachii“ Kordeckiego, a „Caprea i Roma“ obrazowaniem materiału, dostarczonego przez pisarzy starożytnych i dzieła współczesnych historyków niemieckich i francuskich.

IV.

Ubóstwo sił umysłowych w społeczeństwie, wyjąłowionem przez emigrację i ucisk polityczny, brak pracowników na wszystkich polach, pobudzały ruchliwego, skorego do działalności pisarza-ziemianina do chętnego podejmowania rozlicznych zadań, zostających w związku z potrzebami kulturalnemi, słabo odczuwanemi i popieranemi przez klasy przodownicze, jakimi były: du-

chowieństwo, szlachta i nieliczne stosunkowo mieszczaństwo. W tych ciężkich tak dla pracy kulturalnej czasach, jednostki i grupujące się przy nich kółka współpracowników zastępowały poznoszone po r. 1831 instytucje. Około Andrzeja Zamoyskiego i redakcyi „Roczników gospodarstwa krajowego“ skupiają się krzewiciele postępu w rolnictwie i działacze w sprawie reformy stosunków włościańskich. Redakcyja „Biblioteki Warszawskiej“ stara się spełniać zadania Towarzystwa Naukowego, „Przegląd Naukowy“ i Koło „entuzyastek“ skupiają gorętsze młode dusze, szukające w filozofii, literaturze i sztuce czynników, budzących życie narodowe, podstaw i wskazówek działalności społecznej, sił odradzających i podtrzymujących zgnębiene społeczeństwo. Przy „Tygodniku petersburskim“ jednoczą się konserwatyści, przedstawiciele interesów Kościoła i wielkiej własności, usiłujący lojalizmem powstrzymać, a przynajmniej złagodzić, podjętą po r. 1831 przez władze walkę z katolicyzmem i polskością. „Wizerunki i rozrządzenia naukowe“, wydawane w Wilnie, miały na celu jednoczyć nielicznych, odosobnionych pracowników z różnych dziedzin wiedzy.

Kraszewski, w którego duszy zespalał się ściśle artysta, obserwator i rysownik zaciekawiających go zawsze odmian natury ludzkiej, ze zbieraczem gorliwym rozlicznych zabytków kultury, zarówno przedhistorycznych, jak dzieł sztuki (rycin głównie), rękopisów, listów, książek i rozsypanych po księgach i różnych pamiątnikach szczegółów—współcześnie z pierwszymi próbami literackimi rozpoczął już pracę zbieracza od gromadzenia z druków i źródeł archiwalnych materyałów do historii Wilna, która, po ponownem przerobieniu ogłoszonego już tomu I (1838), ukazała się w całości czterotomowej w r. 1840. Praca nad dziejami tego miasta pobudza młodego szperacza do gromadzenia wiadomości, odnoszących się do przeszłości Litwy. Materyał ten dostarcza osnowy do wypełnienia szerokich ram: „Anafielasu“, a następnie zużytkowany został, po odpowiedniem uporządkowaniu, jako obraz Litwy w dziele: „Litwa, starożytne dzieje, ustawy, język, wiara, obyczaje, pieśni, przysłowia, podania i historia do r. 1386“ (Warszawa 1847, 1850, 2 tomy). Dopełnieniem zaś, dalszym ciągiem, historii mianowicie, jest „Litwa za Witolda“ (Wilno 1850). Zbieranie szczegółów, grupowanie ich według powinowactwa, zestawianie porządkiem lat i ogłaszanie bez krytycznego rozważenia i powiązania, pod nazwą Obrazu, Opisu, Historji, jest zwykłą formą pracy naukowej w okresie po r. 1831. Historycy ówczesni, w kraju przebywający, pozbawieni przygotowania naukowego,

zdolności syntetycznych, są zbieraczami i wydawcami materyałów jedynie. Na najniższym szczeblu wartości naukowej stoją tu pośpiesznie klecone, z materyałów niepewnej autentyczności, z przeróbkami dowolnemi, liczne „złepieńce”—że się tak wyrażę—Wójcickiego, pisarza, pozbawionego uzdolnień literackich, i szperacza bez wyższego wykształcenia i sumiennosci w robocie. Tą metodą przeważnie wykonana została, tylko sumiennie i z dobrych materyałów „Starożytna Polska“. Tu należą również liczne dzieła Bartoszewicza, przedstawiające dziś jedynie bogaty zbiór szczegółów, nagromadzonych z niezmierną pracowitością i zapałem zbieracza-patrioty i polityka raczej, niż historyka. Uzdolnienia literackie Siemieńskiego, zwłaszcza piękne jego przekłady z obcych literatur, przysłoniły słabość jego opracowań historycznych, płynącą z roboty pośpiesznej i braku przygotowania naukowego. Ubóstwo umysłowe czytelników, interesujących się tylko opowieściami i szczegółami anegdotycznymi, pobudzało literatów i zbieraczy do zaspokajania potrzeb ogółu w zakresie dziejów i literatury ojczystej, gawędami, anegdotami, obrazkami, przypominającymi różne wybitniejsze postacie dziejowe, rysy obyczajowe, a nade wszystko życie domowe i towarzyskie praocjów. W związku z tem zostaje ogłaszanie pamiętników, dyaryuszów, listów, dokonywane przez zbieraczy czy literatów, nieprzygotowanych należycie do takich zadań. Ciężkie warunki ówczesne usprawiedliwiają i tłumaczą nam zarówno łatwość zdobycia sobie przy takim stanie umysłów rozgłosu i patentu na uczonego, jak i konieczność podejmowania i pośpiesznego a pobieżnego wykonywania przez literatów czy poetów (Syrokomla, Siemieński) prac różnorodnych, do których nie posiadali uzdolnienia i przygotowania. W tem pospolitem ruszeniu literatów, zmuszonych zastępować społeczeństwu brakuczonych, historyków, publicystów, krytyków, Kraszewski góruje pracowitością, sumiennością i rozległością swego wykształcenia, zdobytego przeważnie drogą samouctwa. Zarówno jego wydawnictwa, jak i różnorodne opracowania, nie straciły dotąd swej użyteczności. To przygotowanie pozwalało mu objąć stanowisko redaktora miesięcznika, który, wychodząc w Wilnie pod poważną nazwą „Atheneum“, miał na celu popierać i skupiać pracę naukową i twórczość literacką na obszarach litewsko-ruskich. W ciągu jedenastu lat (1841—1852) wyszło 66 tomów pisma, które miało charakter raczej „Zbiornika“ różnorodnych prac, materyałów, twórczości literackich, niż czasopisma. Przeważają tu pamiętniki i opracowania historyczne i etnograficzne, dokumenty, listy, pieśni i podania ludowe. Niejednokrotnie cały

tom wypełniają opracowania i materiały, dostarczone przez samego redaktora, walczącego wytrwale z obojętnością ogółu (najwyższa cyfra prenumeratorów była 222, w końcu zaś została setka zaledwie), brakiem współpracowników, prac i funduszków. „Naukę—użala się w „Zamknięciu“ ostatniego tomu redaktor—musieliśmy stroić, ubierać i maskować niemal, by ją przepuszczano, bo nauki, jak pracy, nie miłujemy wcale.“ Wśród społeczeństwa, stroniącego od wszelkiej poważnej, systematycznej pracy, niepojmującego potrzeby i znaczenia nauki, poprzestającego na najlichszym pokarmie duchowym, jakiego dostarczały różnorodne Gawędy, tłumaczone z francuskiego romanse, anegdoty i koncepty z kuryera lub kalendarza przyswojone—Kraszewski stoi odosobniony, świecąc bogactwem swej szerokim czytaniem zdobytej wiedzy, przykładem rosnącej z każdym rokiem pracy, gorliwością rozszerzającej się stopniowo służby społecznej.

Jak dzisiejsi teatralni metamorfiści, ukazujący się publiczności na scenie w licznych, coraz to innych postaciach, Kraszewski, pracując współcześnie na różnych polach, występuje w coraz to nowej roli: poety, powieściopisarza, dramaturga, historyka, krytyka literackiego, publicysty, tłumacza, archeologa, etnografa, historyka sztuki, zbieracza, redaktora, wydawcy, tłumacza. Kieruje teatrem w Żytomierzu, opiekuje się młodzieżą, jako kurator gimnazyum, bierze udział w różnorodnych pracach społecznych, filantropijnych, mając przytem na swej głowie gospodarstwo rolne w swej posiadłości, wychowanie dzieci i różne kłopotliwe sprawy rodzinne. Te herkulesowe, zaiste, prace podejmuje i spełnia człowiek fizycznie niepokazny, szczupły, małego prawie wzrostu, często zapadający na zdrowiu.

Oprócz „Historji Wilna“ i „Litwy“ tudzież 66 tomów „Athe-neum“, wypełnionych w znacznej części pracami redaktora z różnych dziedzin, w różnej formie i na różnym stopniu badania naukowego zostających, Kraszewski, w roli nauczyciela i krytyka literackiego, stara się zaznajomić ogół z ważniejszymi objawami dawnej i współczesnej literatury w rozprawach krytycznych, ogłaszanych w różnych czasopismach i wydawanych w zbiorach jako „Studia literackie“ (Wilno 1842 i następnie Warszawa 1843, 2 tomy). Wyróżniały się tu głębszem ujęciem przedmiotu charakterystyki Kochanowskiego i Klonowicza, tudzież rozprawa o romansie i jego znaczeniu współczesnem. W związku z zamiłowaniem do pomników dawnej sztuki i zabytków archeologicznych zostają dwie prace Kraszewskiego: „Ikonoteka“ (1858), a właściwie jej początek, mieszczący opracowania o pomnikach sztuki

i życiorysy artystów polskich w porządku alfabetycznym, w „Tece wileńskiej“ pomieszczona, przerwana na literze B., i „Sztuka u Słowian, szczególnie w Polsce i Litwie przedhistorycznej“ (Wilno 1859). Rozległa wiedza, znajomość pomników, sumienność zbieracza-archeologa łączyły się tu z poglądami artysty, zdolnego dostrzedz i odczuć różne stopnie i formy piękna w różnorodnych zabytkach. W swoim czasie były to najlepsze prace polskie w tej dziedzinie nauki. Najślabszymi z owoców naukowych usiłowań wielkiego pracownika są jego, nieliczne zresztą, pisma filozoficzne i wypowiedzenia się Kraszewskiego w tym zakresie w poezjach i powieściach. Tu należą pomieszczone w „Atheneum“ (z r. 1845) przekłady niektórych rozdziałów ze współczesnej, niewielkiej wartości zresztą, książki francuskiej p. t. „Hegel et la philosophie allemande“ (Paryż 1844), której autorem był niejaki A. Otto. Druga samodzielnie opracowana: „System Trentowskiego“ (Lipsk 1845) była właściwie streszczeniem „Analityki“ tegoż myśliciela z dodaniem uwag, zestawiających pojęcia Trentowskiego z systemem Hegla i ostrą krytyką stosunku twórcy „Chowanny,“ i „Myśli“ do religii wogóle a chrześcijaństwa w szczególności. Pojęcia estetyczne rozwinął Kraszewski najszerzej w powieści „Sfinks“, odtwarzającej życie artystów-malarzy, w wypowiedzeniach się wprowadzonych tu postaci i w refleksjach samego autora, wywołanych położeniami i wypadkami akcji powieściowej.

V.

Cała ta, tak różnorodna i bogata działalność Kraszewskiego zostaje z jednej strony w zależności od wyjątkowych warunków życia duchowego i pracy kulturalnej w dzielnicach polskich pod panowaniem rosyjskiem, a jednocześnie wiąże się swemi cechami, stopniem wartości artystycznej, społecznej, czy naukowej, z uwydatniającemi się coraz pełniej właściwościami umysłu, uczuciowości i charakteru pisarza-działacza.

Umysłowość Kraszewskiego znamionuje niesłabnący do końca życia popęd do przyswajania przez rozległą, szybką, chaotyczną, bo bezplanową, bezideową przeważnie lekturę, olbrzymiego zasobu faktów, szczegółów, nie znajdujących w umyśle gotowych kadrów, ram, ustalonych grup pojęciowych, któreby pozwalały

ten materiał uszeregować, rozdzielić i zasymilować. Interesując się żywo najróżnorodniejszymi przedmiotami i pytaniami, nie skupia na dłużej myśli około żadnego. Stąd nie dochodzi do ujęcia już nie całości swego różnorodnego zasobu, ale przynajmniej pewnego działu, pewnej grupy pojęciowej w ramy wiążącej i rozświetlającej daną grupę syntezy, dającej oparcie dla sądów i poglądów, skalę dla oceny pewnej kategorii zjawisk czy faktów. Z ciekawością nienasyconą i wrażliwością zawsze świeżą łączy się u Kraszewskiego bierność umysłu, niezdolnego ograniczyć się i poprzestać na przyswojeniu i opanowaniu myślowem części pewnej, jako podstawy dla świadomego, planowego gromadzenia pojęć i wiadomości. Uczuciowość pisarza przedstawia podobną cechę: rozciągłość i wrażliwość szeroką przy niezdolności do trwałej, silnej koncentracji i stałego kierunku. Wszelkie uczucia Kraszewskiego: religijne, narodowe, społeczne, estetyczno-artystyczne, erotyczne zamykają się w dość ciasnej skali co do stopnia i siły wzniesienia i napięcia. Szerokie rozproszenie uczuć niedopuszcza pogłębienia i odbiera mu siłę pędu.

W harmonii z taką umysłowością i uczuciowością charakter Kraszewskiego cechuje nie czynna energia, lecz bierna wytrwałość działania, rozwijającego się zresztą po linii najmniejszego oporu, jaką jest nieustająca twórczość literacka, polegająca na wypowiedaniu się i zużytkowywaniu obfitego zawsze, lecz słabo przetrawionego materiału, nie opanowanego pracą myśli, ogniem uczucia, twórczą energią woli, nie poddanego kierownictwu jasno świecącej gwiazdy, idei przewodniej. Oddziaływa on na czytelników nie siłą swego przekonania, uczucia i woli, nie wymową własnych przeżyć, odczuć, przemyślań, lecz nagromadzoną w duszy bogatą zawartością myślową, uczuciową, moralną materiału, dostarczonego przez obserwację i lekturę, a ujętego pośpiesznie zwykle w kształty artystycznie zadawalające, w rysunku postaci i szczegółów, w opisach i charakterystykach, nie czyniące jednak zadość średnim wymaganiom w kompozycji i akcji. Cechy te artyzmu u Kraszewskiego, jak i u każdego pisarza czy artysty, zostają w ścisłym związku z jego organizacją duchową i stosunkiem do otoczenia, dla którego i wśród którego tworzy.

Stosunek ten w rozwoju twórczości i całej działalności Kraszewskiego ma pierwszorzędne znaczenie. Jednostki, obdarzone energią myśli, uczucia, woli starają się narzucić otoczeniu swe pojęcia, pędy uczuciowe, dążenia, a gdy spotykają opór, rozpoczynają walkę lub zamykają się w duńnem czy mizantropijnem odosobnieniu; słabsze duchowo, chwiejne, wrażliwe, szukają, prze-

ciwnie, oparcia, zespolenia myślowego, uczuciowego z ogółem i jego wybitnymi przedstawicielami. Kraszewski nie może ani z należyłą siłą i skutecznością głosić—w charakterze przywódcy i propagatora pewnych dążeń—tego, co w danej chwili uważa za swe przekonania, ani tembardziej przeciwstawić się opinii ogółu, przekonać siłą własnych przekonań. Za to łatwo podlega wpływom czy to silniejszych duchowo jednostek, czy nastrojowi otoczenia, w jakim przebywa. To też jest on tak wiernym wyrazicielem życia duchowego szerokich kół społeczeństwa polskiego w ciągu swej półwiekowej działalności. Zarówno uczuciowy, nieokreślony, zabarwiony nieco anti-klerykalizmem—katolicyzm, jak w westchnieniach i rozrzewnieniu rozplývający się, daleki od konradyzmu czy anhellizmu, patryotyzm; tak samo przekonania polityczne, które, choć sformułowane po tylu smutnych doświadczeniach, przedstawiają się w programach, kreślonych w r. 1861 i 1872, jako kombinacye pięknych, lecz nadobłocznych idei, nie dające wskazań praktycznych dla zadań życia realnego—wreszcie pojęcia i dążenia społeczne, mające swój wymowny wyraz w powieściach z życia ludowego, płynące ze szczerých uczuć humanitarnych, lecz nie poparte energią woli, gotowością czynu, nie związane z głębszem pojmowaniem zadań bytu narodowego, stąd chwiejne i dopuszczające w duszy pisarza uludy co do moralnej wartości patryarchalno-sielankowego, pra-słowiańskiego jakoby stosunku panów do poddanych — wszystko to są cechy, wspólne pisarzowi-nauczycielowi i ogółowi, który kocha w nim i czci swego przedstawiciela, uświadciciela, pełnomocnika, wystarczającego przecie tylko w sprawach życia zwykłego, spokojnego, zawodzącego jednak w trudnych położeniach, w chwilach przejścia od marzeń do czynów, pokładane w nim nadzieje, ufność w jego rozum, oczekiwanie trafnych wskazówek postępowania, rozjaśnień położenia i dróg działalności.

VI.

Trzyletnia działalność w Warszawie na stanowisku redaktora „Gazety Codziennej“, zatytułowanej od kwietnia r. 1861 „Polską“, stanowi okres przejściowy, antrakt między trzydziestoletnią pracą Kraszewskiego na litewsko-wołyńskiej widowni a dwudziestopięcioleciem okresu emigracyjnego.

W tym samym roku (1859) w którym ten pracownik wołyński przesiedlił się do Warszawy, by w głównem ognisku życia polskiego, przy przyjaźniejszych dla pracy warunkach, przy budzącem się coraz żywiej, dzięki złagodnieniu systemu rządów rosyjskich, poczuciu obowiązków i zadań społecznych i narodowych, powstających instytucjach, rozwinąć pełniejszą i donioślejszą, niż dotąd, działalność—zmarł ostatni z trzech wielkich poetów—Kraśiński. Wkrótce po nim schodzą ze świata dwaj najwybitniejsi przodownicy życia politycznego: ks. Adam Czartoryski i Lelewel. Społeczeństwo oglądało się za przewodnikiem w budzącem się życiu narodowem, w rozwijającej pracy kulturalnej i akcji politycznej. Kraszewski był człowiekiem, którego uznanie i zaufanie ogółu przeznaczało niejako na to stanowisko, upoważniało do podjęcia tych trudnych i zaszczytnych obowiązków. Nietylko nie było na całym obszarze Polski wtedy pisarza wybitniejszego, ale żaden z poprzednich, nawet trzej najwięksi, nie pozyskał tak szerokiego koła czytelników, takiego rozpowszechnienia utworów przystępnych, interesujących, nauczających, przemawiających do dusz, zjawiających się bez przerwy od lat trzydziestu, z rosnącą z każdym rokiem obfitością a niesłabnącą wartością.

Ogół widział w Kraszewskim swego przyjaciela, doradcę, wyraziela wiernego własnej duszy. Niezwykła w ówczesnych stosunkach ilość prenumeratorów, jakich pozyskała „Gazeta Codzienna“ z chwilą objęcia jej redakcyi przez ulubionego pisarza, świadczyła zarówno o uznaniu i zaufaniu, jakie sobie zdobył, jak też i o pragnieniu pozyskania w cenionym powieściopisarzu, potrzebnego a brakującego ogółowi poważnego kierownika opinii, doradcę a może i przywódcę w rozwijającym się ruchu narodowym i różnokierunkowej pracy.

Kraszewski jednak nie był świadom całej ważności nasuwającej się mu roli i nie żywił zamiarów ambitnych, nie myślał rozszerzać zakresu, ani zmieniać kierunków swej działalności dotychczasowej. W ciągu trzech lat, spędzonych w Warszawie, dwukrotnie, i to w tak ważnych dla losów narodu chwilach, odbywa dłuższe podróże zagraniczne, podejmowane gwoli zaspokojenia upodobań artystycznych i literackich. Ogłoszona w r. 1861 bezimiennie w Paryżu broszura: „Sprawa polska w r. 1861“ stwierdza, wraz z artykułami wstępnymi „Gazety Codziennej i Polskiej“, że jako polityk, kierował się ten poeta-publicysta w swych sądach i wskazaniach panującymi podówczas w duszach inteligencji wizjami „Dziadów“ drezdeńskich, „Przedświtu“, naukami „Psalmów przyszłości“; wraz z ogółem wierzył w siłę moralną,

piękność i podniosłość męczeństwa, biernego protestu, zachęcał do wytrwałości, skupienia i podniesienia ducha, lecz zstąpić na grunt realny, obmyśleć program działania z celami, dającymi się osiągnąć, i środkami, prowadzącymi ku tym celom, było niemożliwością dla niedorostłego do swej roli przewodnika społeczeństwa w okresie jego bezdziejowego bytu. Jak więzień, nawykły przez długie lata do krepujących go pęt, mimo uzyskanej swobody, niezdolny się czuje do działalności samodzielnej, tak społeczeństwo nasze wraz ze swym przedstawicielem użyje chwil swobody na wypowiedanie i manifestowanie nagromadzonych przez wieloletnie cierpienia uczuć, na ponawiane przed ludami świata i Bogiem protesty, które zakończy rozpaczliwym, najsilniejszym protestem i powstaniem r. 1863. Ze stanowiska historycznego i politycznego, zarówno wybuch listopadowy, jak i powstanie styczniowe, są to nie akty świadomej, dojrzałej woli, początki obmyślonej, przygotowanej akcji, lecz uczuciowe, gorączkowe protesty, manifestacje, dokonane z nadzieją sprowadzenia pomocy Niebios i wdania się rządów lub ludów Europy. W obu wypadkach stawiano na kartę wielkiej wartości dobra realne, posiadane już, dla łudzącej wyobraźni i uczucie wielkiej wygranej.

Jedyny trzeźwy umysł, w ciszy mrocznych tych lat przygotowujący plan realnej akcji politycznej, Wielopolski, również nie uniknął skutków bezdziejowości życia polskiego między r. 1831 a 1860. Bezczynność, na jaką był skazany, nie pozwoliła mu odbyć tej przygotowawczej, praktycznej edukacji politycznej, jaką przechodził zarówno Cavour, jak Bismark, nim osiągnęli władzę, pozwalającą im rozpocząć przeprowadzenie dojrzewających w głębiach ich dusz wielkich planów. Długoletnia działalność polityczna nauczyła ich kierować opinią, walczyć z przeciwnikami, zyskiwać sprzymierzeńców. Wielopolski, milczący, imponujący, mrozący pogardliwą wyniosłością, zjawia się i rozwija swój rozumny, lecz chłodny, trzeźwy, druzgocący dogmaty patryotyczne program, w chwili, gdy rozegzaltowane moralnym tryumfem dui lutowych społeczeństwo oczekuje Archaniola z mieczem płomiennym, mającego wpuścić męczenników do zgotowanej im Jerozolimy. Wobec takiego przeciwieństwa między nastrojem uczuciowym, ugrupowaniem pojęciowym, pragnieniami i oczekiwaniami, zwłaszcza odłamu społeczeństwa polskiego w Królestwie i prowincjach litewsko-ruskich, a stanem duszy i celami, ku którym zdążał, drogami i środkami, jakimi zamierzał Wielopolski realizować stopniowo swój rozumny, lecz bolesny dla serc ogółu plan częściowej jedynie odbudowy zburzonego przez rozbiory gmachu — współ-

działanie stało się niemożliwym. Jedyny mąż, o którym, jak o Konarskim, możnaby wyrzec, iż „śmiał być rozumny“ w chwili upajającego i zdumiewającego obcych nawet podniosłością, powagą i siłą moralną wylewu najczystszej patryotyzy — musiał z przyczyn psychologicznych, przy braku czasu na powolne oddziaływanie i zwalczanie oporu, ponieść klęskę. Fala uniesień patryotycznych desperackim porywem, wywołanym przez hazardowny a chybiony w skutkach zamach margrabiego, jakim była „branka“ styczniowa, poderwała grunt pod stopami polityka i położyła koniec jego działalności reformatorskiej. Wydalając w styczniu r. 1863 Kraszewskiego z kraju, usuwał Wielopolski nietyle walczącego z nim przeciwnika, nietyle wpływowego kierownika opinii publicznej, jakim nie był w istocie redaktor „Gazety Polskiej“, ile przedstawiciela tego uczuciowego patryotyzy, marzycielstwa, polityki mesyanizmu i męczeństwa, która paraliżowała jego realną politykę.

Kraszewski, o ile w spokojnych czasach, przy normalnym biegu życia społecznego, mógł w Warszawie swoją popularnością, różnostronnemi uzdolnieniami, pracowitością i gorliwością w służbie społecznej oddać wielkie usługi w zakresie działalności kulturalnej, oświatowej zwłaszcza, o tyle, wobec gotującej się burzy dziejowej, w okresie ciągłych wstrząśnień, wahań i zmian politycznych, nie mógł zająć stanowiska kierunku opinii, doradcy, ani przywódcy w akcji politycznej, nie mając odpowiednich uzdolnień w umyśle i charakterze. Potrafił być wymownym tłómaczem uczuć i nastroju ogółu w pamiętnych dniach podniosłej wiosny r. 1861, chwilami zdobywał się nawet na trzeźwiejszy sąd o położeniu rzeczy, na potępienie zamachów na życie Margrabiego, na uznanie, zresztą podzielane przez szersze koła, dla przeprowadzanej reformy szkół, otwarcie Szkoły Głównej; w lutym r. 1862 głosił, że „gdzie jeden człowiek staje za tysiące, trzeba, by wszyscy uzbroili go swą siłą i podparli wiarą“, mimo to, nie przestaje być wiernym zasadzie biernego znoszenia cierpień niewoli, za wzorem pierwszych chrześcian, trwania i dawania świadectw poważnych o swem życiu. Ideałem dla niego będzie zawsze Andrzej Zamoyski, „człowiek wielkiej pokory a czystych celów, co służąc wszystkim, jest wszystkich przemożnym a uznany panem, bo kto wierzy w środki ziemskie a moc, ten nie zdobędzie siły do rządzenia.“ Pisząc te słowa (kwiecień r. 1861), Kraszewski świadom był niewątpliwie, iż jego wpływ na społeczeństwo polega na ścisłym zespoleniu się z niem w najpodnioslejszych uczuciach i dążeniach, że o ile jest silnym tą wspólnością,

o tyle straciłby swe znaczenie, gdyby zaczął zwalczać opinię i nastroj uczuciowy ogółu. Z tego powodu, wobec zastrządzających się starć między społeczeństwem a Wielopolskim, podrażnionym przez coraz niechętniejszą mu opinię publiczną, redaktor „Gazety Polskiej“ zachowuje milczenie i czuje się zniechęconym do ciężkich obowiązków i zadań publicysty („Gra nie warta świecy“—zwierza się w liście do rodziny). Tem można objaśnić ten charakterystyczny, wśród rosnącego wrzenia politycznego, zwrot do czysto kulturalnej, literacko-naukowej działalności, którego wyrazem jest założenie w połowie r. 1862 miesięcznika p. t. „Przegląd europejski“. Zgodniejszem z potrzebami chwili przedsięwzięciem było podjęcie pracy oświatowej przez wydawnictwo „Biblioteki ludowej“, dla której Kraszewski opracował dwie wyborne książki: „Świat i ziemia“ i „O pracy“.

VII.

Zejście z widowni Wielopolskiego, upadek powstania i przygnębienie, wywołane utratą rozbudzonych nadziei, bezowocnością ofiar i wysiłków, srogością reakcyi, niszczącej nietylko świeżo utworzone przez reformy Wielopolskiego instytucye, lecz i dawniejsze, pozostałe po przekształceniach wywołanych klęską r. 1831, wysunie znów na pierwszy plan potrzebnego a gotowego do służby społecznej pracownika, któremu przymusowy wyjazd z kraju da, wraz z większą swobodą działania, i urok, i powagę wygnańca, emigranta, stanowisko najwybitniejszego żyjącego przedstawiciela literatury, wyraziciela dążeń, potrzeb, uczuć wszystkich dzielnic, których sprawy i życie śledzić i odtwarzać będzie ze swej pracowni drezdeńskiej. Twórczość i działalność Kraszewskiego, związana dotąd z potrzebami prowincyi czy też pewnych dzielnic polskich, otrzyma teraz ogólnopolskie znamiona i obejmie całość życia i interesów narodu. W duszy jego koncentrować się będzie cała Polska i od niego oczekiwać promieni oświeclających, ogrzewających i pobudzających. Cała dotychczasowa trzydziestoletnia przeszłość i zdobyta tak szeroko popularność ściągnęła ku niemu oczy wszystkich oglądających się w ciężkich dniach świeżego rozbicia się nawy ojczystej za kierownikiem, doradcą, pocieszycielem. Kraszewski nie szukał tego

stanowiska, pragnienia ogółu zniewoliły go do podjęcia zadań, związanych z taką rolą. W ich spełnianiu rozwinie spotęgowaną, zdumiewającą gorliwość i pracowitość. Odda on tej ciężkiej służbie wszystkie siły swego nadwątlonego latami i pracą organizmu, wszystkie zasoby swej duszy. Niewyczerpany w płodności literat, artysta, zbieracz, wydawca nie może stać się kierownikiem życia narodowego nietylko w zakresie politycznym, lecz nawet w pracy kulturalnej, przedstawiającej tak odrębne warunki i potrzeby w każdej z odgraniczonych kordonami dzielnic. A jednak w pierwszych latach po upadku powstania styczniowego, wobec braku ludzi, mogących wpływać na ogół, cieszących się zaufaniem i uznaniem powszechnem, uważał Kraszewski za swój obowiązek podjąć trudne zadanie sterowania skołataną przez świeżą burzę nawał narodową, kontrolowania życia politycznego i pracy kulturalnej w każdej dzielnicy i nadawania im kierunku. Zetknięcie się w Dreźnie z działaczami politycznymi, uczestnikami i kierownikami ostatniego ruchu, nawiązanie bliższych stosunków z politykami i publicystami galicyjskimi, działaczami społecznymi w Poznańskiem, dostarczy mu bodźców i zasobów, pozwalających rozwinąć żywą działalność publicystyczną, która przez pewien czas będzie górowała nad twórczością literacką, od r. 1860 ograniczającą się na nielicznych, mało znaczących utworach.

Chcąc jednocześnie obsługiwać trzy w różnych tak warunkach zostające dzielnice polskie, rozdziela swą działalność piśmienniczą między dwie odrębne sfery: narodowo-polityczną i obyczajowo-społeczną. Pisma i utwory, w zakres pierwszej sfery wchodzące, a więc nie mogące zadość czynić surowym wymaganiom cenzury rosyjskiej, ogłaszać będzie pod mianem Bolesławity; prace i korespondencye, przeznaczone dla czytelników w obrębie państwa rosyjskiego, pomieszczone przeważnie w pismach i wydawnictwach warszawskich, podpisywać będzie swoim nazwiskiem.

Jako Bolesławita, przedewszystkiem, w szeregu skwapliwie czytanych, bo do serc polskich przemawiających obrazków, odtworzy swe wrażenia, wspomnienia, spostrzeżenia, wiążące się ze świeżymi wypadkami z lat 1860—63. Pierwszym z nich będzie „Dziecię Starego Miasta“, opowiadanie, odtwarzające udział ludu warszawskiego w manifestacjach r. 1861. W dalszych powieściach stara się Bolesławita przedstawić stosunek różnych warstw i grup społecznych do ruchu narodowego tych lat. Jedną z najlepszych powieści tego cyklu jest „Żyd“ (1866), utwór, oświetlający zarówno udział Żydów polskich w ruchu, jak i stanowisko,

jakie zajęła ludność polska w sprawie równouprawnienia izraelitów, uznanych przez ogół za „Polaków wyznania mojżeszowego“. Obrazy powyższe uwydatniają dość jaskrawo chwiejność przekonań i sądów politycznych autora wobec świeżych wypadków. Jak w Warszawie, tak i teraz w Dreźnie, zależnie od chwilowych wpływów, to solidaryzuje się a przynajmniej sympatyzuje z czerwonymi („Para czerwona“), to znowu ocenia ruch i jego niedojrzałych kierowników z punktu widzenia białych („My i oni“), potępiając rewolucyę, jako nieprowadzące do postępu, wreszcie w „Rzymie za Nerona“ (drukow. w „Czasie“ r. 1865) wskazuje cierpiącemu społeczeństwu, jako wzór—spokój i wytrwałość ofiarą pierwszych chrześcijan. Budzące się w Galicyi życie polityczne interesowało żywo Kraszewskiego i podniecało do snucia społeczno-politycznych pomysłów w nowo założonem we Lwowie „Haśle“, którego redakcyę miał prowadzić z Drezna. Zarówno jednak brak funduszków na utrzymanie dziennika, jak i ogólnikowość artykułów programowych redaktora, nie dających wskazówek działania praktycznego, nie rozjaśniających realnych, żywotnych spraw i potrzeb, położyły kres wydawnictwu. Ogłoszony w końcu r. 1865 list otwarty Pawła Popiela do ks. Jerzego Lubomirskiego, rozwijający program polityki zachowawczej, pod przewodnictwem arystokracji, z wyłączeniem od udziału w życiu politycznem uczestników ostatniego ruchu, wywołał gorący protest Kraszewskiego. Po niepomyślnej próbie wydawania w Dreźnie miesięcznika „Przeglądu Powszechnego“, na którego kierownika narzucił się słabemu a nieznanemu się na ludziach pewien aferzysta literat—poczuwający się do obowiązku przewodnictwa w życiu politycznem i społecznem, powieściopisarz-wychowawca powziął myśl poddawania swej kontroli i ocenie wszelkich objawów życia narodowego we wszystkich dzielnicach polskich w rocznikach, które p. t. „Rachunki“ zaczął ogłaszać od r. 1867 („Rachunki“ z r. 1866 przez Bolesławitę, Poznań 1867, str. 398). Nowość pomysłu, doniosłość i żywotność takiego ujęcia całości życia narodowego, uświadamiającego ogół o różnorodnych a nieznanych i niezrozumiałych często zjawiskach życia i stosunkach, panujących w różnych dzielnicach, odgradzonych od siebie kordunami i przestrzenią, wywołała najżywsze zainteresowanie się tym czynem obywatelskim, odpowiadającym zaufaniu i oczekiwaniu ogółu, widzącego obecnie w drezdeńskim pracowniku-tułaczku swego wodza duchowego. Podjęcie i prowadzenie przez lat kilka „Rachunków“ świadczy, iż Kraszewski świadom był zajętego przez siebie stanowiska i związanych z nim zadań, lecz w pełnieniu

nowych obowiązków spotkał się ze współzawodnictwem całej grupy ludzi, którzy, silni jasno sformułowaniem programem, stanowiskami społecznymi, posiadaniem środków oddziaływania na bieg spraw w Galicyi, uzdolnień umysłowych i zalet moralnych, pozwalających im wpływać na opinię polską w innych dzielnicach—dążyli do rozpostarcia rządów moralnych nad całym społeczeństwem i kierownictwa życiem politycznym w Galicyi. Wprawdzie między programem Stańczyków a zasadami, rozwijanymi niejednokrotnie przez Kraszewskiego, nie było sprzeczności, a nawet przeważała zgodność, jednakże to samo przeciwieństwo realizmu, trzeźwości i stanowczości w działaniu, wobec mglistej rozlewności patryotyzmu, polityki uczuciowej ogółu, które powstrzymywały Kraszewskiego, pragnącego być w harmonii uczuciowej z ogółem, od popierania planów Margrabiego, wywołają walkę między redaktorem „Rachunków“ a autorami mającej się wkrótce ukazać „Teki Stańczyka“. Szujski, który niedawno jeszcze występował w harmonii z Kraszewskim przeciw listowi Popiela, teraz, oględnie wprawdzie, z poszanowaniem dla zasłużonego tak pracownika, zarzucał „Rachunkom“, iż nie dają „ani wyraźnej rozprawy z objawiającymi się kierunkami pracy w narodzie, ani wyraźnego programu na przyszłość.“

Dłuższy pobyt w Galicyi połączony z owacyami i hołdami, składanymi dostojnemu gościowi tak w Krakowie, jak Lwowie i zwiedzenie Wielkopolski, gdzie również znalazł gorące przyjęcie, pozwoliło Kraszewskiemu zebrać bogate materiały do następnego rocznika „Rachunków za r. 1867.“ Dotknięty chłodnem zachowaniem się sfer wyższych w Galicyi, obostrzył sprawozdawca i sędzia zarazem pracy narodowej sąd swój o tamecznych stosunkach, popierając go obfitym, lecz nie rozpatrzonym należycie materiałem faktycznym i przeciwstawiając temu ujemnemu zarysowi dodatnie cechy rozumnej i poważnej działalności Wielkopolan. Ten drugi rocznik wywołał wymowną, ale ostrą i zjadliwą ocenę Stanisława Tarnowskiego w „Przeglądzie Polskim.“ Ton i wywody młodego, trzydziestoletniego zaledwie i nieznanego jeszcze krytyka, rozpoczynającego dopiero swój zawód, ubodły boleśnie zasłużonego pisarza, oddanego od lat czterdziestu prawie pracy dla społeczeństwa. Jak silnie odczuł to Kraszewski, świadczy odpowiedź umieszczona na czele następnego rocznika. Widzi on w tej walce z „Rachunkami“ świadectwo zgnilizny moralnej społeczeństwa, objawiającej się we „wrzodach,“ wielkich ludziach nie zdolnych do czynu, a w gorączkowym narwaniu rozlewających się w „plugastwo.“ Odpowiadając Tarnowskiemu, wyrzuca mu, iż

niepomny na swych przodków znalazł się w towarzystwie „uliczników,” że jeśli sam kiedyś dozna podobnej poniewierki, jeśli wtedy „zaboli go serce a zapłonie mu twarz, niech sobie przypomni, że mu lekceważenie oddaje lekceważeniem nieubłagany sędzia spraw ludzkich... los, Opatrzność, Bóg.“ Nie poprzestając na odwołaniu się do sprawiedliwości Bożej, nie przestaje Kraszewski prowadzić walki, do której okazyę da mu rozpoczęta w r. 1869 „Teką Stańczyka.“

W ostatnim roczniku „Rachunków,” za rok 1869, Kraszewski, czując poza sobą opinię większości społeczeństwa, młodzieży i kół liberalnych w Galicyi, żywiących w duszach jeśli nie uczuciowy patriotyzm z jego ideałami z r. 1861, to demokratyczną niechęć przeciw konserwatyzmowi i lojalizmowi Stańczyków, występuje z energiczną a nieprzebierającą w zestawieniach i słowach odprawą autorom i dążeniom „Teki.“ Autorzy to „samozwańcy,” którym się zdaje, że „na wielkich ludzi urosną, gdy poczciwszym w oczy naplują.“ „Teką,” to ponowione „Komunały“ Miniszewskiego, a sam program to „samobójstwo moralne i narodowe, zrzeczenie się najświętszych praw dla spokoju i wypoczynku,” to wreszcie „zdeptanie tego, cośmy z pobożną miłością szanować, tłómaczyć i opłakując nawet, czcić musieli.“

Zaprzestając po czterech latach dalszego wydawnictwa „Rachunków,” nie myślał bynajmniej Kraszewski porzucać zajętego stanowiska i zaprzestać walki, której prowadzenie uważał za obowiązek, powierzony mu przez ogół narodu. Niezadowolony z ówczesnego dziennikarstwa, zależnego w różnych dzielnicach od specjalnych interesów, potrzeb, warunków, chce wypowiadać swe opinie we własnym organie. Posiadając w Dreźnie od r. 1868 własną drukarnię, zaczyna w r. 1869 wydawać zeszytowe, nieperyodycznie się ukazujące piśmko „Omnibus,” którego wszystkie działy sam wypełnia. Zakończywszy na sześciu zeszytach to niezbyt szczęśliwe pomysłem i wykonaniem wydawnictwo, podjął z początkiem r. 1870 nowy organ „Tydzień polityczny, naukowy, literacki i artystyczny,” w którym, wedle zapowiedzi prospektu, literatura i sztuka pierwsze miejsce miały zajmować; programu politycznego nie formułował redaktor, pragnąc utrzymać się na stanowisku bezpartyjnym, dążyć do jednoczenia, do wskazywania takich zadań społecznych, któreby mogły skupiać ludzi różnych pojęć. Mimo to, pod wpływem takich spraw, jak ówczesny sobór watykański i wojna francusko-niemiecka, polityka wysunie się w „Tygodniu“ na pierwszy plan. Kwestya nieomyślności papieskiej, w której „Tydzień“ stanął po stronie opozycji, wywołała

zaciętą walkę z organami katolickimi w Poznańskim. Przy kilkuset prenumeratach w Wielkopolsce a kilkudziesięciu zaledwie w Galicyi, nie mógł „Tydzień“ ani wywierać wpływu szerszego, ani pokrywać kosztów. To też w połowie r. 1871, wraz ze sprzedażą również straty znaczne przynoszącej drukarni, zwinął Kraszewski to pismo i za organ do wypowiedzania się w sprawach publicznych obrał sobie wychodzący wtedy w Krakowie dziennik p. n. „Kraj.“ Lecz współpracownictwo to trwało rok zaledwie. Zniechęcony do działalności politycznej i publicystycznej, która raczej osłabiła, niż wzmocniła uznanie, zdobyte twórczością literacką, usuniętą teraz na drugi plan, zwraca się znowu Kraszewski ku tej zaniedbanej, a najzgodniejszej z uzdolnieniami i upodobaniami literata-artysty działalności, by rozwinąć w tym kierunku zdumiewającą płodność.

Na zamknięcie okresu publicystycznego, trwającego lat 12 (od „Wieczorów wołyńskich“ r. 1859 do r. 1872) ogłosił, z okazji setnej rocznicy pierwszego rozbioru, rodzaj testamentu politycznego w broszurze „Program polski—myśli o zadaniu narodowym,“ datowanej z Dreżna, 3 sierpnia r. 1872. Wierny swej roli wyrażiciela opinii i uczuć ogółu, powiązał też w całość programu zasady ogólne i przekonania, przyjęte wtedy i ustalone we wszystkich światlejszych duszach.

VIII.

O ile, jako polityk, publicysta, nie był zdolny Kraszewski kierować opinią i nadawać bieg sprawom publicznym, o tyle osłabiony w ciągu lat ostatnich wpływ na dusze ogółu odzyskał i spotęgował nawet całym szeregiem świetnie wykonanych, starannie obmyślanych powieści. Podczas, gdy pismo polityczne posiadało ograniczoną sferę wpływu, gdyż nie miało wstępu w granice panowania rosyjskiego, to powieści, ogłaszane w Warszawie, rozchodziły się po całym obszarze ziem i kolonii polskich, a liczne przekłady na obce języki rozniosły imię Kraszewskiego po Europie. Pierwszym owocem tej odmłodzonej twórczości sześćdziesięcioletniego pisarza była świetna, jako wynik poważnej obserwacji i pogłębionego pojmowania objawów współczesnego przekształcania się stosunków społecznych, historia upadku możnego rodu, zatytułowana „Morituri“ (r. 1873). Możliwość w niej upatrywać wymowną, prawdą, spokojem i artyzmem silną i przekonującą

odpowiedź na roszczenia sfer arystokratycznych do przewodnictwa w życiu narodowym. O ile jako publicysta Kraszewski nie wyszedł zwycięską ręką z walki, jaką toczył z obozem zachowawczym, mającym za obrońców dojrzałe politycznie głowy i zdolniejsze do takiej szermierki pióra, to jako powieściopisarz, artysta, odniósł tryumf nad przeciwnikami, ukazując w wiernym, obiektywnym, wolnym od wszelkiej tendencyjności obrazie, słabość i umysłową i moralną, niepraktyczność w sprawach materialnych, nierozumienie zmienionych stosunków społecznych i warunków bytu, wywołujące upadek rodów możnych. Wyrazem gorliwości patriotycznej w poznawaniu i gromadzeniu wszelkich świadectw dziejowych, odnoszących się do przeszłości, było znowu ogłoszone r. 1873 dzieło „Polska w czasie trzech rozbiorów“ (Poznań, 1873—75, trzy tomy), najpoważniejsza rozmiarami i obfitością świadectw, rozjaśniających te czasy, z prac wywołanych tą smutną, a tak zniewalającą do zagłębienia się w przyczyny katastrofy, chwilą kończącego się stulecia naszego bezdziejowego żywota.

Poważnym wyrazem, syntezą niejako dotychczasowej pracy Kraszewskiego nad poznaniem życia wewnętrznego narodu w jego dziejowym rozwoju, był przedstawiony świeżo utworzonej Akademii Umiejętności w Krakowie i w jej „Sprawozdaniach“ z r. 1875 ogłoszony projekt „Encyklopedyi starożytności polskich.“ Z tegoż roku pochodzi małe arcydzieło odczucia i odtworzenia przeszłości w obrazku „Ostatnie chwile księcia wojewody,“ tudzież słabsze artystycznie, tendencyą społeczną nacechowane przeciwstawienie procesowi rozkładowemu rodów możnych, skreślonemu w „Mortuarii,“ dźwiganie się podupadłej rodziny przez przystosowanie do nowych warunków i podejmowanie nowych obowiązków w powieści „Resurrecturi.“ Wyrazem upodobań zbieracza, rozpatrującego z zapałem bogate zbiory drezdeńskie i artysty, odtwarzającego z pomocą tych zabytków, na tle pałaców i ogrodów z wieku XVIII pochodzących, bogate tak w charakterystyczne postacie i jaskrawe rysy obyczajowe życie dworu saskiego w epoce wspólnych z Polską, a tak dla niej fatalnych władców—jest cały cykl powieści wysokiej wartości, odtwarzających te czasy. Szereg ich zaczyna w r. 1873 najlepsza artystycznie: „Hrabina Cosel.“ Bogactwo materiału, nagromadzonego w zbiorach drezdeńskich tak w oddziale sztuki i rycinach, odtwarzających zewnętrzną stronę epoki saskiej, jak w listach i pamiętnikach, odsłaniających intrygi i miłostki, stanowiące wraz z zabawami, polowaniami, przeglądami wojsk treść tego życia—podniecało zbieracza i artystę, jakim był

współcześnie Kraszewski i pobudzało do opracowywania „con amore“ obrazów, będących przede wszystkim ilustracją świetną jaskrawości obyczajowych, ale nie odsłaniającą nam myśli historyzoficznej twórcy, zajętego zanadto szczegółami.

Wymownym wyrazem odrodzonej energii twórczej Kraszewskiego i jego dążności do umocnienia stanowiska wobec społeczeństwa środkami skuteczniej działającymi na dusze, serca zwłaszcza, niż programy i polemiki polityczne, był powzięty w r. 1875 zamiar opracowania całości dziejów Polski, w szeregu opowieści historycznych, zamiar, mający swe oparcie i uzasadnienie zarówno w zasobach rozległych wiadomości historycznych twórcy i jego uczuciach gorętszych teraz, niż w latach młodszych, jak i w potrzebach duchowych czytelników polskich, pozbawionych—z wyjątkiem Galicyi—szkoły polskiej, częstokroć i sposobności poznamienia się w domu z przeszłością ojczyzny. Wprowadzając ten zamiar bezzwłocznie w czyn, ogłasza Kraszewski już w następnym roku (1876) pierwszą z tych powieści „Stara baśń,“ odtwarzającą czasy przedhistoryczne Polan z pomocą rysów kulturalnych, przeniesionych ze znanych lepiej pierwotnych stosunków Słowiańszczyzny zachodniej. Artyzm krajobrazów i scen, przedstawiających obchody, obrzędy i rysy obyczajowe tych zamierzonych czasów, odbicie w duszach ówczesnych cech, znamionujących późniejsze pokolenia rysów charakteru polskiego, wywołało gorące przyjęcie dla utworu, który odrazu trafił do serc i wyobraźni czytelnika i dotąd, jak o tem świadczą liczne wydania, nie stracił siły przyciągającej.

Cały szereg bogatych w piękności artystyczne i pociągających przenikającym je uczuciem narodowym, sympatycznymi dla ogółu dążnościami, wraz ze zdumiewającym rozszerzeniem różnokierunkowej działalności literackiej i naukowej, współpracownictwem stałem we wszystkich ważniejszych czasopismach warszawskich, krakowskich, poznańskich, wywołało w całym społeczeństwie podziw, cześć i miłość dla niezornowanego karmiciela i krzepiciela dusz polskich w tak ciężkich dla życia narodowego czasach spotęgowanej rusyfikacji w Królestwie i na Litwie, a germanizacji w Poznańskiem. Już w r. 1874 młodzież „postępowa“ z Królestwa złożyła sędziwemu przodownikowi w pracy społecznej hołd swój w skromnej formie „Albumu“ z 62 fotografiami literatów i artystów młodych. Wręczyli je w dniu 19-go marca w Dreźnie, przebywający wtedy na studiach w Lipsku, młodzi pracownicy: Piotr Chmielowski i Julian Ochorowicz. Przypadające w r. 1880 pięćdziesięciolecie pracy Kraszewskiego wywołało

we wszystkich dzielnicach polskich w duszach rosnącego z każdym rokiem zastępu czytelników i czcicieli najpopularniejszego z pisarzy polskich pragnienie złożenia mu hołdu, odpowiadającego okazałością i uroczystością wielkości zasług, ogromowi pracy wielości dzieł, hołdu, któryby zarazem zmanifestował wobec świata żywotność, nierozdzielność i solidarność narodu, istniejącego i rozwijającego się mimo wszelkich zamachów na jego byt i wysiłków polityki wynarodowienia. Ze względu na słabnące zdrowie jubilata przyspieszono termin uroczystości, wyznaczając na nie jesień r. 1879. Na miejsce obchodu wybrano jedyne możliwe i najodpowiedniejsze zarazem miejsce—Kraków, który przy słabnącem wówczas życiu duchowem Warszawy, Poznania i Wilna, zaczynał koncentrować pracę naukową, twórczość artystyczną i działalność kulturalną całej Polski.

Uroczystości jubileuszowe w Krakowie (3, 4 i 5 paźdz. 1879), w których wzięło udział, prócz miejscowej ludności, do 12,000 przybyłych umyślnie gości ze wszystkich dzielnic i kolonii polskich w Europie i Ameryce, stwierdziły wymownie zarówno siłę i szerokość wpływu, jaki wywarł Kraszewski, jako pisarz i pracownik społeczny, na cały naród, jak też postępy uświadczenia narodowego i uspołecznienia, osiągniętego przez rosnącą ilościowo i postępującą kulturalnie ludność. Uważany jako egzamin dojrzałości i manifestacja praw do życia narodowego obchód ten wypadł zadawalająco. Zarówno skupienie się najwybitniejszych sił duchowych ówczesnych, jak podniesiony przez tło wspaniałych pomników przeszłości i powagę chwili nastrój uczuciowy, wywołane przez nie dary ofiarne i zamierzenia doniosłe, wreszcie hołd złożony jubilatowi, a w jego osobie i społeczeństwu, udzieleniem mu zaszczytnych odznaczeń ze strony cesarza austriackiego i króla włoskiego—nadały jubileuszowi Kraszewskiego znaczenie doniosłego, pokrzepiającego duszę narodową faktu dziejowego. Dla jubilata była to chwila szczytowa w rozwoju jego półwiekowego stosunku do społeczeństwa. Dwudziestomilionowy naród uznawał i cenił w nim, jeśli nie wodza duchowego, to w każdym razie przodownika społeczeństwa w jego pracy kulturalnej, nauczyciela i budziela. Żaden z wielkich naszych pisarzy i wodzów duchowych nie odebrał za życia podobnego hołdu, żaden bowiem nie był tak blizkim społeczeństwu, tak zespolonym z ogółem przez organizację duchową, uzdolnienia i słabości nawet. Mimo to, gdy po skończonych a ciężkich do przebycia dla podupadłego na siłach jubilata obchodach, zdawał sprawę w liście do przyjaciela (Adama Pługa) ze swych wrażeń i wzruszeń, wyraził się, iż trudno

mu rozstrzygnąć, azali ten „jubileusz był peregierzem czy tryumfem.“ O tyle silniejszy fizycznie i duchowo, przyszedł gnębiel Kraszewskiego — Bismarck, w chwili gdy osiągał urzeczywistnienie swego największego dzieła politycznego, zjednoczenia Niemiec, podczas ogłoszenia cesarstwa w obliczu pokonanej Francji, w dawnej siedzibie jej królów, przechodził także, jak świadczą wydane po zgonie kanclerza listy, moralne tortury, które zatrwały mu całą rozkosz duchową, jaką mógł wtedy odczuwać. Tryumf przypada w takich chwilach wielkiej idei, którą swym trudem wydzwignął oddany jej pracownik, on sam zaś odczuwa natomiast wtedy silniej daleko bolesne ukłucia niechętnych, intrygi zawistnych, pomruki wrogów, niż hołdy składane przez tłumy jego dziełu.

IX.

Utrzymać się na stanowisku zdobytem półwiekową pracą, przy doprowadzonej teraz do ostatecznych granic produkcji duchowej, było rzeczą niemożliwą dla 67-letniego starca, schorowanego, wyczerpanego świeżymi wysiłkami i wrażeniami, oderwanego od koła rodzinnego i ziemi ojczystej. Choć twórczość piśmiennicza niewiele się zmniejszyła, ale wartość jej uległa obniżeniu. Przestały się ukazywać dzieła, budzące gorące uznanie i ogólne zainteresowanie. Dalsze opowiadania z cyklu powieści historycznych, pośpiesznie tworzone, stąd szybko zjawiające się z kolei, okazywały się coraz słabszemi. Doprowadził jednak wytrwały w wypełnieniu zobowiązań pracownik dzieło swe do końca czasów saskich i w ciągu lat 12 dostarczył wydawcom 78 tomów tego cyklu. Mnożące się przekłady utworów dawniejszych, niemieckie zwłaszcza, skłoniły redakcję wiedeńskiej „Neue Freie Presse“ do zamówienia u Kraszewskiego powieści specjalnie dla tego dziennika utworzonej. Czyniąc zadość temu wezwaniu, przesłał 70-letni pisarz na tle kosmopolitycznem osnuty, starannie opracowany romans „Bez serca“ (1882). Szeroko rozwiniętą działalność w zakresie sprawozdań z ruchu literacko-naukowego i twórczości artystycznej, tudzież różnorodnych zjawisk obyczajowych i kulturalnych, prowadził teraz wytrwale w najpoczytniejszych tygodnikach warszawskich. Jednocześnie przecie w dziedzinie twórczości literackiej zabłysły w kraju gwiazdy, których coraz jaśniejszy blask, świeżość i odrębność artyzmu, żywość i siła uczucia zaczęły wywierać co-

raz silniejszy wpływ na dusze czytelników i opanowywać je stopniowo. Rosnące dla nich uznanie odwróciło ogół od nieprzystających się ukazywać, lecz tracących powab i siłę, pospiesznie kreślonych opowiadań słabnącego duchowo starca. Łączność między społeczeństwem a jego przodownikiem słabła z każdym rokiem. Ni krzepić dusz, ni wyrażać ich nowych dążeń, nastrojów, odczuć, nie był zdolnym już ten półwiekowy wyraziciel ich treści. Zwrócił on jeszcze raz na siebie współczucie całego społeczeństwa i uwagę całej Europy, gdy został bohaterem smutnej dość sprawy, która wywołała dla niego sympatię jedynie ze względu na wiek podeszły, stan zdrowia, szlachetne pobudki czynu a brutalną mściwość potężnego przeciwnika, usiłującego zgniebić w czczonym tak przez ogół starcu cały nienawistny wielkiemu politykowi naród.

Oburzony działalnością polityczną Bismarcka, a zwłaszcza spotęgowaniem akcji germanizacyjnej w Poznańskim po r. 1870, podjął się Kraszewski, podobno jeszcze 1876 r., pośrednictwa w dostarczaniu władzom francuskim, wojskowym mianowicie, sprawozdań i wiadomości, dotyczących się sił wojennych niemieckich, ich rozłożenia, planów uruchomienia i t. p. W tym celu wszedł w stosunki z nędznymi osobistościami, które, mając dostęp do sfer wojskowych, zobowiązały się dostarczać, za dobrem wynagrodzeniem naturalnie, żądanych wiadomości. Korzystając z niedoświadczenia, niezdolnego do prowadzenia takich spraw, a więc łatwo dającego się opłatać pisarza, nieszczemny aferzysta przez kilka lat wymuszał od Kraszewskiego znaczne sumy pieniężne groźbą denuncjacji. Wreszcie, wobec odmowy dalszych wypłat, zawiadomił o wszystkim policję pruską, składając jednocześnie listy, jakie otrzymał w tej sprawie od polskiego pisarza.

Od rewizji p. pierów, odbytej w kwietniu r. 1882 i dokonanego później aresztowania aż do wydania wyroku przez trybunał niemiecki w Lipsku (lipiec 1884 r.) i uwolnienia czasowego (w listopadzie 1885 r. za kaucją 30,000 marek) z więzienia, odsiadywanego w Magdeburgu, przez półczwarta roku smutna ta sprawa żywo zajmowała społeczeństwo polskie. Współczując cierpieniem moralnie zgneźbionego i dręczzonego chorobą starca, ze smutkiem i rozczarowaniem głębsze umysły oceniały błędy postępowania i niedorastające do powagi zdobytego stanowiska i znaczenia politycznego, nadanego procesowi przez rząd pruski, zachowanie się tego czczonego tak niedawno moralnego przedstawiciela narodu. Można by jednak dodać, iż w tych błędach i słabościach swoich był Kraszewski, jak w całym życiu swoim, wyrazicielem stanu du-

chowego społeczeństwa, tracącego stopniowo, pod wpływem długotrwałego ucisku i zastoju w pracy kulturalnej, zarówno zdolność działalności politycznej, jak siłę moralną. Stwierdza też on swym życiem to, stale cechujące nasze dotychczasowe dzieje zjawisko, dokonywania się pracy kulturalnej, nie zbiorową, zorganizowaną działalnością ogółu, lecz wysiłkami, ofiarnością, gorliwością jednostek, biorących na siebie zadania i ciężary, do których podjęcia brak chętnych i zdolnych pracowników, brak instytucji i kół, popierających skutecznie takie cele.

Jedyną też cechą, której nie dzielił z ogółem, a górował nad nim stale, jako niedoścignionym przykładem, była nie słabnąca, mimo wieku i wzmagającej się choroby, nie przerywana ani przez zakłócający spokój duszy proces polityczny, ani rygory więzienne, wytężona działalność produkcyjna, bezprzykładna pracowitość. Pod tym względem sąd potomności może być zgodnym z opinią współczesnych: w uznaniu i podziwie dla pracy wytrwałej, ku celom społecznym skierowanej.

Gdy wspomniały pochód pogrzebowy prowadził w d. 18 kwiet-1887 r. zwłoki zmarłego (w Genewie 19 marca), by złożyć je na Skałce, w grobach dla zasłużonych krajowi mężów, naród polski czcił w Kraszewskim nie tyle płodnego pisarza, wyraziciela wier- nego duszy ogółu, ile olbrzyma trudu, świecącego swym przykładem społeczeństwu, w którym wytrwałość w działaniu, cześć i miłość dla pracy są dotąd rzadkimi przymiotami, szerzącymi się powolnie, pod wpływem rosnącej oświaty, a zwłaszcza ciężkich konieczności życiowych.

BRONISŁAW CHLEBOWSKI.

Wspomnienia z niedawnej przeszłości.

IV.

Zachowałem dotąd malutki notesik, w jaki zaopatrzyła mnie troskliwość najbliższych, gdzie notowałem ważniejsze daty dalekiej wędrówki. Mogę je więc przytoczyć bardzo ściśle, bez niebezpieczeństwa pomyłki. Przebiegam więc myślą kolejne dni podróży.

Dnia 9 lutego, późno już w noc, kazano nam zebrać rzeczy i przeprowadzono do innej izby, w której zastaliśmy gromadkę, oczekującą również wytransportowania. W pośrodku izby stało kowadło. Niektórym nakładano na nogi kajdany i na owym kowadle zakuwano na nity. Po skończonej operacji oczekiwaliśmy jeszcze parę godzin, zanim nas przewieziono (czy może przeprowadzono) na Pragę na dworzec Petersburski. Tu pod ciągłą pozostawaliśmy eskortą. Z nastaniem dnia 10 lutego przeprowadzono nas do wagonów z małymi okratowanymi okienkami w górze, tak, że tylko wspiąwszy się na ławki, można było zobaczyć, co się dokoła dzieje.

Na peronie dworca pełno policyi i wojskowych, a zarazem czarno ubranych kobiet, szukających oczami krewnych, lub znajomych, ażeby ich pożegnać dobrym słowem, lub błogosławieństwem, wręczyć pamiątkę jakąś, rzucić słowo pociechy, lub zaśniętek pieniężny na daleką drogę. Któż z nas byłby obojętnym na te dowody współczucia czy przyjaźni. Nie wszyscy przecież mieli tę pociechę w chwili rozstawania się z krajem. A rozstawanie to zapowiadało się na długie lata, może na zawsze, bo wyroki opiewały deportacyę na całe życie. Niedawne przy-

kłady zesłanych za poprzedniego panowania, poprzedzającego nas pokolenia, wracających do kraju złamanymi starcami, nie wróżyły dla nas pomyślniejszej doli.

Opuszczaliśmy też Warszawę przygnębieni, jakby w znieczeniu jakimś. Gdy pociąg ruszył, na peronie rozległ się głośny płacz i lament zebranych tam kobiet. Pospępane, zachmurzone niebo, zanglone powietrze, było odpowiedniem tłem smutnego obrazu tego poranka, potęgując jeszcze smutny nastrój wszystkich i każdego.

Przy tym nastroju, skupieni w sobie, nie wiele zwracaliśmy uwagi na okolice, które nie tylko przejeżdżaliśmy poraz pierwszy w życiu, i już tem samem ciekawe, ale które żegnaliśmy poraz ostatni może. W miarę, jak oddalaliśmy się od kraju, i przejeżdżali okolice obce, tem mniej było pobudek do przyglądania się krajobrazom. To tylko pamiętam, że wyjechaliśmy z Warszawy w czasie odwilży, że ziemia była wolną od śniegów, a w miarę posuwania się ku północy, było ich coraz więcej.

11-go lutego w południe byliśmy w Dyneburgu. Tu poraz pierwszy pozwolono nam wyjść z wagonów i posilić się na dworcu. Następnego dnia po południu, stanęliśmy w Petersburgu.

Wprowadzono nas do dużego przedsionka dworca kolejowego. Oprócz nas, wyprawionych z Warszawy, widzieliśmy sporą grupę jeszcze innych zesłańców, pobieranych zapewne po drodze — z Grodna, Wilna i Dyneburga. Przysłany przez władze felczer, obchodził wszystkich, zapytując, czy kto nie chory i nie potrzebuje pomocy, z którą się ofiarował. Ktoś inny zapytywał, czy kto nie ma gdzie jakich zleceń, i do kogo mianowicie. Ktoś znowu — jakieś kobiety wypytywały o potrzeby, ofiarowywały się z bielizną, może i zasiłkiem pieniężnym, ale zdaje się, że nikt z naszej grupy z tego nie korzystał.

Pod wieczór, wyruszyliśmy dalej ku Moskwie. Dozwolono nam wysiąść w Twerze, gdzie zaimponował nam wspaniały dworzec kolejowy, pełen egzotycznych roślin, odbijających kontrastem od mrozów i śniegów, panujących dokoła. Dnia następnego około godziny 12 w nocy, byliśmy w Moskwie.

Tu rozdzielono nas na partje i porosyłało po aresztach cyrkułowych. O godzinie 5 zrana znaleźliśmy się w więzieniu cyrkułu Pryczyńskiego czy Preczystieńskiego.

Skoro zostaliśmy tu zainstalowani, przyszedł urzędnik dla spisania nas, zapytując zarazem o stan każdego z więźniów, a mianowicie, kto z nas należy do stanu przywilejowanego,

szlacheckiego. Już to przez koleżeństwo z towarzyszami naszymi ze stanów nieuprzywilejowanych, już to w mniemaniu, że jednocześnie z pozbawieniem praw stanu, (wypływającym z wyroków) nie mamy już prawa zaliczać się w poczet stanu uprzywilejowanego, oświadczyliśmy, że nie ma wśród nas nikogo uprzywilejowanego. Wypłacono więc strawne wszystkim według zmniejszonej normy, z zyskiem dla skarbu, czy też skarbnika, który przecież mógł na liście imiennej skazańców znaleźć dokładniejsze informacje co do stanu każdego, a stąd i przypadającego mu grosza. Dowiedzieliśmy się później, że w innych cyrkułach wypłacano naszym kolegom po kop. 25 dziennie, gdy nam wydawano tylko po 5 kopiejek na całodzienne utrzymanie.

Mieliśmy tu pozostać dni kilka. Wśród monotonnego życia w więzieniu, zdarzyła się rozmaitość. Zaproponowano nam łaźnię, kilkunastu oświadczyło chęć ku temu; poszli więc pod konwojem. Tu spotkaliśmy się poraz pierwszy z nieznanem gdzieindziej współczuciem dla więźniów i miłosierdziem iście chrześcijańskim. Jakiś kacap, widząc konwojowanych więźniów, podszedł, i dał najbliższemu datek pieniężny, a gdy ten się wzdragał, prosił, nalegał, ażeby datkiem nie pogardzał, aby przyjął to, co mu ofiaruje z miłości Chrystusa. Ale zdarzył się też incydent, że inny znów mieszkaniec Moskwy, poznawszy w więźniach powstańców, krzyknął im przy spotkaniu pogardliwie: „do lesu!”

18 lutego wyprawiono nas dalej, każdego pod eskortą oddzielnego żandarma. Przejeżdżając do dworca, spotkaliśmy uliczników, wygrażających nam pięściami; kobiety i młodsze pokolenie obrzucały nas wrogiem spojrzeniem, którego nie dostrzegaliśmy u dojrzałych mężczyzn. Wsiadliśmy do wagonów klasy III, i o 4-ej po południu opuściliśmy Moskwę.

Jakkolwiek usposobienie, w jakim byliśmy, nie sprzyjało robieniu spostrzeżeń podróżniczych, to przecież pomimowoli uderzało oczy coś nowego, czego się jeszcze nie widziało. Mnie osobiście uderzyły przedewszystkiem kształty wieżyc świątyń moskiewskich, kształty, jakich przedtem nie spotykałem: z ośmioboku u dołu, w wyższych piętrach przechodzą w ostrosłup. Nie są piękne, ale niezwykle dla naszego oka. Szczególniej wiele takich widzieć można w Moskwie.

19 lutego zrana przybyliśmy do Niżnego-Nowgorodu. Staaliśmy w drewnianym dworcu kolejowym, leżącym na lewym brzegu Wołgi. Stąd dorózkami przejechaliśmy Wołgę po lodzie, do właściwego miasta, składającego się z padołu, t. j. części, po-

łożonej tuż nad rzeką, u podnóża wyżyny, i części górnej, leżącej już na wyżynie. Przy ulicy, prowadzącej do części górnej, uwagę naszą zwróciła świątynia z bogatą ornamentacją zewnętrzną, która pokrywa ściany od góry do dołu.

Dowieziono nas do poczty, przed którą w jakiś czas zajechało kilkanaście sani, zaprzężonych w trójki. Temi trójkami mieliśmy jechać dalej.

Partya, która tę podróż odbywać miała, liczyła 33 zesłańców, 33 żandarmów przy nich, pozostających pod komendą oficera żandarmeryi. Do każdego sani, zaprzężonych w trójkę, siadało 2 skazańców i 2 żandarmów; oficer jechał sam, oddzielnie, na końcu tej kalwakaty.

Tu srożyła się zima w całej pełni. Śnieg skrzypiał pod kopytami końskimi; dachy, pokryte grubo śniegiem, lśniły od słońca brylantowymi odbłyśkami. Ręce konie pędziły całą siłą. Dzwonki, przyczepione do każdej duhy, to jest masywnego kabłąka, jaki stanowi charakterystyczną część składową zaprzęgu rosyjskiego, dźwięczały nieustannie w uszach, dzwoniąc nawet nad samymi uszami, skoro tylko następne sanie pędziły tuż za poprzedniami.

Pędziliśmy tak dzień i noc, bez przerwy, zatrzymując się tylko na stacyach dla wypicia herbaty i zjedzenia obiadu, obstawianego już naprzód telegraficznie. Wszystko to odbywało się w izbach pocztowych, poza których obręb wyjść nie było wolno. Żandarman konwoju nie dozwalał nawet dysponować własnym naszym pakunczkiem podróżnym, lecz sam miał nad nim pieczę, sam otwierał i zamykał.

Droga prowadziła prawie ciągle po zamarzłej Wołdze. Brzeg jej prawy stromy i wyniosły, porośły lipą, usiany wsiami i miasteczkami; lewy niski i płaski, pusty, porośły jedynie niskimi krzewami, gdzieś tam kępy lasu. Prawy brzeg, zamieszkują przeważnie Czuwasi (odłam plemienia permskiego) mówiący językiem, który oni sami uważają za odłam języka tatarskiego. Jakoż w mowie ich często powtarza się dźwięk „*rt*“, tak charakterystyczny w mowie Tatarów. Wyznają religję prawosławną (przynajmniej formalnie). Językiem rosyjskim mówią, lecz niepoprawnie. Kobiety przystojniejsze, niż w tych okolicach, jakie dotąd mijaliśmy.

Po lewym brzegu Wołgi siedzą Czeremisy.

Już na kilka mil powyżej Kazania, osiedli Tatarzy, mahometanie. Wsie stawiane nieporządnie, budowle zaniedbane. Podej-

rzliwi i gnuśni, nawet dla zarobku obojętni. Jest zwyczaj na wszystkich traktach pocztowych Rosyi, że dla przyjezdnych jest zawsze w pogotowiu samowar. Tu i tego doprosić się nie było można, i dopiero na surowy rozkaz konwojującego nas oficera, dostawiliśmy go w końcu, za co darli niemilosiernie.

Dojeżdżamy do Kazania 22 lutego. Wspaniała grobla prowadzi do miasta. Po lewej stronie gościńca pomnik w kształcie ostrej piramidy. Miasto samo w ładnem położeniu. Tatarów mnóstwo. Wyróżniają się od Rosyan krymkami, które noszą pod czapką, na golonych głowach; krymki te niekiedy przetykane srebrem, są głębsze od tych, jakie noszą żydzi polscy. Mają tu swoje meczety i swoje nabożeństwa.

Skorzystałem z bytności w tem mieście. W czasie podróży z Niżnego do Kazania, już mogłem przekonać się, że mój kożuszek dobry nad Wisłą, nie zabezpiecza mnie dostatecznie od tu-tejszych chłódów. W nocy zwłaszcza, kiedy się zdrzemnie, przejmujące na wskroś zimno rozbudza i sen odbiera. Skulony, siadam w nogach siedzenia, ale i to nie pomaga. A tu zapowiadają, że im dalej posuwać się będziemy, tem większe napotkamy zimno. Trzeba było skorzystać z bytności w mieście i zaopatrzyć się w kożuch cieplejszy. Jakoż można to było uskutecznić bez trudności. Za niewielkie pieniądze nabyłem wielki tułub barani, z żółtym włosiem i na żółto wyprawioną skórą, tułub, w który mogłem się owinąć 2 razy z głową i nogami. Od tego czasu nie marzłem już na saniach, ale poprzednie przeziębienie odezwało się w kilka dni później.

Mineliśmy już i Kazań. Malownicze, pagórkowate okolice ciągną się jeszcze za Kazaniem mil parę, potem step równiny i pusty—wsie rzadkie, wielkie przestrzenie, na których nie widać śladów pracy ludzkiej. Drzewa dominujące: sosna i brzoza. Konie dość rosłe, a nigdzie nie spotkałem tyłu razem koni graniastych, co w kraju Kazańskim, jakby ta maść przeważała.

Kilkanaście mil za Kazaniem, spotykamy znów lud inny—Wotiaków, co wymawiają tu jakby utiaków ze skróconem wymawianiem *u*—jakby półgłoską. Należą oni, podobnie jak Czuwasi, do plemienia permskiego, ale język ich niepodobny ani do tatarskiego, ani do czeremskiego. Tu spotykamy się z wyborną, wyłączną tej krainie, rasą koni wiackich (wiatskich). Małe, jak nasze kucyki, dość zgrabne, przeważnie maści myszatej i bułanej, z charakterystyczną ciemną pręgą na grzbiecie, są niesłychanej

wytrwałości, o czym mieliśmy sposobność przekonać się przy następującej okazji.

Na jednej ze stacyi pocztowych w tej gubernii, zatrzymaliśmy się nieco dłużej, żeby się posilić obiadem. Tymczasem konie przeprężnięte stoją przed domem i czekają, aż skończymy obiadowanie. Na dworze mróz siarczysty — woźnice weszli do izby, ażeby się rozgrzać. W tem coś nastraszyło konie, i jedna trójka, spłoszywszy się, popędziła w kierunku, w jakim stała—t. j. zwrócona w stronę naszej drogi. Na dźwięk dzwonek, ruszyły się inne trójki, i jedna za drugą popędziły z kopyta—bez woźniców zupełnie. Poszły wszystkie. Dalej jechać nie ma na czem. Na nową taką samą partję trójek już wieś zdobyć się nie może; potrzeba sprowadzić tamte. Wyszukano na wsi jakieś konie i sanie i kilku woźniców popędziło za tamtymi. Dopędzili ich dopiero na stacyi następnej, gdzie stanęły spokojnie. Zawrócono je, i popędzono z powrotem na stacyę, gdzie oczekiwaliśmy na nie. Skoro stanęły przed pocztą, wnet kazano siadać, i w drogę. Odległość stacyi była wiorst 30, konie więc przebyły już 60 wiorst bez popasu, i gdy puściły się w bieg, szły, jakby prosto wyprowadzone ze stajni. Przebiegły więc jednym ciągiem 90 wiorst. Po raz pierwszy spotkawszy się z taką wytrwałością koni, nie mogliśmy wyjść z podziwienia; a kto obyty ze stosunkami wiejskiego gospodarstwa, przekonał się naocznie o słuszności tych, którzy w latach ostatnich nawoływali do aklimatyzacji tej rasy w kraju naszym, i poprawy przy jej pomocy naszego drobnego i niezgrabnego konia włościańskiego.

26 lutego—jesteśmy w Permie. Miasto sprawia wrażenie panującego tu niechlujstwa, brudne i nieporządne, przytem w dzikiej okolicy, gdzie znów spotykamy się z Tatarami. Przeważnie jednak zaludniają ten kraj osadnicy rosyjscy. Wsie rzadkie, można przejechać 25 wiorst, nie spotkawszy osady ludzkiej, ale zabudowane porządniej, wiele domów pokrytych blachą, pomalowaną na zielono, niekiedy piętrowych, a całość wsi robi wrażenie sporego miasteczka.

Śniegi coraz głębsze. Po naboju, środkiem gościńca, mkną sanie lekko; ale mijać się trudno, bo albo jedno albo drugie sanie muszą buchać się w śniegu. Mijamy się tak z partyą rekrutów, dążącą do miasta gubernialnego. Młodzież pijana obrzucała nas ze swych sani wyzwickami, a korzystając ze zwolnionego biegu, waliła spotkanych batami. Karesy te są zwykłe względem wszystkich spotkanych po drodze. Innego dnia wyminieliśmy „partyę“

skazańców, pędzoną w tym kierunku, w którym jechaliśmy. Dreptała ona w głębokim śniegu. Przeważnie byli to kryminaliści, ale również byli i nasi wygnańcy. Widzieliśmy ich skutych łańcuchami na ręce, po kilku razem, a odróżnialiśmy po rogatywkach, kroju odzieży i długich butach, nie używanych w Rosyi. Domysł nasz był słusznym. Tylko z Królestwa byli skazańcy polityczni transportowani do Tobolska końmi (trzeba dodać—na koszt odrębnego wówczas Skarbu Królestwa Polskiego, co dało duży zarobek ludności rosyjskiej na trakcie od Niżnego-Nowogrodu do Tobolska, na przestrzeni niemal 2,000 wiorst). Skazańcy z Wilna szli pieszo od Niżnego-Nowogrodu; z Rusi zaś, gdzie kolei do Moskwy nie było jeszcze, szli pieszo od samego domu, a na przebycie w ten sposób podróży na miejsce skazania, często i roku nie wystarczało. Znałem takich, co 2 i więcej lat byli w drodze, zanim przybyli na miejsce przeznaczenia, gdy choroba, lub jakieś zamięszanie w dokumentach, zatrzymało ich dłużej w jakimś więzieniu etapowem. Podróż zaś ta na miejsce skazania, była cięższą jeszcze, niż sam pobyt w kaźni.

Przejeżdżamy Ural. Mamy wrażenie, że wyniosłości nie są wielkie, a stoki łagodne. Kształty przypominają nasze Ś-to Krzyśkie, tylko szerzej rozłożone od tamtych, i porośłe rzadko sosną i brzozą, podczas kiedy nasze pokrywają zwarte lasy jodłowe. Przy drodze, na linii grzbietu górskiego, a zarazem działu wodnego, stoi kamienny obelisk, oznaczający punkt graniczny Europy i Azji. Okolice fabryczne; dobywają żelazo. Mijamy miasto powiatowe Jekaterynburg (stolicę okręgu górniczego), które przy świetle księżycy i niedogastych latarni, bo przejeżdżamy je nad ranem, wydaje się porządnie zabudowanem i schludnem, jak wogóle siedziby ludzkie w tej okolicy.

Za Uralem wieś uboższe; zrazu okolice lesiste, przeważa tu sosna i brzoza, dalej świerk, a wreszcie wychylamy się na równiny, nieprzejrzone okiem.

Jesteśmy w Syberyi.

Co to jest Syberya? Kraina od Uralu do oceanu wschodniego, równa rozległością Europie całej, w swej części zachodniej stanowiąca obszerną równinę, we wschodniej i południowej najeżona górami, z których, lub przez które płyną jedne z największych rzek świata, bogata w dary przyrody, dotąd nie wyzyskane przez człowieka.

Nazwę „*Syberyi*“ wyprowadzają pisarze rosyjscy od nazwy rzeczki Sybirki, wpadającej do Irtysza o wiorst 19 od Tobolska.

Nad tą rzeczką wznosić się miała stolica tatarskiego chaństwa — Isker,¹⁾ którą Jermak zdobył, a następnie opanowawszy krainę, od tej rzeczki ją nazwał (Zawaliszyn). Sądzić jednak można, że źródło tej nazwy jest nieco inne. Wyraz „*Sybyrke*“ w języku tatarskim oznacza: *gałąź, miotłę, krzew*. W przeciwieństwie do stepów środkowo-azyatyckich, zupełnie bezdrzewnych, zaczynały się tu okolice, porastające drobnym krzewem, dalej lasem, a stąd prawdopodobnie przezwane krainą krzewów, gałęzi—Syberyą. Sama nazwa rzeczki „*Sybirki*“ ten sam może mieć początek, ile, że mieszkańcy Syberii do dziś dnia nadają nazwy rzekom i strumykom od rodzaju drzewa, przeważającego w puszczech, przez które te rzeki i strumienie przepływają. Pełno tu rzeczek z nazwą: Listwienniczna (Modrzewiówka), Kiedrowka (Cedrówka) i t. p.

3 marca stajemy w Tobolsku. Podróż nasza, licząc od Warszawy, trwała 3 tygodnie z okładem; od Moskwy jechaliśmy 2 tygodnie, to jest znacznie krócej, niż przepisywała marszruta, wyznaczająca na to podobno całe 3 tygodnie. Jak nas objaśniono, wytworzyła się na tem tle spekulacya swego rodzaju. Na każdego skazańca i na każdego żołnierza konwoju, rząd asygnuje strawne po ileś kopiejek dziennie, za cały czas, z góry wyznaczony na odbycie podróży. Konwojujący oficer wydaje rzetelnie owe strawne dzienne każdemu, za te dni, które przebywają oni w drodze; o ile zaś mniej dni trwa ta podróż, o tyle mniej wydaje pieniędzy w ręce więźniów. Pozostała stąd superata stanowi oszczędność, z której rachunku oficer nie zdaje, a każdy taki transport przynosi tej oszczędności po kilkadziesiąt rubli. Podwładni żandarml nie mają wprawdzie tego dochodu; ale znów im krócej są w drodze, tem mniej na siebie wydają, i z tego znów źródła robią oszczędności; oprócz tego, im krócej są w drodze, tem więcej mogą odbyć kursów; ale że każdy kurs coś przynosi, więc zarówno z oficerem są zainteresowani, ażeby prędzej przebyć tę drogę.

Pędziliśmy tak dniem i nocą, nie zatrzymując się nigdzie, bez noclegów, lub choćby dłuższego wypoczynku na stacyi, ażeby się choć rozzuć z obuwia, lub zmienić bieliznę. Sen nas morzył, bo przerywany w nocy, nie pokrzepiał sił w odpowiedniej mierze.

¹⁾ W r. 1896 będąc w Krakowie, dowiedziałem się od Ks. Wacława (Nowakowskiego) Kapucyna, że w chwili zdobycia Iskeru przez Jermaka, wśród zabranych przez tegoż jeńców tatarskich, znajdował się Polak, sekretarz chana sybirskiego. Pozostawił on pamiętniki, będące najdawniejszym opisem Syberii.

Na wpół senni i zmęczeni oglądaliśmy okolice, któreśmy przejeżdżali, stąd wrażenia tego, cośmy widzieli, nie zdołały się utrwalić w pamięci; i gdyby nie zwięzła jakaś notatka, zrobiona na razie, pamięć tego wszystkiego zatartałaby się bez śladu.

Miasto Tobolsk w malowniczym położeniu u stóp płasko-wzgórza, na którym stoi kilka świątyń i gmachy rządowe: rząd gubernialny, więzienie i t. d. Miasta górne i dolne połączone są ślimakowatym zjazdem i olbrzymimi schodami, prowadzącymi wprost po stoku wzgórza, do murów starego „Kremlu“—budowanego przez jeńców szwedzkich z pod Połtawy, stąd brama przejściowa nosi do dziś miano bramy szwedzkiej. Stok góry spadzisty, wysoki na kilkanaście pięt, nagi, niezadrzewiony. Według tradycyi, staczano po nim jeńców szwedzkich i polskich, przykutych do wielkich okrągłych kłoców, które staczając się z góry, miażdżyły nieszczęśliwych.

Z dolnego miasta posuwamy się zjazdem ku górnej jego części. Obok zjazdu stoi wyniosły obelisk, wykuty z szarego uralskiego kamienia, otoczony żelazną balustradą. To pomnik Jermaka, zdobywcy Syberyi, ustawiony tu w r. 1839. Dokoła niego ogród publiczny.

Wyjeżdżamy na szczyt wzgórza—gdzie na płaszczyźnie stoją rozrzucone największe gmachy miasta. Po zatrzymaniu się przed gmachem rządu gubernialnego, dojeżdżamy do innego—mieszczącego więzienia.

Wprowadzają nas przez jedną bramę, potem przez drugą, poza którą widzimy na przeciwległej ścianie wizerunek Chrystusa, kopję obrazu któregoś z malarzy europejskich: Chrystus między dziatkami, ilustrującego słowa ewangelii: „Przyjdźcie do mnie dziatki!“ Postawa Chrystusa, zwołującego do najostrzejszego miejsca kaźni, wydała się nam niewłaściwą. Jeżeli chodziło o pociechę religijną dla nieszczęśliwych, dla których głównie więzienia te istnieją (my bowiem jesteśmy tylko przygodnymi i rzadkimi tu lokatorami), słuszniej byłoby inny ustęp ewangelii w malowidle przedstawić, jakiś ustęp, odnoszący się do łaski i przebaczenia pokutującym za grzechy.

Umieszczono nas w trzecim dziedzińcu więzienia, kilkunastu razem. Tu odwiedził nas gubernator miejscowy—Polak, Despot-Zenowicz. Zapytywał o nazwiska, i za co kto zesłany. Otrzymawszy od kilku z kolei odpowiedź, że z oddziału powstańczego—takiego to i takiego—rzekł: „Oj wy durnie! durnie!“ Rozpytał jeszcze o potrzeby nasze, i już nie widzieliśmy go więcej.

Ponieważ zapadłem na silne zapalenie gardła, odtransportowano mię do szpitala tegoż więzienia. Sala, w której mnie umieszczono, obszerna, widna i czysta, pościel bez zarzutu. Zaczynny dr. Czeremszański, ordynator szpitala, opatrzył mnie, polecił przystawić pijawki na szyi, co wykonała jakaś niemłoda już niewiasta, pełniąca funkcję felczera. Doświadczałem ze strony całego personelu szpitalnego troskliwości, delikatności i współczucia, w ciągu całego czasu pobytu mego w szpitalu, od 5 — 14 marca. Po wyzdrowieniu, odesłano mnie pomiędzy innych, przeznaczonych do dalszego transportu.

Transportem więźniów i rozesłaniem ich po Syberyi, zawiaduje oddzielny urząd, nazwany „Prykaz o zsylnych“—(zarząd zesłańców), rezydujący w Tobolsku. Każdego więźnia oglądają tu, kwalifikują jego zdrowie, lata i siły, i odpowiednio do stopnia kary, na jaką jest skazany, wysyłają bądź do robót ciężkich, bądź na osiedlenie — słabych bliżej, zdrowszych dalej. Tu dają mu odzież, odpowiednio do pory roku, więc, jak obecnie, krótki pół kożuszek, spodnie, płaszcz, kroju szlafroka, czapkę, podbitą kożuchem, wszystko z grubego szarego sukna, i obuwie t. z. „brodnie,“ nieznane u nas, (gdzie podeszew obejmuje spód i boki stopy, a przyszew, pokrywa ją tylko od góry), obuwie obszerne, ażeby grube owinięcie stopy pomieścić się w niem mogło, płaskie, bez obcasów. Na plecach płaszcz wycięta łata, zaszyta suknem odmiennej barwy. Tu także kwalifikują chorych, którzy iść nie mogą, i z tego powodu mają prawo jechać na podwodach, towarzyszących partyi pędzonych aresztantów. Czy ze względu na wiek mój, i młody bardzo wygląd, czy też z innych powodów, Prykaz przeznaczył mi podwodę, na tej podstawie, że jestem rekonwalescentem, wychodzącym ze szpitala, chociaż się o to nie upominałem, bo i nie wiedziałem o prerogatywach tej lub owej kategorii ekspedycyjnych.

Dawniejsi moi towarzysze podróży odeszli tygodniem wcześniej. Dostają się w nowe kółko towarzyszów. Uformowany z nich oddział więźniów, tak zwana „partya,“ liczy trzysta głów z okładem, z których trzydziestu kilku skazańców „politycznych,“ t. j. skazanych przez sądy wojenne za udział w powstaniu, oraz blisko trzystu więźniów kryminalnych, skazanych za przestępstwa i zbrodnie zwykłe—„graždanskije.“

Co tydzień partye takie wychodzą z Tobolska, w dalszą podróż na wschód, pod konwojem wojskowym. Partya posiada prawa wybrać z pośród siebie „starostę“ — przedstawiciela jej wobec władz; starosta odbiera dla partyi przeznaczone strawne—po

7 kopiejek na głowę dziennie, rozdziela je pomiędzy poszczególne jednostki partii, załatwia między nimi drobniejsze spory i patroluje u władz w razie potrzeby, w imieniu partii, lub którego z więźniów. Każdy więzień ma prawo zabrać z sobą pakunek z rzeczami (na co otrzymuje skarbowy worek, objętości mniej więcej półkorcowej) i włożyć na podwoły, towarzyszące partii. Korzystać z podwołów mogą jeszcze kobiety, chorzy i dzieci należące do rodziny skazańców.

Przed wyruszeniem, ustawiają więźniów w dwa szeregi; podoficer oblicza ich, czy są wszyscy—według rejestru, wysłanego razem z partią. Oblicza jednak nie wzrokiem—bo według przysłowia: „Ruski człowiek oczom nie wierzy—trzeba się dotknąć.“ (Ruskij człowiek głazam nie weryt, nado poszczupat’), więc dotyka; a jeżeli ma przycięższą rękę, dotknięcie to zamienia się w uderzenie w piersi każdego z kolei kułakiem rachmistrza, aż się odezwie coś wewnątrz. Ale protestować przeciw temu zwyczajowi skazaniec niema prawa, bo praw wszelkich pozbawiony; jest jakby żywym towarem, który się transportuje z miejsca na miejsce—podobnie jak woły lub konie. Władzom idzie tylko o to, ażeby wszystko to doszło pod liczbą, bo za brakujących odpowiadają.

Skazani do robót ciężkich, są skuci za nogi. Zwolnieni bywają od tego (do czasu przybycia na miejsce) skazańcy ze stanów uprzywilejowanych: szlacheckiego i duchownego. Łańcuch, łączący skucia nóg, ma blisko 2 łokcie długości; ażeby mniej przeszkadzał w pochodzie, podwiązuje się go w połowie, przymocowując podwiązkę do pasa.

Po obliczeniu partii, następuje komenda: „Kajdaniarze na przód!“ („Kandalszczyki wpierod!“) Występują więc kajdaniarze, i dwójkami posuwają się ku bramie. Poprzedza ich 2 żołnierzy straży etapowej. Za kajdaniarzami idzie reszta partii—również dwójkami, z tyłu podwoły z chorymi i rzeczami. Po bokach kilkunastu piechoty i kilku kozaków na koniach.

Zdziwi może niejednego, że na 300 ludzi, nie mających nic do stracenia, tak mało straży: 20—30 ludzi zaledwie. Ale potrzeba znać stosunki tamtejsze, ażeby zrozumieć, że to zupełnie wystarcza. Wiedzą o tem skazańcy, że im partya idzie spokojniej, im mniej kłopotu robi dozorcóm swoim, tem bardziej liczyć może na pewne ulgi, na patrzenie przez szpary w razie uchybienia przepisom bardzo ostrego regulaminu i t. p. Partya więc, która wie, że o każdym jej wybryku komenda następna będzie uprzedzoną, dobra zaś opinja usposobi ją dobrze, stara się zachować

spokojnie; przez solidarność koleżeńską nikt również nie stara się uciekać z drogi, ażeby na pozostałych nie ściągnąć prześladowań władz więziennych. Milczące porozumienie zastępuje tu siły realne straży wojskowej.

Otoczeni tą słabą komendą, maszerujemy gościńcem, nabitym śniegiem. Codziennie przechodzimy odległość 3—4 mil polskich (20—30 wiorst), niekiedy więcej, zależnie od odległości stacyi od stacyi, położonych w bliskości wiosek przy trakcie.

Stacye owe zważ się „etapy“ i „póletapy“, podobnie jak na drogach żelaznych stacye i przystanki. Etapy mają obszerniejsze pomieszczenie dla więźniów, koszary dla żołnierzy, mieszkanie dla oficera, stajnie dla koni, magazyny na prowiant dla załogi i t. p. Tu mieszka oficer etapowy i podwładna mu komenda, złożona z paru dziesiątków żołnierzy pieszych i kilku kozaków. Na póletapie są tylko budowle więzienne i mała izba dla stróża, pilnującego budowli, i obowiązany utrzymywać w nich porządek, a w zimie, przed nadejściem partyi, napalić w piecach. Zarówno etapy jak i póletapy, otacza wysoki na kilka sążni ostrokół, z kłoców sosnowych.

Porządek transportu więźniów jest następujący:

Co tydzień wychodzi z etapu partya skazańców, przechodzi odległość dzielącą ją od póletapu—(z krótkim odpoczynkiem w połowie drogi), na póletapie odbiera ją komenda, przybyła z etapu następnego. Tu nocleg. Nazajutrz zrana marsz do miejsca drugiego etapu (również z krótkim odpoczynkiem po drodze). Na etapie znów nocleg, odpoczynek całodzienny, czyli t. z. „dniówka“, drugi nocleg na tym samym etapie, a następnego dnia marsz do póletapu, tak jak w pierwszym dniu pochodu. I tak ciągle — aż do przybycia na miejsce, z wyjątkiem przeszkody jakiejś, jak np. rozlewu rzek, braku przeprawy z powodu zamarzania lub puszczania lodów, i t. p., co się zwie „bezdrożem“ (rasputica).

Niezależnie od trudów podróży podobnej, której końca się nie widzi, bo zapowiada się zwykle na długie miesiące, niekiedy na lata całe, dokuczliwość jej powiększają noclegi. W izbie ciasnej, odpowiedniej rozmiarami dla kilkunastu zaledwie ludzi, cisnąć się musi kilkudziesięciu. Nie umiem wskazać miary szerokości i długości izb etapowych; ale to powiedzieć mogę, że na tapczanie — owym pomoście, przeznaczonym do spania, często nie wystarcza miejsca dla połowy zamkniętych w izbie. Reszta śpi na podłodze pod pomostem, na przejściu między pomostem i ścianą, a i wtedy jeszcze nie zawsze jest miejsce, aby wyciągnąć

nogi, chyba, położywszy je na śpiącego sąsiada. Niejeden w kuczki noc całą prześpi. Można sobie wystawić, jaki w tych warunkach panuje zaduch, i brak powietrza; co się dzieje, gdy namknięta na deszczu w czasie pochodu odzież, parować zacznie. A na dobitkę wszystkiego, roje wygłodzonego przez cały tydzień robactwa wypełzają ze szpar ścian i pomostu, rzucają się na śpiących, i gryzą, przerywając sen, tak niezbędny dla pokrzepienia sił na dalszą tę musową wędrówkę. Noclegi po etapach są też jedną z najcięższych plag wygnania.

W drodze skazańcy, zamiast stawy więziennej, dostają na nią pieniądze w gotówce. W każdej gubernii inaczej jest ta wypłata unormowana; składają się na nią albowiem — oprócz 3 kopiejek skarbowych dziennie na głowę, jeszcze fundusze dobroczynne, z ofiar, złożonych na ten cel przez mieszkańców. W gubernii Tobolskiej dopłata z tego źródła wynosi 4 kop. na głowę — czyli więzień dostaje dziennie 7 kopiejek. Kiedy partya podchodzi pod stację (etap czy półetap), już kobiety ze wsi najbliższych czekają z zapasami żywności. Skoro więźniowie wejdą na dziedziniec etapu, i zamkną się za nimi wrota, wchodzą tu przekupki, niosąc chleb żytni i pszenney, wodę gorącą, herbatę, kwas, pieczone i gotowane mięso, jaja, mleko, śmietaną, kapustę, barszcz i krupnik, słowem jadło, jakiego sami używają, pospolite, ale zastosowane do kieszeni więźniów. Zaopatrzywszy się w herbatę własną i cukier w Tobolsku, mogliśmy przeżyć za te 7 kopiejek dziennie, nie wiele dokładając z własnych pieniędzy.

Nie małą pomoc otrzymują więźniowie z ofiar, jakimi darzą ich mieszkańcy wsi i miast, przez które partya przechodzi. Jałmużna ta dawana w imię Chrystusa („radi Chrysta“) jest powszedniem i znamionem zjawiskiem u ludu rosyjskiego. Z ofiarowaniem jej narzucają się. Kiedy partya przechodzi ulicą osady, mieszkańcy jej wychodzą przed domy, niosąc drobne datki, wtykają w ręce przechodzącym, czy kto chce czy nie chce, i obrażają się, gdy kto przyjęcia datku odmówi. Z tego źródła więźniowie otrzymują pomoc niejaką, co im pozwala czy to lepsze mieć jadło, czy zaspokoić inne potrzeby.

Pomimo bowiem, że skarb zaopatruje więźnia we wszystko — co mu do życia potrzeba, bo i w odzież, i w bieliznę, i w obuwie i w pieniądze na żywność, to jednak potrzeby różne i w tym światku bywają. Jednemu zdarło się obuwie, potrzeba zreparować, szewc się w partyi znajdzie, ale mu zapłacić trzeba; zapłacić marne grosze jakieś — ale i tych niema. Inny przegrał w karty

odzież skarbową, lub tylko jakąś niezbędną część odzieży, zapasowej nie ma, trzeba wykupić, lub nabyć od innego towarzysza, a na to również grosz jakiś potrzebny. Jeszcze ktoś łaknie garstki tytoniu, do którego przywykł, i także niema na ten zbytek, chyba głodząc się, i obracając strawne, zamiast na chleb, na tytoń. Otóż grosz z jałmużny daje możliwość opędzenia tych potrzeb; zebrany, dzieli starosta pomiędzy wszystkich zarówno.

Wszyscy więźniowie są zrównani w prawach: nie mają żadnych. Pomimo to, pomimo tę równość, strzeżoną przez prawo i jego organa, wytwarzają się wprędce w tej gromadzie wyraźne warstwy dominujące. W skład jej wchodzi przede wszystkim „katorżnicy”—zbrodniarze, skazani na ciężkie roboty, ludzie często zwyrodniali wprawdzie, ale wyróżniający się wśród gromady śmiałością i nieugiętością, któremi jej imponują. Około nich kręcą się, jak ich subalterni, drobni złodzieje kieszonkowi, posługują im i spełniają ich rozkazy, za nic, chyba dla tego, ażeby uniknąć ich kułaków, w razie odmowy. I niechaj kto będzie mądry zastosować tu równość w praktyce.

Oprócz katorżników, tworzących niby warstwę senjorów w tej gromadzie skazańców, wyróżniano niektóre osobistości, które taktem i powagą zjednywały sobie uznanie otoczenia. Wyróżniano także i nas Polaków, tworzących kategorię t. z. „politycznych przestępców“ (politiczeskije prestupniki). I muszę oddać sprawiedliwość tym towarzyszom podróży, żeśmy nie doznali od nich żadnej specjalnej szykany za nasze przekonania, a nawet za wyraźne stronienie od nich. Ci, którzy dopuszczeni byli do naszego kółka, czy to dla drobnych posług, wynagradzanych groszami, czy to z innych jakich przyczyn, czuli się wdzięczni za to; ogół zaś może cenił naszą nieznaną wśród nich bezinteresowność, że w podziale jałmużny zrzekliśmy się raz na zawsze udziału, co powiększało nieco działki ich pomiędzy sobą.

Jak mówiłem powyżej, towarzysze moi, z którymi jechałem z Warszawy, wyszli byli z Tobolska wcześniej. Wszedłem tedy w nowe kółko kolegów z powstania. Byli to przeważnie Litwini, drobna szlachta polska, zasiedziała na Litwie, i gromadnie wysiedlana z kraju ojczystego przez historycznego Murawiewa wileńskiego. Wielu z tych moich współtowarzyszów wygnania nie uczestniczyło wcale w powstaniu; ale że we wsi ich, t. z. okolicy, złożonej z dworów szlacheckich, znaleziono u kogoś powstańca, lub, że w tej wsi dano powstańcowi przytułek, bądź wreszcie, że na gruntach tej wsi powieszono szpiega, całą wieś karano deportacją.

Między towarzyszami podróży mieliśmy kupca rosyjskiego — starowiera, gdzieś z nad ujść Wołgi. Jak on sam opowiadał, skazano go za wiarę — jako wyznawcę sekty zakazanej prawem. Widząc, że w całej „partyi“ znalazłem się jeden jedyny nie palący, zbliżył się do mnie. Był to człowiek około 40-letni, spokojny, zrównoważony, średniego wykształcenia, z powołania kupiec. W rozmowach, których chętnie szukał, wtajemniczał mnie w zasady swego wyznania. Według niego, prawosławni używają niewłaściwego krzyża dwuramiennego (o sześciu końcach) — kiedy ów prawdziwy krzyż Chrystusowy, winien być 3 ramienny (o ośmiu końcach) (szestikonicznyj i wośmikoniecznyj). Twierdził, że w cerkwi prawosławnej obrazy nie są to obrazy religijne (ikony), lecz obrazy świeckie (kartiny). „Bo niech pan sobie przedstawi, powiada, tam lada pijanica maże te obrazy po pijanemu; i jakże może on pojąć ducha obrazu i jego świętość. U nas, powiada dalej, zanim malarz przystąpi do malowania obrazu świętego, musi wprzód przygotować się do tego przez czterdziestodniową pokutę (postitsia), to wtedy można zaufać, że namaluje coś godnego.“ Opowiadał dalej, że według zasad jego wiary, nie tylko nie wolno zabijać człowieka, a więc i pełnić obowiązków żołnierza, ale nawet noszenie broni w tej myśli, jest grzesznem. Dla tego też starowiercy nie mogą służyć w wojsku. Wzięci, jako rekruci, uciekają. I dotąd było dobrze, dopóki panowie sami oddawali rekrutów. Uciekł taki z szeregów, powrócił do wioski; pan go już nie wydał, dowodząc, że go niema. Władze się dalej nie wtrącały. Ale teraz, kiedy nastąpiło usamowolnienie włościan, kiedy dostawa rekruta należy do wójtów gmin (gołowa), i kiedy za zbiegłego — graina musi dać innego, już się te sztuki nie udają. Sama wieś wyda go władzom. Więc uciekać nie mogą. Ale znaleźli na to inny sposób. Starowier, wstąpiwszy do wojska, jest już ipso facto wyłączony z grona wyznawców. Po odbyciu więc służby wojskowej, gdy wraca w progi rodzinne, odbywa pokutę, i na nowo przyjętym zostaje do grona wiernych.

Starowiercy nie palą i nie piją. Dym tytoniu w izbie, czyni ją sprofanowaną, co zmusza mieszkańców do skrobania jej ścian, następnie do szorowania, kadzenia i święcenia na nowo, ażeby wierni mogli ją dalej zamieszkiwać. Naczynie, w którym jałdo przyrządzali nieczyści, trefni innowiercy t. j. ludzie innego wyznania, a zwłaszcza tacy, co palą i piją, staje się już nieczystem, trefnem, którego starowierca używać dalej nie może, i winien je zniszczyć, ażeby nawet w domu jego nie pozostało. Zaznaczam to, zwłaszcza z powodu, że później, kiedy przechodziliśmy przez

okolice zamieszkałe przez starowierców, bylibyśmy nie zrozumieli, dlaczego ci nie pozwalali nam dotknąć swych naczyń, lecz sami, wszelkie jadło przyniesione, własnymi rękoma w nasze naczynia przelewali i przekładali. Przodkowie ich przybyli tu jako wygnańcy, w chwili ostrzejszego prześladowania ich wiary. W czasach, o których mówimy, stosunki te nieco złagodniały; ale pomimo to, ani nabożeństw swych odprawiać jawnie nie mogą, ani ujawniać swej hierarchii duchowej, ani posiadać świątyń publicznych. Zbierają się w domach prywatnych zamożniejszych współwyznawców, gdzieś w zakątkach ukrytych, w tym celu stawianych, pod innym pozorem wszakże.

Prześladowanie o jakim wspominamy, należy już dziś do historyi.

Mieliśmy w partyi jeszcze kasyera, skazanego na osiedlenie za jakąś defraudację kasową. Podążyła za nim na wygnanie żona z dwojgiem kilkoletnich dzieci. Żona zmarła w drodze. Pozostał ojciec z dziećmi. Niepożądane bynajmniej dla tych dzieci było otoczenie zbrodniarzy, z którymi stykali się codziennie, będąc mimowolnymi słuchaczami opowiadanych sobie przez tychże czynów, gdzie wysławiali spryt, zręczność i śmiałość wypraw rozbójniczych czy złodziejskich, słuchając wyuzdanych ich rozmów i patrząc na ich obyczaje. Dziwna rzecz, że dotąd władze nie zrobiły chociaż tego, ażeby rodziny z drobną dziatwą, wyprawiać oddzielnie, nie mieszać ich ze złoczyńcami, nie oddawać do szkoły zepsucia. Dzieci te zwróciły moją uwagę dla tego jeszcze, że w zabawach swych tak bardzo się różniły od dzieci polskich; gdy dla tych bowiem najmilszy przedmiot zabawy stanowią dla dziewczynek lalki, dla chłopców koniki i szabelki, dla dzieci ruskich przedmiot ten stanowiły cięte papierki kolorowe, skręcane czy składane sposobem towaru łokciowego; bawiły się one w kupców.

Było również kilka rodzin tatarskich. Chłopy zdrowe, śniade. Na ogolonych głowach noszą głębokie krymki, przerabiane srebrną nitką; wszyscy umieją czytać i pisać. Korzystam z tego, uczę się ich abecadła, spisuję sobie słowniczek wyrazów tatarskich, tłumaczonych na język rosyjski, i krótkie rozmówki. Jednemu towarzyszy żona i dwie córki kilkunastuletnie, śniade bardziej jeszcze, niż ojciec, w szerokiej odzieży, kształtem długiej (po kostki) kolorowej koszuli, z szerokimi rękawami. Na szyi pieniądze srebrne, nanizane na sznurek. Młode malują zęby i paznogie na czarno—(podobno rośliną, bliżej mi nie znaną), co uchodzi w ich przekonaniu za ozdobę.

Pomiędzy więźniami niepolitycznymi, mamy w partyi jeszcze Litwina—Plewakę, byłego oficera artylerji, skazanego do ciężkich robót za zabicie dziewczyny, swojej kochanki, czy narzeczonej. Zabił ją przez zazdrość, poczem strzelił do siebie; kula jednak ześliznęła się po kości czołowej, co spowodowało chwilowe zamroczenie tylko, i uniemożliwiło mu dobiecie się zupełne. W tym stanie aresztowany, osądzony za morderstwo i usiłowanie samobójstwa, nie miał nawet tej pociechy, że cierpi za dobrą sprawę. Był to przecież człowiek z honorem, uczciwych przekonań; trzymał się naszego towarzystwa.

W kółku naszym — „przestępców politycznych,“ których w partyi było około 30, nie było wybitniejszych osobistości, same szaraki. Z tych, którzy w pamięci mojej pozostali, wspomnę Gutowskiego, olbrzymiego szlachcica ze Żmujdzi, który przy swoich trzydziestu blisko latach, był niewinny, jak dziecię; drugiego szlachcica (zagonowego) z Litwy, Morgiewicza, zamiłowanego śpiewaka, który nas obznajmiał z pieśniami i legendami litewskimi, najczęściej powtarzając popularnego w jego stronach marsza:

Do Litwy! do Litwy!
Zyskać wolność, cześć i t. d.

Cześć, cześć nam!
Idźmy tam,
Gdzie siła...

Marsz! marsz! marsz! marsz!

Maaaaarsz!

przemieniając przytem każdą nosówkę na najwyraźniejsze *en* lub *on*, pod wpływem litewskiego języka, nieznanego nosówek, podobnie, jak niema on dźwięku *ch*, i Chrystusa nazywa Krystusem, co przejmują i nasi Polacy, mieszkający wśród otoczenia litewskiego. Pamiętam jeszcze Kozaka z pułku Kozaków kaukaskich, który z szeregów rosyjskich przeszedł do powstania, walczył przeciw wojskom rosyjskim, dostał się do niewoli, skazany na rozstrzelanie, i jakimś cudem ocalony, skazany na roboty ciężkie, szedł w kajdanach. Przypominam sobie zapalonego fajczarza — Petrykowskiego, ziemianina, gdzieś z Rusi litewskiej; pamiętam majstra ślusarskiego — Papiernika, którego nasz Kozak stale nazywał „pan Papirkin,“ a który przy pomocy jedynie małego ima-

dła (szrubstaka) i paru pilników, reparaował karabiny żołnierzy etapowych, niemal że darmo.

Kilkadziesiąt wiorst za Tobolskiem zaczynają się wsie tatarskie. W każdej wsi meczet z wysokim śpiczastym minaretem, drewniany i ubogi, jak wieś cała. Lud ten brzydki, drobny, mało podobny do pobratymców swoich Kazańskich, którzy są o wiele dorodniejsi, wyższego wzrostu, jaśniejszej cery, i przystojniejsi—zwłaszcza mniej brzydkie mają kobiety. Zarówno mężczyźni jak kobiety, noszą szerokie szarawary i buty. Suknie kobiet, krojem szerokich koszul kolorowych, nieprzepasane w biodrach; na głowie chustki, związane pod brodę końcami jednego boku chustki, na chustce kołpak futrzany. Nosy płaskie, małe, zadarte, wargi wydatne, oczki wązkie, cera żółta, bruneci, słabo zarastają. Wszyscy niechlujni, brudni. Mieliszny sposobność zobaczenia ich mułty — w białym turbanie i ciemnoniebieskiej, długiej, fałdziej sukni.

Poza wsią, wśród drzew iglastych, sosen i cedrów, widnieją nieopodal drogi cmentarze muzułmańskie. Groby poszczególne otaczają sztachetki drewniane, podobnie, jak u nas. Wśród sztachet, w miejscu, gdzie my krzyż stawiamy, stoją słupy, wyrzynane w kule i inne kształty, zakończone ornamentacją w postaci okrągłej lub śpiczastej, czasem w postaci ptaka; niektóre ze słupów tych malowane jaskrawymi barwami. Wraz z lasami iglastymi kończą się osady tatarskie.

Tatarzy tutejsi, w przeciwieństwie do Tatarów Kazańskich, o przeszłości swej nie wiele wiedzą. Po ciekawem wysłuchaniu opowieści o Dżengischanie, Batyju i t. p. odpowiadają: „my toho wseho ne znały, nykto nam toho nehoworył.“ Nie mają widocznie tradycyi owych wielkich wypraw na Europę; może zresztą brali ich przodkowie udział w tych wyprawach, jako zaciężni wielkich wodzów, lub sami podbici przez plemię silniejsze, nie korzystali z podbojów tamtych. To przypuszczenie robić można na podstawie różnicy, jaka zachodzi pomiędzy aspiracyami Tatarów Kazańskich, a obojętnością Tatarów Tobolskich.

Paręset wiorst za Tobolskiem, zmienia się krajobraz. Droga idzie przez okolicę błotnistą, porośłą trzciną, z kępami brzozy tu i owdzie. Okolica pusta i dzika. Trawa niekoszona przebija często przez grubą warstwę śniegu. Ale siana i tak widać do zbytku, bo inwentarz stoi w zagrodach, wprost wysłanych sianem. Są to pozostałości siana, rzucanego inwentarzowi na karmę wprost na ziemię. Czego nie zje, wdeptuje. Konie i krowy stoją w tych zagrodach dniem i nocą, nie osłonięte od mrozów żadną ścianą,

nie osłonięte pokryciem od opadów. Muszą być hartowne, skoro wytrzymują to wszystko.

Przechodząc wśród zagajeń brzozowych, spotykamy często drzewa poobdzierane z kory. Kory brzozowej używają tu do różnych potrzeb. Pokrywają nią dachy, robią naczynia okrągłe na płyny, zwane „tujasy“ — (w rurę, jaką tworzy kora, zdjęta z odciętego kawałka, wprawia się dno; drugie kółko tworzy pokrywę); wypalają z niej dziegieć; wreszcie, w braku dębów w Syberyi, używają do garbowania skór; jeszcze obdzierają korę na żywych drzewach, ażeby uschły na pniu, i w ten sposób zabezpieczają sobie suche drzewo na zimę.

Mieszkańcy tych okolic, są to przeważnie potomkowie dawniejszych zesłańców. Pod względem oświaty zaniedbani; są przekonania, że na najwyższym szczeblu mądrości stoi stan duchowny. I nic dziwnego. Daleko od miast, środowisk oświaty, chłop nie widzi nikogo mądrzejszego, światlejszego, nad swego parocha, który umie wszystko przeczytać i wszystko mu wytłómaczyć — zarówno z rzeczy tego świata, jak i ze świata, który nas czeka po śmierci. Lud ten nie jest zarozumiałym, niema zbyt dobrego wyobrażenia o sobie, bo zaznacza w rozmowie, że dalej, w gubernii Tomskiej, będzie lud lepszy. Zboża sieją tyle tylko, ile na swoją potrzebę, bo przy tych odległościach zbytu na zboże pozostałe nie znajdują. Sądząc wszakże z olbrzymiej rzodkwi czarnej i rzepy, dochodzącej wielkością głowy ludzkiej, ziemię muszą tu być nad wyraz urodzajne.¹

Zbliżamy się do miasta powiatowego — Tary (570 wiorst od Tobolska). Białe wieże cerkwi, oświetlone słońcem, uwidoczniają się silnie na ciemnym tle nieba, widoczne już na mil parę zdaleka, a cerkwie panują nad widokręgiem płaskiej okolicy. Miasto leży nad Irtyszem. Początkiem swym sięga pierwszych lat podboju Syberyi (założone 1594 r.); pierwotni mieszkańcy tego miasta — to Tatarzy, następnie jeńcy polscy i litewscy. Tu także zsyłano kacerzy i odszczepieńców. Ale najbardziej głośnem było zesłanie tu słynnych dzwonów uglickich, zabranych z cerkwi miasta Uglicza, zesłanych tu zato, że zwoływały mieszczan w czasie „buntu“ tego miasta. Kiedy przechodziliśmy przez Tarę w r. 1864, dzwony te były jeszcze na wygnaniu. Ułaskawienie uzyskały znacznie już później.

Tara posiadała wówczas: 6 cerkwi, 987 domów i około 5½ tys. mieszkanców. Za Tarą kraj bogatszy. Sąsiedztwo Irtysza ułatwia spław zboża do miejscowości dalszych, na północ do Tobolska. Więcej też sieją.

Dnia 23 kwietnia, w dzień Ś-go Wojciecha (według naszego stylu) dochodzimy brzegu Irtysza, w punkcie, gdzie przejść go mamy. Śniegi na stepie zginęły, podwoły na kołach wiozą nasze rzeczy; ale na rzece lód twardy i pewny, zmiękł tylko przy samym brzegu, i tu konie się zapadają. Położono w tych miejscach tarcice, po nich przechodzimy dalej, na rzekę. Lód stoi mocno. Przechodzimy po nim, jak po wyborym gościńcu.

Coraz mniej śniegu. Step ciemnieje. Ptastwa słychać coraz więcej dokoła. Dzikie kaczki, żórawie, czajki, sadowią się w sąsiedztwie osad ludzkich. Cietrzewie całymi stadami siedzą na drzewach około drogi, nie zważając na ruch przechodzących ludzi i wozów. Białe kuropatwy, białe jastrzębie, śnieguszki i inne spotykają się od czasu do czasu. W powiecie tarskim, jak nam mówiono, rosną obszerne lasy lipowe, w których osadnicy rosyjscy utrzymują duże pasieki.

Za Irtyszem, przeszedłszy wiorst kilkanaście, ujrzeliśmy wysokie kurhany. Leżą one rozsiane na pewnej od siebie odległości, a 3 z nich największe leżą obok siebie, tworząc jakby wierzchołki równobocznego trójkąta. Zaciekawiony, zapytuję „Kozaka“ z eskorty; a trzeba wiedzieć, że „Kozacy“ owi są to miejscowi Tatarzy, pełniący czasową służbę konno; że tem samem powinni by coś wiedzieć o tych kurhanach ich ziemi rodzinnej. Ale na zapytanie moje usłyszałem odpowiedź: „A szto że, zemla taka!“ Więcej nieco objaśnił mię żołnierz konwoju, osadnik rosyjski, rodem ze wsi sąsiedniej, który opowiedział, że istnieje podanie, jakoby wówczas, kiedy Rosyanie zawitali poraz pierwszy do tego kraju, ludnego wtedy, naród miejscowy, odrębnego plemienia — „czud' to kakaja,“ w obawie przed Rosyanami, pochował się do lochów, jakie pod kurhanami się znajdują, nakrył je grubo ziemią, i więcej z lochów tych nie wyszedł. Opowiadają, że w kurhanach tych oprócz kości ludzkich znajdują się bogate złote sprzęty, całe skarby. Nikt jednak w nich nie myśli grzebać. Legendę tę, powtarzają pisarze rosyjscy.

Kurhany takie później spotykałem jeszcze i nad Jenisejem, w okolicy stepowej, podobnie jak tu, nad Irtyszem. Rozrzucone są tedy na przestrzeni tysięcy wiorst. Naprowadza to na wniosek, że są one dziełem jednego jakiegoś ludzkiego szczepu, który w ten sposób ślady istnienia swego zaznaczył. Ciekawem byłoby dla nauki, dla badań nad przedhistorycznym mieszkańcem tych okolic porównać kurhany sybirskie z ukraińskimi, zbadać podobieństwa i różnice. Możeby to odsłoniło nam jaką ciekawą kartę

z przeszłości; możeby się wykazało jakieś pokrewieństwo jednych i drugich.

Idziemy dalej. 27 kwietnia przychodzimy do wsi Kopiowa (123 wiorsty za Tara). Tu nas zatrzymują dłużej. Przyczyną zatrzymania jest bezdroże. Przymusowe zatrzymanie pochodu w tej porze roku, zwie się „Wiosnówką.“

„Wiosnówką“ nazywają popularnie czas bezdroży wiosennych. Gdy w danym tygodniu partya ruszyć nie może z etapu, z przyczyny przerwania komunikacji na jej drodze, czekać musi do tygodnia następnego, zatrzymując tem samem idącą za nią partyę, ta następną i t. d. Tu zostaliśmy zatrzymani, z powodu puszczenia lodów gdzieś na rzece przed nami. W czasie tej wiosnówki przypadła Wielkanoc starego stylu. Korzystając ze świąt wszystkich, straż etapowa piła więcej niż zwykle. Zwolniono też zamknięcia aresztowanych, i na odpowiedzialność starosty pozwolono jednemu i drugiemu wyjść po za ostrokół etapowy. Tam jednakże nastąpiła przygoda, która odebrała ochotę korzystania z ewentualnego pozwolenia, gdyż jeden z towarzyszków naszych, niejaki Kantorowicz (mojżeszowego wyznania, felczer z zawodu) wciągnięty w jakąś sprzeczkę, został przez żołnierzy etapowych, dobrze już pijanych, srodze poturbowany. Komendant etapu, do którego zanesiono skargę, również pijany, wszedłszy na podwórze więzienne, gdzie zgromadzili się aresztanci, zamiast skarcić podwładnych, wymyślał więźniów wogóle. Gdy mu zabrakło zwykłych obelżywych przezwisk rosyjskich, nazwał wszystkich: „wy polityczeskije prestupniki!“ co miało być w jego mniemaniu najwyższą obelgą. Więźniowie rosyjscy, przywykli do podobnego traktowania ich, milczeli; ale gdy ich nazwał „polityczeskimi prestupnikami,“ nie wytrzymali. Z kilkudziesięciu ust wybiegł protest: „Niet, wasze wysokobłagorodje, my nie polityczeskije prestupniki, my prostokiszzy!“ („nie, wasza wielmożność, my nie polityczni przestępcy — my prostaczkowie“). Poczem Plewako, który jako były oficer, sądził, że będzie mógł interwenjować i odezwał się w obronie więźniów, został z rozkazu oficera okutym w kajdany, pomimo, że jako szlachcic z urodzenia, miał prawo wędrować bez kajdan aż do miejsca kaźni.

Wsie osadników rosyjskich na Syberyi szczególne są tem, że niema wśród nich ani sadów, ani nawet drzew dzikich. Patrząc z pewnej odległości, widzi się same dachy tylko. Ponad dachy wyskakują tyki, do których przyczepiają niewielkie, wydrażone wewnątrz klocki, z góry nakryte i obłożone paroma suchemi gałązkami. Są to gniazda szpaków, ptactwa, które jest tu w ogrom-

nem poszanowaniu. W większem jeszcze poszanowaniu są gołębie, które tu chowają, ale nie jadają ich wcale, uważając zabicie, a tem bardziej zjedzenie gołębia, za grzech, bo ten ptak uosabia Ducha Ś-go. Na jednym etapie ktoś, nieobeznany ze zwyczajami tutejszemi, kupił gołębia od jakiegoś libertyna miejscowego i zarznął dla spożycia. Gdy się wieś o tem dowiedziała, obiegła etap, żądając wydania jej świętokradzcy, dla ukarania. Inny ktoś, jakiś osiedleniec rosyjski, hodował króliki i te sprzedawał więźniom na jedzenie. W braku innego mięsa, kupowaliśmy i królicze. Gdy to zobaczyli towarzysze z partyi, Rosyanie, zgorszyli się bardzo, jakbyśmy jedli jaką padlinę — i mówili między sobą: „Poganyje Polaki koszku jediat“ (obrzydliwi Polacy kota jedzą). Bo trzeba wiedzieć, że wśród ludu rosyjskiego zostało wiele zabobonów, opartych na nauce Mojżesza; Mojżesz zabrania jeść mięso stworzenia, które ma pazury, więc i obdarzonego pazurami zająca, według mozaistów, równie trefnego, jak pies, kot, albo świnia.

W końcu kwietnia przyleciały tu szpaki, najwcześniejsze z ptactwa; w pierwszej połowie maja — jaskółki (grzebułki).

W Kopiowie przestaliśmy całe 4 tygodnie, bo dopiero 24 maja wyruszyliśmy dalej. Trakt prowadzi przez miejsce błotniste; dla przejazdu ułożono tu szereg okrągłego drzewa (w poprzek drogi) tworzący pomost, o powierzchni magłownicy. Ażeby tę powierzchnię wyrównać choć cokolwiek, kładą na ową magłownicę nieco słomy lub nawozu. Na błotach, otaczających drogę, i porośłych trzcina tylko, niezliczone mnóstwo ptactwa brodzącego i pływającego. Nad nimi unoszą się rybitwy i jasne, prawie białe jastrzębie. Żórawie, kaczki i inne, zerują tuż obok drogi, nie lękając się przechodzących.

Dokoła wsi tutejszych pasą się ogromne stada bydła i koni, bez żadnego dozoru. Ażeby zaś nie odeszły daleko, mieszkańcy wsi każdej otaczają te wypusty płotem nakoło, w promieniu 1 — 3 wiorst od wsi. Płot ten zowie się „poskotiną“ (okólnikiem bydłęcym), poza którą bydło, ani koń nie przejdzie. Na drogach, przecinających to ogrodzenie, urządzone są wrota, a przy nich stali, dzień i noc stróże, obowiązani otwierać je przejezdnym, i zamykać za każdym przejazdem. Stróżów wynagradza gromada wsi, według umowy.

Dnia 25 maja przechodzimy granicę gubernii Tomskiej. Uwiadamiają nas o tem tablice graniczne z odpowiednim napisem na każdej i odmalowanemi na nich herbami gubernii. W odległości kilkunastu sążni od gościńca widzimy trzy kopce, stykające

się ze sobą w podstawie, usypane, jak twierdzą miejscowi, na znak graniczny obu gubernii.

Z traktu bocznego, wychodzimy w parę dni potem na główny gościniec sybirski, na linię omsko-tomską, i zatrzymujemy się na nocleg we wsi, w której mieszka wielu Cyganów. Ci naprzeciw swoich domów pourządzali sobie namioty, i w nich mieszkają. Spotykamy też po drodze wielu wędrujących Cyganów.

Przechodzimy wciąż przez kraj nizinny, błotnisty, porośły trawą lub trzciną, poprzecinany strumykami i jeziorkami, obfitującymi w ryby. Jest to równina, znana pod mianem stepu Barabińskiego, lub krótko: „Baraba.“ Brzoza jest, jedynym rosnącym tu drzewem większym; olszę spotykamy drobną tylko, rzadziej łożę lub wierzbę. Wszystko to jeszcze uśpione. Brzoza zaczęła pękać w ostatnich dniach maja.

W końcu maja przechodziliśmy okolicę, zasianą kurhanami. Jest ich bardzo wiele; muszą być bardzo dawne, bo osiadłe przy ziemi, niektóre środkiem w głąb zapadłe. Mieszkańcy tutejsi, osadnicy wielkorosyjscy, opowiadają o nich, że leżą tam kości narodu, który niegdyś kraj ten zaludniał. Bardzo dawno temu, mówią, żył tu silny naród jakiś obcy (czud'). Gdy wyrosła brzoza, nieznana mu dotąd, przeląkł się tego bardzo, bo ona była przepowiednią ich zagłady. Dnie ich spełniły się. Zaczęli zabijać się sami, sypiąc nad zabitymi mogiły, które do dui naszych przetrwały. Warjanty tej opowieści są liczne; i tak jeden z nich mówi, że w białej korze brzozy, która nagle pokazała się w stepie, widzieli przepowiednię panowania „białego cara“ t. j. rosyjskiego; ażeby więc uniknąć obcego panowania, lub śmierci z rąk obcych, sami się zabijali. Inny warjant głosi że w czasie, gdy Jermak zdobywał Syberyę, odwieczni jej mieszkańcy—przełęknięci tem najściem, chowali się do mieszkań podziemnych, i tam zginęli. Jeszcze inni opowiadają, że lud dawniejszy, nie znając sposobu budowania domów, mieszkania swoje urządzał w ziemi, i nakrywał je ziemią, wspartą na rusztowaniu z drzewa, a gdy naród wyginał, mieszkania pozapadały się w ziemię. Dotąd, jak mówili, jeden żołnierz odważył się kopać w takiej mogile; znalazł tam kości ludzkie, strzemię i garnek miedziany, napełniony srebrną monetą.

Kurhany te i mogiły są znacznie mniejsze od tych, jakie spotykaliśmy nad Irtyszem (40 — 100 kroków w obwodzie). Nikt o nie się nie troszczy. Zarastają chwastem, kilka z nich widzieliśmy zaoranych, a te, które są przy drodze, stopniowo zjeżdżane, ścierają się pod nogami konia i kołami wozu osadnika rosyjskiego.

A są to przecież nieme świadki pracy i trudów wielu dziesiątków tysięcy rąk ludzkich, co dowodzi, że kraina ta musiała być w swym czasie bardziej zaludnioną. O tem zaludnieniu mówi i tradycya miejscowa, która klęskę wyludnienia przypisuje długotrwałej suszy, i wyginięciu, skutkiem braku paszy, całych stad bydła i koni, stanowiących jedyne bogactwa tutejszych plemion koczowniczych.

Kurhany, o których mówimy, ciągną się wzdłuż rz. Omu, w niewielkiej od niego odległości; spotykamy je pomiędzy wsiami Wozniesińską i Turumowską, t. j. w odległości 90—130 wiorst, nie dochodząc miasta powiatowego Kainska.

Przebyliśmy promem rzekę Tartas, wpadającą o parę wiorst poniżej—do Omu. Przechodzimy wciąż nizina nadrzeczną. Roje komarów i drobnych muszek długonożnych otacza nasze twarze, obsiada i gryzie, sprowadzając bólaące bąble. Opędzić się im trudno, zwłaszcza zrana i pod wieczór.

Następnego dnia, zatrzymawszy się w pół marszu na chwilo- wy odpoczynek—jak zwykle, mieliśmy sposobność przyjrzenia się bliżej roli, pługowi i robotom polnym. Chłop orał tuż obok miejsca naszego postoju. Ziemia czarna, pulchna, niby ogrodowa, a tak krucha, że rozsypuje się za dotknięciem. Sieją tu w tej chwili owies pod skibę, przyorując go pługiem; pług o szerokim lemieszu trójkątnym, i odkładnicy prostej, dobrze w tył wychylonej, grądział na kółkach z pojedynczą czepigą, jak u naszego radła, ale z dwoma poprzecznymi, krótkimi ramionami u góry, ułatwiającymi kierowanie; zaprzężony w parę koni, z których hołoblowy idzie brzegiem calizny, przed lemieszem, odręczny na orczyku przed lewem kołem wózka. Orka lekka i łatwa, nawet dla niewprawnego i nieoswojonego z narzędziem, czego próbowaliśmy.

Przeprawiliśmy się przez rzekę Om, 6 czerwca przybyliśmy do miasta powiatowego (czyli jak tu nazywają—okręgowego—gubernie bowiem podzielone są na części, t. z. okręgi) Kainska, leżącego nad tą wielką rzeką. Mieścina nędzna, lichy zabudowana, zamieszкана w znacznej części przez Żydów.

Tu odbyliśmy dniówkę i 8 czerwca ruszamy dalej. Po drugiej stronie Omu okolica takąż sama, płaszczyna, na której wznoszą się kępki młodej brzeziny. Starodrzewu przez cały ten czas nie dostrzegłem, z wyjątkiem paru brzoź, podsmolonych ogniem u pnia samego. Niema tu również wcale drzew iglastych. Dopiero o jakie 100 wiorst za Kainskiem zobaczyliśmy pierwszą młodą sosenkę. Lasy iglaste, częste bliżej Tobolska, przerywają

się o paręset wiorst na wschód od tego miasta; prócz rzadkich młodych sosenek nad Irtyszem, nie spotkaliśmy na całej tej przestrzeni ani jednego drzewa iglastego. Po przejściu rozległego kraju, spotkaliśmy 11 czerwca pierwszy lasek sosnowy.

Ciepła wiosenna pora i pogoda, rozjaśnia duszę każdego. Oddziaływa ona i w więzieniu. Jakiś aresztant wystrugał sobie coś podobnego do skrzypiec, naciągnął struny, i przygrywa kozaczka; inny aresztant wyniósł harmonikę, i wtoruje mu w takt. Na dźwięk kozaczka nie wytrzymały dziewczuchy, które przyniosły żywność na sprzedaż, odeszły garnków i koszów, i dalej w płasy z więźniami. Taniec ten zasadza się u kobiet na dreptaniu na palcach według dwutempowego taktu; tańczący naprzeciw niej mężczyzna czasem przebiera drobno nogami, to znów robi „prysiudy“, skacze i bije hotupce. Każde tańczy zosobna—naprzeciw siebie—nie dotykając się wzajemnie. Skoki te w tańcu robią go dzikim, ale rozweselają i tańczącego i otoczenie. I ktoby pomyślał: wesołość w kaźni!

Dnia 11 czerwca pod wieczór przybywamy do wsi Ubińskiej, o wiorst 96 za Kainskiem. Większość wsi w zgłiszczach. Według słów mieszkańców, podpalić ją mieli „brodiagi.“

Temu wyrazowi trzeba dać wyjaśnienie. „Brodiaga“ w języku rosyjskim—znaczy „włóczęga.“ Ale mianem tym nazywają tu specjalnie więźniów, którzy uciekli z miejsca skazania, i ukrywając się przed oczami władz, potajemnie przekradają się na zachód, ku stronom rodzinnym. Iść muszą traktem głównym, bo innej drogi niema, i ominąć go nie mogą; idą o żebrany chleb. Bywa i tak, że niektórzy litościwsi lub bojaźliwsi mieszkańcy wsi przydrożnych, kładą umyślnie chleb, czy inne jadalne, i drobne pieniądze, poza bramą domostwa, na jakiejś przeznaczony na to desce, ażeby przechodzień mógł cichaczem zabrać to sobie, nie budząc nikogo, ażeby dobrze go dla wsi usposobić, bo inaczej podpalić może. Tak wędrując nocami, dochodzą niektórzy aż do gubernii Permskiej, gdzie strażę, pilniejszą niż w Syberji, lub patrole, wędrowców tych wyłapują.

Otóż w tej wsi, brodiagi, przechodząc nocą, coś skradli. Nazajutrz wieś w pogoń za nimi. Przydybali ich gdzieś w lesie i zamordowali pod kijami. Że zaś więźniowie mają także swoje strażę wywiadowczą, wieść o tem morderstwie doszła do zakładów karnych gubernii Irkuckiej; ci, co wyszli stamtąd później, pomścić musieli towarzyszy, aby tym terorem osłonić następnych zbiegów.

W tem miejscu, należy wyjaśnić czytelnikowi szczególny rodzaj, niezwykle gdzieindziej typ przestępców, ukrywających się

pod mianem „brodiagów.“ Należą doń nietylko uciekinierzy z więzień, ale włóczęgi wszelkiego rodzaju i zbrodniarze, ukrywający się przed władzami. Schwytni przez policję, oświadczają zazwyczaj, że nie pamiętają swego nazwiska, a stąd wielu z nich tworzy kategorię t. z. „*niepomnych*“ („niepomniaszczyje“). Rekrutują się oni ze zbrodniarzy, którym udało się uciec z okolicy, gdzie dokonali zbrodni, za które groziła im kara śmierci lub ciężkie roboty, gdy tymczasem za niepamiętanie nazwiska, za niewylegitymowanie się, grozi im tylko kara osiedlenia w jednej z wsi sybirskich. Są jednak między nimi i tacy, którzy uciekają i z miejsca deportacyi, już to z tęsknoty za ziemią rodzinną, już to z tęsknoty do towarzystwa więźniów — kolegów. Na miejscu deportacyi trzeba ciężko pracować, ażeby zarabiać na życie, gdy w więzieniu skarb opatrzy we wszystko. A nadto dla pewnych indywiduów i życie więzienne ma swój urok. Wiadomo, że zanim ktoś ze schwytnych doczeka się wyroku, upłyną lata całe. Ileż tam nasłucha się on opowiadań przygód i wydarzeń—bohaterskich w jego przekonaniu; ile dozna wrażeń, gdy siedząc pod narami, przy słabem świetle łożówki, całymi dniami i nocami gra w otłuszczone, zniszczone, pozbawione kantów, zamienione w elipsy — karty! A bywają wypadki, że można się w więzieniu dorobić grosza, i po wyjściu z jego murów rozpocząć życie obywatelskie, szanowne, zwłaszcza, gdy zdobyty tu majątek pozwoli rzucić grosz jakiś na cele dobroczynne!

Zadziwi się czytelnik. Otóż tajemnicę tego stanowi fabrykacja fałszywych pieniędzy. Mało które więzienie rosyjskie nie ma tej fabryki. Metalowe, naśladujące monetę srebrną, odlewają z cyny, przetopionej ze szkłem (dla dźwięku), w formach wyciskanych w skórze podeszwy, z której robi się tym sposobem doskonała matryca; papierowe, pospolitsze, robią wprost pędzelkiem, lepsze wychodzą z pod klisz, które po więzieniach stanowią dziedziczną spuściznę siedzących tam pokoleń aresztantów. Ludy koczownicze stają się najczęściej ofiarami tego fałszerstwa pieniędzy, a pośrednikami w puszczaniu w obieg tych pieniędzy są same stráže więzienne. Kilka lat więzienia przy sprzyjających okolicznościach, może dać niejaki zasób grosza.

*

*

*

Częste pożogi wsi rosyjskich są następstwem systemu ich zabudowania. Domy drewniane i dachy słomiane lub drewniane, jeden obok drugiego, jak w naszych miasteczkach; żadne drzewo nie osłania budowli przed ogniem z sąsiedztwa. Gdy się zapali jedna budowla, idą już za nią wszystkie w kierunku wiatru.

We wsi Ubińskiej zatrzymano nas jeszcze raz z powodu wiosnowki, tym razem na dwa tygodnie. Komendant etapu—kapitan Ziemiopuło (jeżeli dobrze nazwisko pamiętam), młody jeszcze, Grek z pochodzenia, dość wykształcony, spragniony widoku ludzi cywilizowanych i bądź co bądź światlejszych od jego otoczenia—prostych włościan, niepiśmiennych nawet, rad był temu postojowi, i chętnie czas pomiędzy nami przepędzał. Idealista i demokrat, jak wogóle młodzież ówczesna, marzył o polepszeniu doli wszystkich, o potrzebie kształcenia ludu, o szkołach początkowych po wsiach. Oderwany od gorączki życia, jaka absorbowała ludzi w centrum państwa, kombinował projekty i sposoby urzeczywistnienia wymarzonych przezeń pragnień. Między innymi zrobił plan wsi idealnej: wpośrodku wsi plac obszerny; wśród placu: cerkiew i mieszkanie duchownego, otoczone ogródkiem, szkółka, i urząd wiejski. Dokoła placu szereg domów, przy czterech stronach jego, za domami zabudowania gospodarskie i ogródki, a w przedłużeniu ich pola orne. Od placu rozchodzą się jeszcze ulice, w 4 strony, tworząc dalszy ciąg wsi. Każdy dom ma tuż przy sobie pole, a wszystkie domostwa mają blisko szkołę, cerkiew i urząd.

W bliskości tej wsi było obszerne jezioro. Na świecie słońce gorące—pragnęliśmy się wykąpać w jeziorze. Kapitan nie odmówił tego, i poszedł sam z nami. Stosurek z nim był nie jak więźniów z komendantem więzienia, ale jak dobrych znajomych, którzy przypadli sobie do serca. Rad jestem, że mogę po wielu latach zapisać te słowa uznania dla życzliwego nam człowieka, który nie bacząc na stan nasz urzędowy—przestępców bez praw, umiał i chciał uszanować w nas ludzi.

Dnia 27 czerwca ruszyliśmy w dalszą drogę. Dokoła bezleśna płaszczyna. Na widnokręgu ponad tą płaszczyną widzimy coś, jakby porozwieszane sznury z suszącą się na nich bielizną. To rybacy suszą ryby, wyłowione w jeziorkach tej równiny, rozcięte na poćcie, i rozwieszane na tykach. Suszone idą do handlu. Moc ryb różnych jest taka, że sprzedają je za bezcen. Na jednym z etapów kupiliśmy 6 ryb dużych kilkofuntowych, i świeżych, ważących razem ze 30 funtów, za całe 10 kopiejek.

Taniość produktów spożywczych jest tu niesłychana. Oprócz ryb, mamy za bezcen jaja kacze. Gdy maszerujemy otwartym stepem—to jest niezarośniętym wysoką trzcina, partya rozchodzi się łańcuchem na pół wiorsty po bokach gościńca. Siedzące na jajach kaczkę za zbliżeniem się człowieka, kwakaniem swoim wskazują gniazdo, skąd wędrowcy wybierają jaja, jak swoje, wypełniając nimi wielkie jak przetaki czapki aresztanckie. Mają i dla siebie, i jeszcze dużo na zbycie, więc kilka i kilkanaście jaj dostać można za kopiejkę. Bochenek chleba zwyczajnego, jaki u nas nazywają podsitkowym—bo taki tu tylko pieką, wielki jak sito, płaciny tu 6—7 kopiejek. I tak wszystko.

To też mając ze sobą herbatę, nie zawsze możemy przejść nasze strawne, które w gubernii Tomskiej wynosi już tylko 6 kopiejek na głowę. Żywimy się we 3 wspólnie. Zwykła nasza w tej porze żywność, składa się—oprócz herbaty—z zupy, w rodzaju chłodnika, przyrządzonej z kwasu chlebnego, jaki tu służy powszechnie za napój, śmietany, szczypioru cybulowego i jaj kaczych, gotowanych na twardo. Mamy tanie ryby i tanie mięso, oraz chleb, bajecznie tani. Możemy sobie pozwalać na pszenne nawet ciasto, t. z. szańki, to jest cienkie placki, z nałożonym na wierzchu serem, marchwią, cebulą, lub innym smakołykiem.

I jeszcze raz zatrzymują nas na etapie Iskulskim na cały tydzień, skąd wyruszamy nakoniec 10 lipca.

Grunt zaczyna się podnosić niedochodząc mil parę miasta Koływania; równina przechodzi w powierzchnię falistą. Zmniejsza się ilość komarów i bąków, które są plagą ludzi i zwierząt w tej krainie. Gdy opadną konia, a obsiadą mu podbrzusze, koń obronić się nie może, rzuca się, tarza, nic nie pomaga, i w końcu się zabija tem rzucaniem.

Dnia 16 lipca stajemy w mieście Nowym Koływaniu. Miasto dopiero w budowie. Staje na wzgórku, u którego stóp ciągną się łąki i błonia, otoczone wzgórkami. Okolica coraz bardziej malownicza. Trakt zbliża się do rzeki Obi, i wiedzie lewym jej brzegiem. Rzeka szerokością swą w kilkakroć przenosi szerokość Wisły pod Warszawą, brzegi niskie, lecz strome, dno piaszczyste, pełne odłanków szarego łupku, podobnego do szyfru, znanego i u nas, jako tabliczki szyfrowe. Woda niezwykle przejrzysta, pozwalająca odróżnić przedmioty na dnie w pewnej głębokości. Nad brzegiem rzeki krzewy, dalej lasy sosnowe. Miejscami spotykamy ziemię piaszczystą, po zejściu śniegów po raz pierwszy.

Lewym brzegiem Obi idziemy wiorst trzydzieści kilka. Dnia 19 lipca przeprowadzamy się, w odległości 40 wiorst za Koływaniem.

Rzeka rozlała się tu szeroko, środkiem koryta malownicze lesiste wysepki. Wierzchnia warstwa gruntu przechodzi w popielatkę. Drzewostan lasów urozmaica się: Oprócz brzozy, rośnie sosna, czeremcha, wierzby, głóg, jarzębina i inne. Na płaskowzgórzu tem więcej widać poletek, zasianych zbożem. Zboże jeszcze zielone. Żyto dopiero niedawno kwitnąć zaczęło, i jeszcze nie okwitło zupełnie; owies jeszcze się nie kłosi nawet, a przecież to już koniec lipca.

Nie dochodząc Tomsku na jakie pół setki wiorst od tego miasta, doszliśmy do rzeki Tomu. Posuwając się wzdłuż lewego brzegu tej rzeki, piaszczystego i żwirowatego, zbliżamy się pod miasto gubernialne Tomsk, nad którym dominuje duży gmach biały—więzienie. O dwie wiorsty od miasta przeprawiamy się na brzeg przeciwny, górujący nad lewym. Oberwany tu brzeg prawy odsłania uwarstwienie gruntu: wierzch żółty—gliniasty, i dolny biały, może wapienny — czego nie sprawdziłem. Gdyby jednak tak było, uwarstwienie ziemi pod Tomskiem przypominałoby nasze pod Lublinem.

Dnia 29 lipca stanęliśmy w Tomsku. Umieszczono nas w „ostrogu“ — t. j. gmachu więziennym. Skorośmy się rozstawali w przeznaczonej dla nas izbie, przyszło kilkunastu młodych żołnierzy—Polaków, wśród których poznaliśmy dawnych towarzyszków z szeregów powstańczych. Najmłodszy z nas, uczniowie szkół, terminatorowie rzemiosł, i t. p. zamiast osiedlenia, skazani byli do służby wojskowej w batalionach Sybirskich. Przybywszy tu wcześniej od nas, byli już do tych pułków wcieleni, a z kolei będąc na warcie przy więzieniu, przyszli odwiedzić dawnych kolegów, podzielić się z nimi myślą, zachwycić wieści o kraju i najbliższych, których pożegnali o wiele wcześniej przed nami. Władze miejscowe nie broniły tej konfidencji więźniów ze strażą, a tym sposobem upłynęło nam dni kilka na wspólnych wspomnieniach.

W tym czasie transport więźniów politycznych uległ reorganizacji. Przyszedł rozkaz z Petersburga, ażeby ich przewozić furmankami. Poczynając więc od Tomsku, odbywaliśmy dalszą podróż w kibitkach.

Podróż ta szła więc śpieszniejszym tempem. Kiedy bowiem na przebycie odległości od Tobolska do Tomsku, wynoszącej niespełna 1½ tysiąca wiorst (ściślej 1446 wiorst) zużyliśmy 134 dni (od 18 marca do 29 lipca), odległość z Tomsku do Krasnojarska, 551 wiorst, odbyliśmy w dni 10. W pierwszym razie wypadło przeciętnie na każdy dzień strawiony w podróży niespełna 10,8

wiorst, w drugim 55,1 wiorst. Koszt utrzymania więźnia (w przypuszczeniu jednakowego asygnowania pieniędzy na żywność codzienną) tem samem wynosił 5½ razy więcej na wiorstę w podróży pieszej niż przy transportowaniu go końmi. Za oszczędzone pieniądze, można było dać mu furmanki.

*

*

Na furmankach więc, tak zwanych „obywatelskich“ podwodach, wyprawiono nas z Tomaska, 3 sierpnia, nad wieczorem. Słońce miało się już ku zachodowi. Robiliśmy odtąd po 2 stacye codziennie, a noclegi miewaliśmy po domach prywatnych. Mogliśmy się zatrzymywać na stacyach według woli i posilać się obiadem. W najbliższem od Tomaska mieście powiatowem—Maryińsku obiadowaliśmy w domu zamożnego kupca, za wskazówką daną nam przez kogoś. Kupiec rad był zarobić od kilkudziesięciu podróźnych, więc niedziw, że nas nakarmił. Ale niepoprzestał na tem. Przysiadł się do nas, rozpoczął gawędę, z której się okazało, że znał i przyjaźnił się z jednym z dawniejszych wygnańców, który wróciwszy do kraju po wstąpieniu na tron cesarza Aleksandra II, był obecnie powtórnie zesłanym do Syberji. O niego to wypytywał nasz kupiec, oddając mu wielkie pochwały. I przyznać trzeba, że poprzednicy nasi na Syberji zapisali się wdzięcznemi głoskami wśród mieszkańców tej krainy wygnania, co nam ułatwiło stosunki z miejscową ludnością w siódmym dziesięcioleciu minionego wieku, wtedy kiedy szliśmy tam całemi dziesiątkami tysięcy, a zmuszeni szukać pracy dla chleba, robili konkurencyę żywiolowi miejscowemu.

W dużej i jasnej izbie, w której zastawiono nam stoły, zobaczyłem malowidło, które zwróciło moją uwagę, tak różniło się wybitnie od malowideł, jakie się tu wszędzie spotykało. Była to głowa Ś-tej Maryi Magdaleny, płaczącej, u grobu Chrystusa, o pięknej ale słabo oświeconej twarzy. Gospodarz, zapytany, kto ten obraz malował, i gdzie go nabył, a zapytany o to — jak się okazało, nie po raz pierwszy, stąd też rozumiejący, że ma rzecz wartościową, opowiedział nam następującą historję tego obrazu:

Obraz ten malował chłopiec tutejszy, z Maryińska, mając lat 13. Stąd wyjechał do Tomaska, gdzie w 5 lat później namalował obraz ukrzyżowanie Chrystusa do jednej z cerkwi tamtejszych.

Malowidło piękne, na twarzach malowidła widoczna jest boleść w połączeniu z rezygnacją. Z Tomską chciał młody malarz jechać do Petersburga, ażeby się dalej kształcić w Akademii. Nie pozwolił wszakże na to miejscowy biskup, utrzymując, że i tak może malować dobre obrazy cerkiewne. To chłopca złamało, rozpił się i młodo życie zakończył. Jeżeli zaś opowiadanie jest prawdziwe, jeżeli rzeczywiście ów obraz, jakiśmy widzieli, namalował w 13 roku życia, to rzeczywiście szkoda zmarnowanego talentu.

Posiliwszy się dostatnio, pytamy kupca, co mamy mu płacić? „Po 35 kop. od pyska“ (s ryła) odpowiada jowialnie, chociaż nie dobranymi wyrazami. Ale ton i wesoły wyraz twarzy gospodarza dowodził, że nie chciał nam ubliżyć, ale raczej familjaryzować się pragnął.

W parę dni później minęliśmy granicę gub. Tomskiej i wjechali do gubernii Jenisejskiej.

Promem przepławiamy się przez rzekę Czująm, i stajemy w mieście powiatowem Aczyńsku, leżącym nad tą rzeką, u stóp gór, zwanych Czująmskie, bo ciągną się wzdłuż brzegu (prawego) tej rzeki. Odnogi tych gór podchodzą pod Krasnojarsk. Grzbiet ich wydaje się wyższym od Uralskich, a podnóża ich szerzej rozgałęzione. W stronie zachodniej lesiste, ku wschodowi przechodzą w step bezleśny. Gościniec wysypany żwirem i drobnymi kamykami, przypomina nasze drogi szosowe; ale przejeźdźni nasyp ten omijają, woląc jeździć po miękkim gruncie, obok nasypu.

Pod Krasnojarskiem grunt nabiera barwy różowej, co może dało nazwę temu miastu. Samo miasto leży w równinie, na lewym brzegu rzeki Jeniseja. Szerokie i proste ulice, piękny sobór z wysokimi wieżycami i olbrzymi gmach więzienny—oto cechy miasta.

Umieszczono nas w ostrogu — t. j. więzieniu, tymczasowo, dopokąd nie oznaczą każdemu wsi, w której odtąd ma zamieszkać. W ostrogu spotkaliśmy nieco kolegów, w podobnym znajdujących się położeniu, a w ich liczbie młodego medyka, Zygmunta Migurskiego, który dzięki fakultetowi, jaki dopiero rozpoczął, został zakwalifikowanym na felczera w więzieniu. Było to rozumie się na razie lepszem, niż osadzenie na wsi, gdzie intelligencji niema żadnej, i człowiek tam zesłany, zostaje skazanym na środowisko ciemnych i gburowatych ludzi. Praktyka zaś szpitalna mogła mu się przydać jeszcze w przyszłości.

W 6 dni później zawezwano mię do urzędu i oświadczone, że mam osiąść we wsi Birussie, nad Jenisejem, wsi wchodzącej w skład gminy Zalediejewo, w okręgu Krasnojarskim.

Gmina Zalediejewo obejmuje szmat ziemi, równy obszarem kilku naszym powiatom, na którym rozrzuconych jest wsi kilka—naście. A więc naprzód—długa na wiorst parę, wieś główna — Zalediejewo, gdzie mieści się zarząd gminy, i gdzie rezyduje rewirowy urzędnik — t. z. „zasiedatiel,“ a jak u nas nazywają — „asesor.“ Dookoła tej wsi zgrupowało się kilka wsi pomniejszych. Inne wsie tej gminy podchodzą bliżej miasta, a mieszkańcy ich, dawniejsi włościanie, zamienieni przed niewielu laty w kozaków, obowiązanych do pełnienia służby garnizonowej na tych samych prawach, co kozacy. Dalej jeszcze leżą wsie rozrzucone na krańcach gminy, w odległości około setki wiorst od centrum gminy.

Po wyjeździe z Krasnojarska, przy długim dniu letnim, byłem tegoż dnia (18 sierpnia) w Zalediejewie przed zachodem słońca. W ciągu dnia następnego zarząd gminny przygotował potrzebne papiery, zadysponował podwodę i przewodnika, a 20 tegoż miesiąca wyruszyłem dalej. Minąwszy łagodne zbocza wzgórz, wyjechaliśmy w góry, wspinając się po stromych drożynkach, nad przepaściami, wśród głuchej puszczy leśnej. Przewodnik szedł pieszo, więc całą drogę odbywaliśmy stępa; a że mieliśmy do przebycia 5—6 mil, zeszedł nam w tej drodze niemal dzień cały. Wreszcie, wśród drzew przejaśniać się zaczęło—las się kończył—kończyły się i góry, przerwane szerokim łożyskiem Jeniseja, którego wody lśniły między ciemnymi brzegami, pokrytymi gęstwiną drzew iglastych: sosny, cedru sybirskiego i świerka.

Gdy zbliżyliśmy się do brzegu, przewodnik zawołał o przewóz. Głos idzie po wodzie daleko, zwłaszcza wśród wieczornej ciszy. Przewoźnik podpłynął, zabrał nas i oto nocujemy we wsi Owsiankowej, na prawym brzegu Jeniseja, w odległości 4—5 mil powyżej Krasnojarska.

We wsi Owsiankowej, czyli krócej—Owsiance, zastaję dwóch Polaków, osadzonych tu kilkoma miesiącami wcześniej, ludzi w średnim wieku. Mieszkali razem w jednej izdebce, urządzili się jako tako, skromnie bardzo. Przenocowawszy w Owsiance, wsiałem do oczekującej mię łódki, którą dalszą mam odbywać przeprawę.

Jenisej w tem miejscu, ścieśniony wysokimi skalistymi brzegami, płynie głęboko i bystro. Płynąć w górę można jedynie trzymając się samego brzegu, gdzie prąd mniej wartki, pozwala płynąć w górę rzeki, co się odbywa za pomocą długich drągów, którymi przewoźnicy odpychają się w kierunku, przeciwnym prądowi, o ile te drągi zgruntować mogą. W miejscach głębszych trzeba użyć całej siły wiosła, ażeby prąd wody przewyciężyć, co

się przytrafia zwykle u podnóża skały, wpadającej wprost w koryto. Dwóch tęgich chłopów wykonywa tę pracę. Każdy ruch drągów odzywa się szarpanym ruchem łódki, (tam i nazad), co przyprawia mię o chorobę morską i nie pozwala zachwycać się pięknymi krajobrazami wybrzeży tak, jak na to zasługują. Skały nagie różowej barwy przeplatają się z ciemną ścianą lasów i borów, porastających nadbrzeżne wyniosłości. Na jednej takiej skale, spadającej prostopadłą ścianą w zwierciadło rzeki, na wysokości kilku piętér od powierzchni wody, widnieje podobizna konia i ludzi, namalowana czarną jakąś farbą, w tym stylu, jak dziatwa miejska maluje u nas węglem lub kredą te postacie na parkanach. Trzeba podziwiać i trwałość farby, która przez niepamiętne czasy nie uległa zmyciu, i sposób, jak się człowiek dostał na tę wysoczyznę, żeby to namazać. Wprawdzie na skale widnieją ślady wyższego niegdyś poziomu wód, a zapewne i pokrywających te wody lodów, bo chyba one to pozostawiły poziome rysy na skale, przeciskając się tu i drąc ścianę skały; ale jeszcze i wtedy wspięcie się na tę wysokość nie było łatwym zadaniem.

Zmęczeni przewoźnicy zatrzymują się na odpoczynek. Wychodzimy na brzeg. Pora południowa się zbliża, potrzeba się posilić. Zarzucają podrywkę, i niebawem wyciągają kilkofuntowego miętusa. Wkrótce jest rosół z ryby i ryba gotowa. Zapraszają mię do kompanii; ja znów dziełę się z nimi mojami prowiantami: herbata, cukrem, pieczywem miejskiem. O kilkanaście kroków od ogniska widzę nieznanne mi kwiaty o żywych barwach. Zaciekawiony, idę i zrywam. Nazwać ich nie umiem, bo takich nie widziałem. Więc dla wiadomości ogrodników, zamiłowanych w kwaciarstwie—opiszę: z kielicha, o czterech płatkach, wychyla się korona w kształcie rybiego pęcherza, czy jajka — wielka jak kacze jaje, z owalnym otworem u góry, przez który przegładają słupek i pręciki. Barwa ich przeważnie ognisto żółta lub pąsowa, czasem biała z różowem, niekiedy kwiat żółty, nakrapiany pąsowo. Do dzisiaj mam żal do siebie, że nie skorzystałem wówczas ze sposobności — ażeby kwiaty te, a właściwie rośliny całe, zdobyć dla zbogacenia kwietników naszych. Ale w onej chwili inne myśli tłoczyły się do głowy!

Po wypoczynku — płyniemy dalej. O zmierzchu 21 sierpnia stanąłem na miejscu zestania, we wsi Birusińskiej, na lewym brzegu rzeki o wiorst 75 powyżej Krasnojarska. Zamieszkali tu od pewnego czasu koledzy, uprzedzeni o mojem przybyciu, oczekiwali mię już nad brzegiem i zabrali na noc do siebie.

Podróż ta, od czasu wyruszenia z Radomia, (30 stycznia) trwała przeto niemal 7 miesięcy. Droga, którą zrobiłem, według wykazów odległości punktów, przez jakie przejeżdżałem, licząc od Warszawy, wynosi:

z Warszawy	do Petersburga .	1,045	wiorst
„ Petersburga	„ Moskwy . .	604	„
„ Moskwy	„ Niżnego . .	410	„
„ Niżnego	„ Kazania . .	371	„
„ Kazania	„ Permu . .	582	„
„ Permu	„ Tobolska . .	922	„
„ Tobolska	„ Tomska . .	1,446	„
„ Tomska	„ Krasnojarska .	551	„
„ Krasnojarska	„ Birusy . . .	75	„

od Warszawy ogółem 6,006 wiorst.

Jest to odległość, która czyni, że mamy tu wschód i zachód słońca o 4½ godzin wcześniej, niż w Warszawie.

HENRYK WIERCIEŃSKI.

Przysięga Kościuszki.

Kościuszko dostał się do niewoli pod Maciejowicami 10 października 1794 r. ciężko ranny. Był—wedle świadectwa najwiarogodniejszego, bo najbliższego w miejscu i czasie, pochodzącego bezpośrednio od czuwającego nad nim, wziętego z nim razem towarzysza—„mocno cięty w głowę tak, że kość nadwierzona, i prócz tego dwa razy spisą pchnięty“¹⁾. Utracił przytomność i mowę i odzyskał je dopiero poczęści nazajutrz.²⁾ Zatem podsuwanych mu później słów, które jakoby paść miały z jego ust przy samem wzięciu, *finis Poloniae*, wyrzec nie mógł. Nie było wprost fizycznej potemu możności, jak nie było moralnej, jak zresztą żadnego oczywiście nie było podobieństwa recepcyi tego rzekomego okrzyku przez jedynych słuchaczy, prostych kozaków, mniej podobno z łaciną obytych.

Kościuszko, po rozlicznych przeprawach, przywieziony został do Petersburga 21 grudnia 1794 r. wieczorem. Transport jego, z wielkimi ostrożnościami, drogą okólną dokonywany, odbywał się wedle wydawanych z Petersburga najszczegółowszych zaleceń i posyłanych tam z drogi najdokładniejszych raportów.³⁾ Natych-

¹⁾ Fiszer do Zajęczka, Maciejowice, 11 paźdz. 1794 (Arch. Czartoryskich, Kraków).

²⁾ Tenże do tegoż, tamże, 12 paźdz.; por. późniejszą relacyę d-ra Maig-niena z 1797 r., dość beztreściwą zresztą, u Skalkowskiego, O kokardę legionów (1912), 179 sq.

³⁾ Odpowiednie dokumenty oryg. przechowały się w Arch. państwowem ministeryum spr. zagr. w Petersburgu, vol. VI, 548, O dostawleniu w Pietierburg Kostiuszki; lecz ogłoszenie ich okazało się zbyt bezużytecznym wobec postanowionej ich publikacyi urzędowej w Cztienjach Mosk. Tow. miłośników hist. i staroż. rosyj. Pozatem por. Niemcewicza, Notes sur ma captivité à St. Pé-

miast po przybyciu na miejsce przeznaczenia odłączono Kościuszkę od towarzyszków podróży, Fiszera i Niemcewicza, i umieszczono oddzielnie w domu komendanta twierdzy petropawłowskiej. Tu poddano go wszechstronnej indagacji, prowadzonej przez prokuratora generalnego Senatu, Samożłowa, szwagra hetmana Ksawerego Branickiego, wedle wskazań samej imperatorowej. Punkta badawcze, na których najwięcej zależało Katarzynie II, dotyczyły czterech zwłaszcza zagadnień następujących: związku powstania z rewolucją francuską, styczności jego z Prusami, udziału w niem familii Czartoryskich i królewskiej, stosunków jego z kozaczną. We wszystkich tych przedmiotach, niezawisłe od podejrzeń i domysłów własnych, posiadała cesarzowa pewne, mniej lub więcej z prawdą zgodne informacye i wskazówki pozytywne, płynące ze źródeł tajnych szpiegostwa lub zdrady. Miała swoje „kanały“ nietylko wśród emigracji polskiej w Dreźnie i Lipsku, w Krakowie i Warszawie powstańczej, lecz nawet w Paryżu rewolucyjnym, wśród ludzi zasiadających tam w organach centralnych, w Klubie jakóbinów, Komunie paryskiej, Konwencji narodowej, ministeriach spraw zagranicznych i wojny, Deputacyi obrony powszechnej i Komitecie ocalenia publicznego.¹⁾ Na podstawie danych, będących w ręku

tersbourg (1843); staranny wykład Korzona, Kościuszko (1894), dokąd jednak dostały się niektóre omyłki w datach z winy Niemcewicza, który w swych Notes podawał daty naprzemiany wedle kalendarza starego i nowego; Nowe Wczasy, III (1910); Tyg. Illustr. (1911) № 25.

¹⁾ Do tajnych korespondentów rosyjskich w Paryżu podczas rewolucji należeli między innymi Etienne Méjean, pracujący kolejno z Mirabeau, Żyronią i Górą, a pod koniec hrabia Cesarstwa; podobnie służył osławiony Mehée, sekretarz Komuny paryskiej a uprzednio redaktor dziennika francuskiego w Warszawie i t. d.; bliższe szczegóły znajdują się w będącej w druku monografii t. XXVI Wł. Dzwonkowskiego, Rewolucya francuska w świetle relacyi tajnych rosyjskich. Z Polaków najmocniej był podejrzewany Piotr Maliszewski; dochowało się następujące o nim oświadczenie Aloizego Orchowskiego (z 1800 r.): „W czasie kiedy projekt rewolucyi polskiej w domu Robespiera był decydowany, Tadeusz Mostowski przyprowadził z sobą na tę konferencyę Maliszewskiego, a zarekomendowawszy go Tadeuszowi (Kościuszcze), rzekł: „to jest człowiek jeden z najnotliwszych, przy nim można wszystko robić“, czemu Tadeusz z łatwością uwierzył, znając Mostowskiego. Projekt więc rewolucyi w przytomności Maliszewskiego był ułożony i w r. 1794, jak wiadomo, egzekwowany. Po batalii maciejowickiej Tadeusz został wzięty w niewolę i zawieziony do Petersburga. Gdy cokolwiek przyszedł do zdrowia, wyznaczono generała Samożłowa dla ciągnięcia z niego inkwizycyi, a na samym wstępie był zapytany Tadeusz, jaką miał konferencyę z Robespierrem w Paryżu, na co odpowiedział, że żadnej nie miał. Samożłow wyrecytował mu natychmiast to

rzędu petersburskiego, wypracowany został nadzwyczaj ślizki i wnikliwy kwestyonaryusz i przez inkwirenta Samojłowa przełożony Kościuszce, któremu zresztą pozwolono odpowiadać nie w zwykłym sposobie inkwizycyjnym, lecz spisać swoje zeznania sam na sam u siebie w celi, wedle postawionych sobie pytań. Kościuszko na te pytania udzielił odpowiedzi ogólnej w obszernem piśmie własnoręcznem; dostarczył tu wyjaśnień wyczerpujących, przeważnie negatywnych, w pewnych nadających się do tego kwestyach; w innych natomiast, drażliwszych, zachował oczywiście wskazaną w jego położeniu wstrzeźliwość. W podobny sposób indagowani byli równocześnie pozostali, w liczbie dziewięciu, sprowadzeni nad Nową wspólnie, Ignacy Potocki, Tomasz Wawrzecki, Ignacy Zakrzewski, Tadeusz Mostowski, Stanisław Fiszer, Julian Niemcewicz, Michał Hoffman, Jan Kiliński, Andrzej Kapostas. ¹⁾

Sam Kościuszko przez cały czas trzymywania w twierdzy petropawłowskiej był poddawany najbaczniejszemu jawnemu i tajnemu nadzorowi. O każdym niemal jego ruchu i słowie, o stanie zdrowia i nawet nastrojach psychicznych składane były raporty na

wszystko, co na tej konferencji mówiono, porządkiem jaknajlepszym. Tadeusz więc, dostrzegłszy, że cała treść tej konferencji była wiadoma generałowi petersburskiemu, daleki od tego, aby miał cień nawet podejrzenia rzucić na Mostowskiego, zapewnia najuroczyściej, że cel tej konferencji wydał Maliszewski zmarłemu królowi (Stanisławowi-Augustowi), a król doniósł gabinetowi petersburskiemu“ (Arch. Czartor.).

¹⁾ Zeznania Kościuszki ogł. zostały z kopii i nieściśle, pomieszczone z innymi, w Cztenjach Mosk. Tow. (1866) III, IV, (1867) I; ogłosimy je w brzmieniu autentycznym z oryg., w Arch. państw. min. spr. zagr. w Petersb., vol. VI, 549, Pokazanja Kostiuszki etc., obok niewydanych zeznań Ign. Potockiego, Kapostasa i in. Wobec braku dotychczas wszelkich wiadomości pozytywnych o pochodzeniu Kapostasa, kładziemy narazie ustęp autobiograficzny z jego zeznania własnor., Petersb., 7 Jenner, 1795: „Geboren in der Stadt Galgocz in Neutreuer Comitatz in Hungarn, alt 38 Jahr, welcher nach geendigten Studien auf der Universität (*sic*) in Tyrnau in Prespurger Comitatz sich nachgehends der Handlung gewidmet, die Handlung in erwähntem Tyrnau bey dem dortigen Handelsmann Namens Joseph Gabriel Mangold gelernt, und dann 1780 nach Polen gekommen und bey Hrn. Joh. Georg Wanhoffer, Handelsmann in Warschau, bis 1785 conditionirt hat als Buchhalter, a. 1785 aber sich selbst etablirt und mit Hrn. Franz Morino ein Wechselcomptoir eröffnet hat unter der Firma Franz Morino & C-ie, während welcher Zeit er das Vertrauen der Warschauer Bürgerschaft erwarb, dass er sowohl zum Kaufmannssenior als auch zum Rathsherrnofficio ernannt wurde...“; dalsze jego zezn. 25 stycz., 7 marca 1795 r.

ręce Samojułowa, skąd zapewne przez Platona Zubowa referowane były cesarzowej. Takich raportów dochowało się około 30. Okazuje się z nich, że Kościuszek nie tylko od chwili zamknięcia pozostawał w stanie potęgującej się depresji duchowej, lecz że następnie, i to dość nagle, rozchorował się niebezpiecznie. Odpowiedni alarmujący raport donosi wprost: „chory rozpaczliwie“ (*otczajanno bolen*).¹⁾ Z ledwością udało się go odratować. W następstwie, po przeniesieniu go z twierdzy do Petersburga, naprzód do domu Stegelmanna, potem do Pałacu Marmurowego, stan zdrowia Kościuszki stosunkowo znacznie się poprawił, jakkolwiek wciąż jeszcze wiele pozostawiał do życzenia, zarówno pod względem czysto fizycznym, gdyż została bezwładność w nogach i osłabienie ogólne, jakoteż zwłaszcza pod względem moralnym, gdyż zostało ciągle głębokie przygnębienie, poderwanie energii życiowej, nienaturalna nadszłość.

Tak minęły blisko dwa lata. Wtem nastąpiła śmierć Katarzyny. Cesarzowa rażona została apopleksją w środę 16 listopada 1796 r. zrana. Rzecz narazie przez kilka godzin utrzymana była w tajemnicy przed osobą najbardziej zainteresowaną, przebywającym w Górczynie W. Księciem Pawłem Piotrowiczem. Były nader poważne po temu powody. Cesarzowa w ostatnich dniach życia nosiła się z urzeczywistnieniem planowanej oddawna myśli: pozbawienia Pawła sukcesyi, przekazania jej wprost na wnuka najstarszego, Aleksandra. Zwierzała się z tą myślą nie tylko przed fałworem, Platonem Zubowem, lecz przed własną małżonką Pawła, W. Księżną Maryą Teodorówną, wreszcie (4 października 1796 r.) wtajemniczyła samego Aleksandra. Odpowiedni manifest, z góry już przygotowany, miał zostać ogłoszony w najbliższym dniu noworocznym 1797 r.²⁾ Wśród takich warunków osobom, otaczającym Katarzynę, trudno było w pierwszej chwili pogodzić się z katastrofą przedwczesnego jej zniknięcia. Ale cesarzowa nie odzyskiwała przytomności i najwidoczniej, od pierwszej chwili ataku, była w agonii. Tedy około południa zdecydowano się zawiadomić cesarzewiczą. W. Książę Paweł znajdował się wtedy w młynie górczyńskim, gdzie spożywał obiad w towarzystwie kilkunastu zbliżonych do siebie osób, wśród których był także Polak, szambelan August hr. Iliński. Należy stwierdzić, że tradycya,

¹⁾ Wszystkie te raporty, pisane w języku rosyjskim, również przeznaczone zostały do wspomnianej publikacji moskiewskiej.

²⁾ Szumigorski, Imper. Paweł I (Petersb., 1907), 74 sq.

wedle której Iliński miał wprost z Petersburga najpierwszy zawiadomić Pawła o zgonie matki i w ten sposób zyskać sobie jego łaski, jest w tej postaci bezpodstawną i jedynie z pewnem zastrzeżeniem odpowiada istocie rzeczy. Około wpółdoczwartej nadbiegł do obiadujących dzierżawca młyna, Stackenschneider, z doniesieniem, iż do pałacu przybyli z Petersburga oficer oraz jeden z Zubowów. Pierwszym odruchem Pawła, wobec rzeczonych planów cesarzowej, nie będących dla niego tajemnicą, był oczywiście najżywszy niepokój. Owóz zdaje się, że nasamprzaw posłał do pałacu gaczyńskiego Ilińskiego na zwiady, który zapewne wówczas dopiero przyniósł wieść uspokajającą. W istocie, przybyły oficer oraz koniuszy Mikołaj Zubow, brat Platona, przynieśli wiadomość o agonii cesarzowej. Teraz Paweł udał się do Petersburga, gdzie stanął w Pałacu Zimowym o wpółdodziesiątej wieczorem i zastał wciąż nieprzytomną, agonizującą imperatorowę. Agonia trwała przez 36 godzin; śmierć nastąpiła dopiero nazajutrz, 17 listopada, w czwartek, przed dziesiątą wieczorem, poczem tegoż dnia o północy w cerkwi pałacowej składana była przysięga cesarzowi Pawłowi I. ¹⁾

Wobec nagłości zgonu Katarzyny, równającego się zupełnemu przewrotowi państwowemu, wobec doniosłości drażliwych nad wyraz powikłań, wiszących jeszcze w powietrzu i ledwo przez ten zgon zażegnanych, wobec nawału wynikających stąd zajęć najważniejszych i nieodwłocznych, wobec nawet niepochowanych jeszcze zwłok imperatorowej, które zresztą, wskutek wydanych przez Pawła umyślnych w tej mierze zarządzeń, dotyczących również ciała zmarłego przed 34 laty ojca jego Piotra III, pogrzebane zostały dopiero po upływie miesiąca (16 grudnia t. r.), nie dziwota, iż w pierwszych zaraz dniach nowy panujący nie miał wprost sposobu zająć się losem więźniów polskich. Ale Paweł o nich nie zapominał. Okazywał on oddawna, jeszcze za życia Katarzyny, ostentacyjną dla Polaków łaskawość; przyjmował ich chętnie w swoim t. zw. Małym dworze gaczyńskim; tutaj za stołem swoim stale sadzał Ilińskiego, Worcella, Tyzenhauza, Potockiego Seweryna. Zachował wdzięczność za gościnę, jakiej niegdyś, przed laty kilkunastu, kiedy pod nazwiskiem hr. du Nord odbywał podróż zagraniczną, udzielono mu w Polsce, gdzie już podówczas, w Wiśniowcu od Mniszcha, od Stanisława-Augusta, przyjmowany był nietylko jako cesarzowicz, ile jako cesarz pra-

¹⁾ Kamer-furyerskij ceremon. Żurnal 1796 god (Petersb., 1896), 736 sq.

wowity, choć na tronie jego ojcowskim zasiadała jeszcze wtedy Katarzyna. Przeciwny we wszystkim sposobom postępowania i rządzenia matki, jednakowo potępiając jej politykę wewnętrzną i zewnętrzną, założywszy sobie z góry uczynić kiedyś swoje panowanie antytezą jej rządów, skłonny był temu zasadniczemu przeciwieństwu dać wyraz dobitny także w rzeczach polskich. Zdolny przytem, pomimo wszelkich właściwych sobie dziwactw, do zdrowego i bystrego sądu, a nawet do szlachetnych nawskroś poruszeń duszy, był on, w związku z tamtymi czynnikami psychicznymi, dobrze przysposobiony do spełnienia, w pewnym przynajmniej zakresie, dobroczynnego aktu zadośćuczynienia najprostszymi wymaganiami ludzkości względem ofiar ostatniego powstania polskiego.

Z takiego usposobienia cesarza postanowili skorzystać znajdujący się podówczas w Petersburgu Polacy, z których niektórzy mieli blizki przystęp do jego osoby i dworu. Było to zresztą dość mieszane towarzystwo, ówczesna pierwsza kolonia polska nad Newą. Byli tu dwaj młodzi i czyści Czartoryscy Adam i Konstanty, ale były też figury takie, jak Chreptowicz Ireneusz, syn kanclerza Joachima, głośno wypierający się Polski, jak Antonio-wa Czetwertyńska, wdowa po ofierze powstania warszawskiego, wprost nienawidząca Polski, był wojewoda wileński Radziwiłł Michał z żoną, bardzo nieosobliwą wtedy w Petersburgu odgrywający rolę, był synowiec królewski Poniatowski Stanisław, wysługujący się Katarzynie, był Potocki Seweryn, człek uczony i w gruncie niezły, ale wyobcony zupełnie, rzeczywisty radca tajny i senator rosyjski, pokładający ambycję wyłącznie w przyszłej swej karierze prezesa departamentu Senatu petersburskiego i kuratora uniwersytetu charkowskiego. Najbliższymi osoby Pawła byli: szambelan Iliński August, ograniczonej głowy, śmiesznej próżności, choć dobrej w gruncie woli, oraz świeżo mianowany ochmistrem dworu Wielhorski Jerzy, charakter marny, karyerowicz skończony, z którym zerwać będzie musiał i biedny stary ojciec, dawny emigrant-Baszanin Michał, i dzielny brat Józef, emigrant-legionista. Interwencja tych rodaków, przeważnie małego umysłu i serca, dworaków raczej niż obywateli, w sprawie więźniów polskich nienajlepszą była wróżba, nienajlepszą poręką prawidłowego obrotu tej sprawy, z tyłu względów arcydrażliwej, wymagającej od przygodnych pośredników takiego poziomu duchowego, do jakiego oni zgola niedorośli, wielkiego taktu ludzkiego i politycznego w połączeniu z wysokim i odważnym poczuciem godności narodowej.

Do poruszenia sprawy więźniów polskich bezpośrednio w rozmowie z cesarzem wnet nadarzyła się sposobność. Do kolacyi przy stole cesarskim w Pałacu Zimowym zaproszeni byli wieczorem 19 listopada 1796 r. ochmistrze Jerzy Wielhorski i Tyzenhauz, 21 listopada ciż sami, 22 listopada ciż sami oraz szambelani dyżurni Iliński August i Potocki Seweryn, 23 listopada Wielhorski, Iliński i Potocki, 24 listopada Iliński, Potocki i Worcell. Zdaje się, że obawiano się pierwotnie dotykać otwarcie sprawy Kościuszki, a natomiast tem gorliwiej rozpoczęto starania względem uwolnienia Ignacego Potockiego. Ta ostatnia kwestya zapewne rozstrzygniętą została w zasadzie podczas bytności Potockiego Seweryna i Ilińskiego u cesarza wieczorem 24 listopada. Tyle pewna, że nazajutrz (14) 25 listopada w Pałacu Zimowym w obecności wicekanclerza Kurakina zgromadzili się: Stanisław Poniatowski, Seweryn, Teodor i Adam Potoccy, Adam i Konstanty Czartoryscy, Michał Radziwiłł, Ireneusz Chreptowicz, Zagórski i Worcell, i podpisali poręczenie zbiorowe za Ignacym Potockim, iż on w razie uwolnienia nie przedsięwzięmie niczego przeciw rządowi rosyjskiemu. Tegoż dnia wieczorem, wśród osób zaproszonych do kolacyi cesarskiej, znajdowali się Iliński, Radziwiłł i Tyzenhauz z żoną.¹⁾

Przebieg dni najbliższych, o ile chodzi o osobę cesarza Pawła, nie daje się śledzić z pożądaną ścisłością chronologiczną, gdyż najpewniejsze w tym względzie źródło, dziennik furyerów nadwornych, mieści lukę zupełnie wyjątkową właśnie za następny okres pięciodniowy, od 26 do 30 listopada. Nie jest wyłączeniem, iż istnieje pewna łączność pomiędzy tą luką a faktem dokonanego w tym właśnie czasie spotkania się osobistego Pawła z Kościuszką.

Cesarz Paweł w niedzielę 27 listopada 1796 r. w towarzystwie W. Księcia Aleksandra i licznej świty udał się do Pałacu Marmurowego, gdzie trzymany był Kościuszko, miał z nim długą i łaskawą rozmowę i oświadczył mu, iż jest wolny.²⁾ O warun-

¹⁾ Poręczenie oryg. 25 listop. w aktach j. w.; por. Czartoryski, *Mém. et corr.* I, 135, z pewnemi jednak nieścisłościami; tamże o Polakach petersburskich, por. Niemcewicz, *Notes*, csse. Golovine, *Mém.* (1910), 77 sq. *Kamerfur. Żurnał*, j. w. 755, 765, 768, 774, 780.

²⁾ Rozmowa Pawła z Kościuszką u Niemcewicza, *Notes*, 180 sq., oraz u Korzona, 471 sq., według wersji polskiej relacyi świadka naocznego Gagarina; był to zapewne nie Maciej, lecz Sergiej Sergiejewicz Gagarin, którego

kach żadnych podczas widzenia się tego nie było mowy. Zdaje się atoli, że Iliński a w szczególności Wielhorski wzięli na siebie wpłynięcie na Kościuszkę i Ignacego Potockiego w tym duchu, iż uwolnienie nietylko ich obu i ich towarzyszków petersburskich, lecz oraz kilkunastu tysięcy jeńców polskich, trzymanyh w Rosyi europejskiej i na Syberyi, uwarunkowane być może jedynie przez złożoną przez nich, a za ich przykładem przez pozostałych, będących w niewoli Polaków, przysięgę wiernopoddańczą na rzecz Pawła I. Owóż rzeczą jest conajmniej podpadającą poważnej wątpliwości, czyli taka *conditio sine qua non* odpowiadała w istocie zarówno danemu zagadnieniu prawno-politycznemu, jakoteż, co najgłówniejsza, pierwotnym intencyom samorzutnym cesarza Pawła, czyli też nie została mu raczej podsuniętą w ostatniej chwili z inicjatywy postromnej. Dwie mianowicie okoliczności, narzucające się same przez się, dają wiele pod tym względem do myślenia. Nasampierw niezawodna, iż połowiczność, czy to w złem, czy w dobrem, nie leżała zgoła w charakterze Pawła, który zwłaszcza w początkach swych rządów z największym naciskiem zmierzał do naprawienia krzywd, popełnionych przez matkę i to bez wszelkich osłabiających klauzul ani kondycyi. Powtóre, traktat trzeciego podziału Polski dopuszczał *sujets mixtes* i przewidywał swobodną opcyę poddaństwa, pod warunkiem jedynie wyzbycia się własności nieruchomości w obrębie cesarstwa rosyjskiego. O pociąganiu do przysięgi wiernopoddańczej rosyjskiej wszystkich jeńców polskich, wśród których ogromna liczba z tytułu urodzenia i posesyonowania odchodziła do działów pruskiego i austriackiego, poprostu nie mogło być mowy ze stanowiska prawnego i międzynarodowego. Ignacy Potocki, którego majątności, czasowo skonfiskowane w departamencie białostockim,¹⁾ leżały niemal wyłącznie w dziale pruskim a po części w austriackim, Zakrzewski, Fiszer, Kapostas, Kiliński i t. d., stawali się, z chwilą wypuszczenia na wolność, *ipso jure* poddanymi bądź, i to przeważnie, pruskiemi, bądź austriackimi. To też jeszcze w poręczeniu zbiorowem, wzię-

spotykamy za stołem Pawła 10, 11, 17 grud. 1796 i t. d., Kamerfur. Żurn., 850, 856, 877. Data przybycia Pawła do Kościuszki 27, a nie 26 listop., wydaje się z tego względu ściślejszą, iż Niemcewicz, Notes, 171 sq., podając tę datę, wyraźnie zaznacza, iż było to w niedzielę; otóż w 1796 r. pierwsza niedziela adwentowa przypadała na 27.

¹⁾ Konfiskata dóbr Ign. Potockiego w Prusiech nastąpiła na mocy Cabinetsordre 19 Mai 1796; Potocki do Fryderyka-Wilhelma II, 29 nov. 1797, 11 févr. 1798, do ks. Henryka 5 mars 1798 (Geh. Staatsarch., Berlin).

tem 25 listopada 1796 r. względem Ignacego Potockiego, nie było żadnej wzmianki o jego przysiędze wiernopoddanej na rzecz Rosyi, lecz oczywiście samo to poręczenie zażądane zostało od Polaków poddanych rosyjskich w tem przypuszczeniu, iż Potocki, swobodnie opuszczając Rosyę, stanie się poddanym obcym, najpewniej pruskim. Przysięga wiernopoddająca rosyjska ze strony samego Ignacego czyniłaby tamto poręczenie zbytecznym, albo też żądanie takiego poręczenia równałoby się supozycyi krzywoprzysięstwa ze strony Ignacego. Wynika stąd, iż jeszcze 25 listopada przysięga wedle myśli Pawła nie była wymagana. Wymaganie to zostało podsunięte dopiero w dniach najbliższych, najpewniej przy udziale bezpośrednim Jerzego Wielhorskiego i Augusta Ilińskiego, prawdopodobnie z pobudki którego z działaczy wpływowych rosyjskich.¹⁾ W każdym razie niewątpliwie wywartą została silna presya, albo raczej suggestya, na samego Kościuszkę. Jemu oczywiście nie o własną chodziło osobę, lecz o tysiące więźniów i zesłańców polskich, którym rzekomo jedynie kosztem tej ofiary

¹⁾ Mamy tu na myśli głównie Samojłowa i Rostopczyna; później dopiero mógł wpływać Bezborodko, który zyskał sobie zaufanie Pawła przez doręczenie mu owego, wygotowanego już przez Katarzynę manifestu o pozabawieniu go sukcesyi tronu, a który zarazem miał najgłębsze i najniebezpieczniejsze wejrzenie w ówczesny stan stosunków polsko-rosyjskich, jak wynika z jego niezmiernie ciekawego pisma do Repnina, Pet., 6 grud. 1794: radzi postępować z Polską tak, jak czyniono swego czasu, „kiedy chciano, aby Małorosya się zruszczyła“ (czytoby Małaja Rossija obruszyła), t. j. łaskawie z Polakami się obchodzić, dopuszczać ich do rządu lokalnego, zostawiać im właściwości lokalne, gdyż „ludzie do starego bardzo przywiązani... Władza samodzielną pozostanie w pełnej sile i świętości tak samo akurat przy Statucie litewskim, jak przy Ułożeniu... Szukać pedantycznie jednolitości (odnoobrazja) byłoby taką samą chimera, jak żądać równości między ludźmi“; przede wszystkim zależy na tem, aby wybić Polakom z głowy pojęcie niepodległości, poczem łatwo będzie uczynić ich stopniowo Rosyanami; pod tym względem Polacy jeszcze okazują oporność; „jedyny Potocki (Szczęsny) widzi rzeczy inaczej, uznaje upadek Kościuszki i wzięcie Warszawy za koniec wszystkiego i uznaje w tem również koniec swego obywatelstwa polskiego, sądząc, iż bez ujmę (niezazorno) stać się może Rosyaninem“; w tym kierunku należy oddziaływać na ogół polski, Sbornik, XVI (1875), 57 sq. Szczęsny właśnie w chwili niniejszej, jesienią i zimą 1796 r., gościł u siebie w Tulczynie Suworowa, por. Esterhazy do żony, Tulczyn, 26 sept. 1796: „...Les Souworow font ici des folies tous les jours, plus baroques les unes que le autres; dans ce moment ils chantent vèpres“, Valent. Esterhazy, Nouvelles lettres 1792—96 (1909), 341 sq.

mógł przywrócić wolność. Kościuszko schorowany, podkopany na ciele i duszy, wstrząśniony odbywającym się gwałtownym przewrotem, nie mógł rozeznąć się w położeniu, ani odporności okazać.¹⁾ Nie znalazł też żadnej w tym względzie podniety ani oświecenia ze strony rodaków, jakich mógł radzić się, zwłaszcza zaś Ignacego Potockiego. Dość, że po krótkim wahaniu, jak się zda-
je 28 listopada, złożył żadaną przysięgę.

Oryginał pisemny przysięgi Kościuszki mieści się na oddzielnym arkuszu pospolitego papieru niebieskiego *in folio*, będącego podówczas w użyciu w kancelaryach petersburskich. Rota wypisana całą ręką odmienną, przypominającą charakter pisma Jerzego Wielhorskiego, co zgadzałoby się z wersją Niemcewicza, iż przysięgę od Kościuszki, w jego mieszkaniu w Pałacu Marmurowym, odbierał osobiście Wielhorski. W każdym razie przy złożeniu przysięgi byli obecni Ignacy Potocki oraz Michał Rostocki, kanonik i proboszcz kościoła św. Katarzyny, brat rodzony arcybiskupa unickiego. Rota ma brzmienie następujące: „Przysięga na wierność. Ja, niżej podpisany, obiecuję y przysięgam przed Wszechmocnym Bogiem na świętey iego Ewangelii, iż powinienem y chcę być poddanym dobrym, wiernym y posłusznym Jego Imperatorskiego Maiestatu *Pawłowi Piotrowiczowi*, memu prawdziwemu y prawemu Hosudarowi Samo-Władzcy całej Rosyi, y Naymilszemu Jego Synowi Wielkiemu Xiążęciu *Alexandrowi Pawłowiczowi*, Imperatorstwa prawemu Dziedzicowi: utrzymywać y bronić, ile będę mógł, prawa i przedostojności niniejsze y następne, które się ściągają do władzy y powagi *Jego Imperatorskiego Maiestatu*, a dlatego w potrzebie zawołany krwią własną utrzymywać y całą moją siłą podług możności do usługi y pożytku tegoż Imperatorstwa we wszelkich przypadkach obstawać. Tak przysięgam przed Bogiem y przed iego Naywyższym Sądem, w czym mi Boże dopomóż. Całuję świętą iego Ewangelię y Krzyż Zbawiciela moiego.“ Tuż pod rotą podpisano: „T. Kościuszko.“ Poniżej, z pewnym odstępem, podpisano: „Ignacy Potocki.“ Jeszcze niżej na tejże pierwszej stronicy arkusza mieści się wypisane niewprawnie

¹⁾ Dr. Rogerson do S. Woroncowa, Pétersb., 19 déc., 25 déc. 1796: „les forces physiques et morales de cet homme (Kościuszko) ont été presque épuisées par ses longues souffrances,“ 27 juin 1797: „je désespère de son (Kościuszki) rétablissement; il a tant souffert de corps et de l'âme que son organisation est tout à fait altérée et l'énergie nerveuse, je crains, irréparablement délabrée,... ce qui est plus à regretter, je crains que la lésion d'âme et d'humeur lui restera“, Arch. Woroncowa, XXX (1883), 81, 85, 92.

po rosyjsku poświadczenie: „Daję to świadectwo, że pan Kościuszko przysiągł na wierność Jego Cesarskiej Mości Pawłowi Piotrowiczowi i następcy Aleksandrowi Pawłowiczowi, w czym podpisuję się. Michał Rostocki, kanonik i przełożony kościoła katolickiego.“ ¹⁾

Nazajutrz, 29 listopada, Kościuszko przyjęty był na posłuchaniu w Pałacu Zimowym przez cesarza Pawła i przedstawił mu listę jeńców polskich, podlegających uwolnieniu. Ukaz o uwolnieniu Mostowskiego i Zakrzewskiego podpisany został przez Pawła 1 grudnia; o uwolnieniu Niemcewicza i Fiszer — 2 grudnia; Ukazu o uwolnieniu Wawrzeckiego i Hoffinanna brak w aktach. Wszyscy wyżwymienieni, z wyjątkiem Fiszer, więzionego podówczas w Niżnym Nowgorodzie, złożyli niezwłocznie przysięgę, wedle rotę zbliżonej do przysięgi Kościuszki i Potockiego, aczkolwiek z pewnemi zmianami stylowemi („Imperatorskiemu Wielichestwu“ i t. p.). Wawrzecki pierwszy wypisał poprostu: „u tej przysięgi po jej wykonaniu podpisuję się.“ Drugi, Ignacy Zakrzewski, były prezydent miasta Warszawy, prawnik rozważny, podpisał w te słowa: „wykonawszy *przepisaną* wyżej przysięgę, podpisuję się.“ Za jego przykładem w tych samych dosłownie wyrazach, ze znaczącem zastrzeżeniem o „przepisanej“ przysiędze, podpisali Mostowski, Niemcewicz i Hoffinann. Wszystkie te przysięgi w liczbie pięciu mieszczą się na jednym arkuszu, na którym poniżej znajduje się podobnie zaświadczenie stosowne Rostockiego. Ukaz o uwolnieniu Kapostasa i Kilińskiego podpisany został przez Pawła 3 grudnia t. r. Obadwaj oni również złożyli niezwłocznie przysięgę wedle rotę tej samej, co Wawrzecki i towarzysze, przyczem obadwaj wypisali się poprostu: „że tę przysięgę wykonałem, zeznaję i ręką własną podpisuję się.“ ²⁾

¹⁾ Arch. państw. min. spr. zagr., Petersb., vol. VI, 548, fol. 82. Ign. Potocki następnie, podczas indagacji swojej w Krakowie, zeznał, Krakau, 26 Hornung 1799: „dass ich mich in keine Handlungen wegen der Wiederherstellung von Polen mengen wolle und mengen könne, und zwar aus Ursache meines dem Kaiser von Russland gegebenen Ehrenwortes“ (Geh. Staatsarch., Berlin).

²⁾ Arch. państw. min. spr. zagr., Petersb., j. w., fol. 93, 95 sq. Fiszer złożył przysięgę w Niżnym Nowgorodzie 24 grud., lecz dopiero dowiedziawszy się o złożeniu jej wprzód przez Kościuszkę, Nowe Wczasy, 441. Rzeczą znaną jest uwolnienie równoczesne Francuza Bonneau bez żadnych kondycji; również godne uwagi, że dopiero po parolu Pawła 22 grudnia o mianowaniu ks. Józefa gen.-lejtantem i szefem pułku kirasyerskiego kazańskiego,

5 grudnia 1796 roku Paweł pismem odręcznym zaprosił Stanisława-Augusta do przybycia do Petersburga. ¹⁾ 10 grudnia t. r. wydał Ukaz ułaskawiający wszystkich jeńców polskich. Kościuszkę obsypywał dowodami życzliwości wyjątkowej, wprowadził go do rodziny cesarskiej, obdarzył znaczną kwotą pieniężną wzamian za przeznaczoną mu pierwotnie darowizną w „duszach“.²⁾ Więcej przecie otrzymali podobno ci, co fałszywie zasuggesty-

zapadła uchwała (opredielenije) Kolegium Wojennego 24 grudnia o pociągnięciu go do przysięgi (Arch. Sztabu Gł., Moskwa), por. Ks. Józef Poniatowski (1910), 258. O ks. Rostockim por. Herrmann, Dipl. Corresp. (1866), 531.

¹⁾ Paweł do Stanisława-Augusta, Pétersb. (24 nov.) 5 déc. 1796: „Mon très cher Frère, je me crois bien heureux de pouvoir proposer à V. M. de venir habiter ma résidence, en cas que cela Lui convienne, où Elle verra par mon amitié le cas que je fais de la Sienne et où je me ferai un devoir de Lui rendre le séjour agréable en Lui rendant ce qui Lui est dû...“; Stanisław-August do Pawła, Grodno, (2) 13 déc.: „Agréez avant tout mes plus vifs remerciements de ce qu'il vous a plu de m'appeler dans votre lettre du 24 nov. „votre très cher frère“; mon coeur en est pénétré et c'est avec une effusion de tendresse que je vous prie de permettre que je vous appelle du même titre. Rien ne peut m'être plus agréable que d'accepter la proposition que vous avez bien voulu me faire d'aller habiter la résidence de V. M. I. Etre près de vous, jouir de votre amitié avec cette confiance entière que votre caractère vertueux peut seul inspirer, fera la douceur du reste de mes jours...“; tenże do tegoż, Riga, (21 févr.) 4 mars 1797; Paweł do króla, Pét., (23 févr.) 6 mars (przez Jerz. Wielhorskiego zaraz po przybyciu króla do Petersburga); król do Pawła, Pétersb., 6, (2) 13 mars; Paweł do króla, Pét., (5) 16 mars; Entretien du roi avec S. M. l'empereur, Pétersb., du (5) 16 mars; król do Pawła, Kamiennyj Ostrow, (10) 21 juin 1797 (Arch. państw., Moskwa); dokumenty powyższe i niektóre inne ogłosimy w całości, jako uzupełnienie interesującej publikacji dyrektora Arch. peters. min. spr. zagr., S. Goriainowa, Paul I-er et Stanislas-Auguste, Revue Contemp., VI (1911), 44, 161 sq.

²⁾ Kościuszkę do Samojułowa, Pétersb., (21 nov.) 2 déc. 1796 (własnor.): „Comme V. E. est certainement informé des ordres gracieux que S. M. l'Empereur a daigné donner pour que la terre qui nous était donnée fût achetée au fisc impérial, je prends la liberté de nous (widocznie w imieniu swoim i Ign. Potockiego) adresser à V. E. pour la prier qu'elle ait la bonté de nous accorder son appui pour que ces ordres fussent exécutés dans quelques jours, vu que la saison avancée et ma santé délabrée exigent mon départ le plus prompt... afin que je sois en état de passer au plus tôt par Stockholm, Londres, à Philadelphie. En même temps j'ai l'honneur de vous prier, mr. le cte, d'avoir la bonté de me pourvoir d'un passeport qui pourrait me servir jusqu'à l'endroit...“ (Arch. państw. min. spr. zagr., Petersb., j. w.).

nowali nieszczęśliwego więźnia i skłonili go do przysięgi. ¹⁾ Co główna, Kościuszko uzyskał od pierwszej chwili zezwolenie Pałwa na wyjazd do Ameryki. Zgodził się na to cesarz najwidoczniej bez wahania i bez żadnych zastrzeżeń, natychmiast przy pierwszym widzeniu się i rozmowie w Pałacu Marmurowym,—co również poniekąd przeinawia za tem, iż przysięga wiernopoddańcza nie była zrazu jako warunek brana w rachubę przez monarchę. Pożegnawszy się 18 grudnia z cesarzem, w widocznym po-

¹⁾ Cobenzl do Thuguta, Pétersb., 25 nov., 2 déc. 1796: „S. M. l'Emper. a eu la clémence de se rendre en personne, et accompagné du Gd Duc Alexandre, dans la maison où le gén. Kościuszko était détenu. A la suite de cette grâce il a obtenu celle de sa liberté et 1000 paysans en don. On assure qu'il se propose de se rendre incessamment en Amérique pour y terminer ses jours et qu'en conséquence il a supplié S. M. l'Emp. de lui accorder une somme pécuniaire à la place des terres qui lui étaient destinées, les suites de ses blessures le mettant hors d'état de marcher et de servir. Quant au cte Ignace Potocki dont la famille sollicitait depuis longtemps la délivrance, ses parents étant rassemblés ces jours derniers chez mr. le procureur général (t. j. Samojłowa; Czartoryski jednak wyraźnie mówi o Kurakinie) ensemble avec d'autres Polonais qui se trouvent ici, les premiers ont signé un engagement qui leur avait été mis pour condition, par lequel ils répondent sur leurs biens et leurs têtes qu'il n'entreprendra rien pour troubler la tranquillité de l'empire de Russie ni contre les devoirs d'un fidèle sujet de S. M. I. Quelques autres Polonais en ont fait autant, les uns en plein, les autres avec quelques restrictions. A la suite de cet acte S. M. l'Emper. s'est également transporté à la maison où demeurait mr. le cte Potocki, après quoi il a été aussi remis en liberté avec un don de 1000 paysans... (cyfrą) Le chambellan Iliński, qui a obtenu des dons si considérables (Aleksandra Newskiego i 5000 dusz), est en grande faveur; on lui fait un mérite d'avoir engagé Kościuszko à accepter les terres et à prêter serment; c'est par lui, que passent toutes les grâces pour les Polonais auxquels on veut faire réparation de tout ce qu'ils ont souffert et éprouvé jadis“; 7 déc.: „...on a également mis en liberté tous les autres prisonniers polonais détenus, tels que Mostowski, Niemcewicz, Zakrzewski et un Français nommé Bonneau qui avait été secrétaire de Descorches à Varsovie... ils ont été présentés à la cour et traités avec distinction. Quant à Kościuszko, on ne doute pas que la défunte impératrice ne l'aurait également remis en liberté sans qu'il y eût aucun inconvénient; mais quant aux autres, et particulièrement Ignace Potocki, il est considéré par tous ceux qui le connaissent comme un homme trop dangereux pour qu'on puisse approuver ce qui vient de se faire à son égard et que l'on ne peut attribuer qu'à la manie de jeter du blâme sur tout ce qui s'est passé sous le règne passé. Le ministre de Prusse (Tautenzien) doit avoir fait les représentations les plus vives au pce Kurakin sur la délivrance de ces prisonniers, en disant que l'on détruirait

śpiechu, nie czekając nawet powrotu pędzącego doń dniem i nocą dla towarzyszenia mu za morze ulubionego Fiszera, Kościuszko nazajutrz, 19 grudnia 1796 r., na Finlandyę, Szwecyę, Anglię, wyjechał do Ameryki.

Niewątpliwie Kościuszko w sprawie złożonej przez siebie przysięgi wprowadzony był w błąd. Wynosi się to wrażenie, że przez własnych rodaków, głównie przez Ilińskiego i Wielhorskie-

par là toutes les mesures prises par la Prusse pour assurer la tranquillité des nouvelles acquisitions respectives. Ces instances n'ont produit aucun effet. ...J'apprends que lorsque le cte Ignace Potocki a été présenté à l'Empereur et lui a baisé la main, ce prince, au lieu de lui présenter la joue suivant l'usage, l'a embrassé sur la bouche en le serrant entre se bras en lui disant: „voilà comme on embrasse un homme comme vous.“ Cet accueil envers un homme qui a toujours été un grand antagoniste de la Russie, un des principaux révolutionnaires, et qui s'est même souillé de tant de crimes, semblerait annoncer des idées bien extraordinaires sur les affaires de la Pologne qui occasionneraient surtout une collision avec la Prusse... Toutes les têtes polonaises sont en fermentation et quelques uns vont jusqu'à espérer que la Russie pourrait en revenir sur le passé...“; 13 déc.: „mr. de (sic) Kościuszko ayant supplié S. M. l'Emper. de lui donner de l'argent comptant à la place des terres qui lui étaient destinées, afin de faciliter d'autant plus son établissement en Amérique, vient d'obtenir en conséquence la somme de 60,000 roubles... (cyfra) l'Empereur s'est expliqué sur les affaires de Pologne, en disant qu'il désapprouvait fortement tout ce qui s'y était fait, que si les choses n'étaient pas si avancées, il serait disposé à tout rendre (na to oświadczenie Pawła później wielokrotnie powoływał się W. Ks. Konstanty), mais qu'il voyait bien qu'au point où on était, il n'était plus possible de revenir sur ses pas. Il paraît que S. M. a fort à coeur de s'attacher les Polonais envers lesquels il est certain qu'on a beaucoup trop multiplié les confiscations et les moyens de rigueur, sans compter les injustices et les vexations que se permettaient les employés“; 26 déc. (o nominacyi ks. Józefa): „il est à remarquer que ce même pce Joseph était tellement odieux à la défunte impératrice depuis la première guerre de Pologne (1792) qu'elle aurait appris avec peine si nous mêmes (Autrya) l'avions repris au service... (dalsze bez ustanku łaski Pawła dla Polaków) ce sont cependant les mêmes meurtriers et révolutionnaires qui ont été si fort distingués par le nouvel Empereur. Le cte Ignace Potocki, qui va fréquemment à la cour, a fait aussi ses visites à tout le corps diplomatique,“ 26, 30 déc. (Haus-Hof-u. St.-Archiv, Wien); Whitworth do Grenvilla, Petersb., (26 Nov.) 7 Dec. 1796, (13) 24 Dec.: „the measure of liberating the Polish prisoners has been followed... by such expressions of... regret for the misfortunes (of Poland)... as serve infinitely to raise the hopes of the Poles and to embarrass the Court of Berlin...“; (25 Dec.) 5 Jan. 1797 (Rec. Office, London); por. Hermann, Dipl. Corr., 595 sq.

go, użytych z kolei jako narzędzie przez wpływowych a nieprzychylnych Polsce działaczy politycznych rosyjskich, był on błędnie informowany o rzeczywistych zamiarach i nastroju Pawła, i że postrzegł się dopiero po niewczasie, po wykonaniu już przysięgi. ¹⁾ Również wydaje się, iż nawet w kierujących za kulisami tą sprawą kołach rosyjskich nie oczekiwano zrazu tak łatwego rozwiązania, iż był to sukces nieoczekiwany, który też sprawcom głównym, Ilińskiemu i towarzyszący był za dużą policzony zasługę i sowitą opłacony nagrodą. W rzeczy samej, za przykładem Naczelnika poszli już bez wahania wszyscy inni. Przysięga wiernopoddańcza Kościuszki, wnet szeroko rozgłoszona, silne wrażenie wywarła zwłaszcza na Litwie. Najcięższym była ciosem dla samego Kościuszki; wpłynęła niepomału na cały jego dalszy nastrój duchowy; pomimo późniejszego, w 1798 r., zerwania pisemnego z Pawłem, pozostała zmnorą tłoczącą dla przeczystej, niepokalanej duszy Naczelnika; przyłożyła się poniewolnie, niewiedomie, ubocznie, do czynników aktualniejszych, tłumiących jego inicjatywę w chwilach przełomowych 1806, 1809, 1812 r. i wpływających na przecięcie jego czynnej roli historycznej; a tem samem w pewnej mierze wyszła na niekorzyść sprawy publicznej.

SZYMON ASKENAZY.

¹⁾ Wzmianka o „ministrach“ rosyjskich, na których postępowanie podstępne uskarżał się w następstwie Kościuszko w swem piśmie do Pawła, Paris, 4 août 1798, odnosi się również i do Polaków petersburskich, którzy w sprawie jego przysięgi tak znaczną odegrali rolę. Pismo to, które pierwotnie przez Sieyęsa miało być dostarczone N. P. Paninowi, posłowi rosyjskiemu w Berlinie, dla odesłania Pawłowi I wraz ze zwrotem otrzymanej od niego kwoty pieniężnej, ostatecznie doręczone zostało w listopadzie 1798 r. A. K. Razumowskiemu, który za nieopatrzne przyjęcie pakietu Kościuszki naraził się na piorunujące reskrypty Pawła, 8 grud. 1798, por. Brücker, *Materyały N. P. Panina*, III (1890), NN. 384, 527 sq.; Skalkowski, *O kokardę legion.*, 85 sq.; Wasilczykow, *Rodzina Razumowskich*, III (1882), 262 sq.

NIEZNANY POEMAT POLSKI

Z WIEKU XVII.

W zbiorze rękopisów Biblioteki Jagiellońskiej (123 Bbb. I, 51) znajduje się duża księga in 4-o, w osłą skórę oprawna, obejmująca poemat w 12 pieśniach o słynnej obronie jasnogórskiego klasztoru w r. 1655.

Na pierwszej stronie okładki, ręką już z dziewiętnastego wieku, napisany tytuł poematu „Obleżenie Jasnej Góry Częstochowskiej,” poniżej tą samą ręką: „cf. Baliński „Pielgrzymka do Częstochowy“ str. 405 i n.“ Na drugiej, wewnętrznej stronie okładki pismem innym, prawdopodobnie jeszcze z XVII w. pochodzącem, imię i nazwisko (zapewne jakiegoś właściciela rękopisu) „Karol Gostokowski,” a poniżej sygnatura jakaś: XII, potem: cena... (wytarte) złp.

Rękopis zachowany doskonale, pisany pismem starannem, wyrazistym, jednolitem — jest ostateczną tego poematu redakcją, przeznaczoną już wprost do druku i to przez samego autora. W samym tekście brak tytułowej karty, dla nas może najważniejszej (bo tu pewnie widniało nazwisko autora i dokładniejsza data ukończenia utworu), oraz trzech innych kart tekstu, t. zn. jednej z samego początku pieśni 4-ej i 2 kart z końca ostatniej pieśni. Wspomina też autor o „rekolekcyach,” które się miały znajdować na samym końcu rękopisu — tych również brak zupełny. Między pieśniami były karty czyste, tekstem nie objęte i te są przeważnie wydarte. W rękopisie strony nie są liczbowane, natomiast zwrotki poszczególnych pieśni oznaczane według bieżących liczb. Na tej też podstawie można oznaczyć ilość brakujących kart tekstu.

Rękopis był pierwotnie własnością klasztoru paulinów na Skałce. Dowodem — starty napis tuż obok pierwszej strofy początkowej pieśni i takiż sam napis, zupełnie wyraźny, a ręką jeszcze z XVII w. prawdopodobnie pisany na samym końcu pieśni dziewiątej: „Sum Conventus Rupellani ad Aedes S. Stanislai Eppi Martyris.“ Jaką drogą dostał się ten rękopis do zbiorów Bibl. Jag.—niewiadomo.

Dotychczasowe wiadomości o tym ciekawym tak treścią, jak i formą poemacie szczupłe są bardzo, niedostateczne i niedokładne. Pierwszą znajdujemy w „Pielgrzymce do Jasnej Góry,“ wydanej z rękopisu przez Michała Balińskiego, Warszawa, 1846. W „Przypiskach i dodatkach do części drugiej“ umieszczono tu zaraz na początku: „Wiadomość o poemacie XVII wieku, opiewającym „Oblężenie Jasnej Góry Częstochowskiej,“ dotąd nie drukowanym“¹⁾.

Większą część tej „Wiadomości“ zajmują cytaty²⁾ i to niezbyt szczęśliwie dobrane; o niemałych zaletach poematu trudno z nich powziąć jakieś wyobrażenie. Ocena estetyczna również wcale powierzchowna i zbyt surowa. Przytoczę główny, początkowy ustęp tej „Wiadomości“ Balińskiego:

„Poemat ten w 12 pieśniach, z których każda ma sto kilkadziesiąt strof sześciowerszowych, jest niewątpliwie utworem końca XVII w. Jego rym jedenastozgłoskowy, wierszowanie, postać i barwa całego dzieła, wszystko niewątpliwie świadczy o czasie jego napisania. Przypisują go napróżno Puławskiemu, wszakże z pewnością nie możemy wiedzieć, kto był jego autorem. Jest to rodzaj epepei historycznej, w której poeta zamierzył opisać głośne owe oblężenie Jasnej Góry przez wojska szwedzkie pod dowództwem Millera w r. 1655. Za podstawę całego dzieła obrał sobie opowiadanie tego wypadku z taką prostotą przez samegoż bohatera Kordeckiego w Gigantomachii zostawione. Korzystając zaś ze strony dramatycznej, jaką mu niektóre zdarzenia prawdziwe i podania nadnaturalne nastreżyły, wprowadził miłość, nieumiejąc jednak związać wszystkiego z talentem prawdziwym.“

Podaje też Baliński bardzo pobieżną treść poematu, wreszcie konkluduje: „W całym utworze nie widać talentu, ale nie brak

¹⁾ Str. 405—425.

²⁾ Pieśń I, zwrotka 1—11; II, zwr. 61—64, 68—74, 78, 80, 81, 83, 89, 95—96, 98—102; następne dopiero VIII, 1—5; XI, 92—95, 187—192, 224—226; razem zwrotek niespełna 52.

imaginacji, a nawet niekiedy natchnienia i dość szczęśliwych wyrażań.“

Może w dalszym ciągu przekonany się jednak, że sąd Balińskiego zbyt był surowy, że poza przytoczonymi przez niego ustępami były inne, bardziej interesujące, piękniejsze, które mogą nam posłużyć za „kamień świadectwa“ poetyckiego talentu autora, wreszcie, że choć w przybliżeniu, ale z pewnym prawdopodobieństwem oznaczyć też można autora i czas napisania utworu ściślej, niż go oznaczył Baliński.

Drugą wzmiankę znajdujemy oczywiście w „Dziejach lit. pol.“ Brücknera.¹⁾ Odsłania on wybitną cechę poematu, której Baliński wcale nie dostrzegł, a mianowicie jego zależność wielką od „Gofreda“ Tassa-Kochanowskiego. Mówi więc Brückner tak: Inwencye Gofreda naśladował wiernie autor (znowu nieznany) „Oblężenia Jasnej Góry Częstochowskiej,“ poematu w 20 pieśniach,²⁾ zupełnie do druku przygotowanego (nawet z „rączkami“ dla wskazywania różnicy między historią a wymysłami romantycznymi), mimo to jednak nie ogłoszonego. Bardzo to ciekawa próba przeniesienia żywca w polską rzeczywistość siedemnastego wieku całej tassowskiej tkanki miłości i zazdrości, zdrad i czarów, walk i ucieczek—romans całkiem jakby „Potop,“ tylko bez Zagłoby.³⁾

Pierwszy więc Brückner odkrywa trafnie w poemacie próbę polskiego „Gofreda,“ tego „Gofreda,“ który w XVII w. tak był ogólnie znany, tak skwapliwie czytany, choć przez wielu nierozumiany w całej swej artystycznej piękności.

Jednak stosunkowo najlepszem dotąd źródłem wiadomości o „Oblężeniu Jasnej Góry“ jest rozprawa napisana—zadziwi to niejednego, ale u nas wielu rzeczom nie trzeba się dziwić—przez Szweda i po szwedzku. Szwed, Alfred Jensen, co polskich poetów na szwedzki język przekładał,⁴⁾ po polsku również piszący,⁵⁾ był jednym z tych bardzo nielicznych badaczy, którychby można

1) Brückner: Dzieje literatury polskiej w zarysie. Wyd. 29. T. I, str. 306.

2) W istocie tylko 12.

3) Więckowski („Die romanischen Einflüsse in der poln. Literatur“), mówiąc o „Oblężeniu Jasnej Góry,“ streszcza jeno słowa Brücknera, str. 43. Podobnie Biegeleisen „Dzieje lit. pol.,“ IV, str. 98.

4) Alfred Jensen: Polska skaldar. Göteborg, 1906. 4 tomy.

5) Alfred Jensen: „Polonica w szwedzkiej literaturze.“ Pam. liter., 1910. Wspomina tu też o „Oblężeniu J. G.,“ ale bardzo ogólnikowo, nie wymieniając nawet tytułu poematu.

zapewne na palcach jednej ręki policzyć, co rękopis nasz w całej jego rozciągłości czytali, a i między tymi on — Szwed — według wszelkiego prawdopodobieństwa najuważniej go czytał i bezsprzecznie najwięcej dotychczas o nim powiedział. Cenne jego spostrzeżenia mieszczą się w ciekawej rozprawie: „Obrazy szwedzkie w literaturze polskiej“¹⁾, znanej wprawdzie, ale zbyt powierzchownie ze streszczenia w polskim języku²⁾. W rozprawie swej poświęcił Jensen naszemu poematowi parę stron (93—100), podając w większej ich części treść niektórych epizodów oraz kilka bardzo ważnych dla nas uwag, które w odnośnych miejscach tego referatu po polsku przytoczę³⁾. Jak dotąd, rozprawa Jensena dla ogólnej niemal u nas nieznanomości szwedzkiego języka pozostaje wciąż bliżej nieznaną, a poemat spoczywa dalej w zapomnieniu i kurzu bibliotecznym.

Słowem, wiedzieliśmy dotychczas o „Obleżeniu Jasnej Góry“ mniej, niżby się tej próbie polskiego „Gofreda“ słuszenie należało, choćby ze względu na to, że jest najwybitniejszą dotąd taką próbą, że wśród rzeszy rymowanych kronik XVII w. zajmuje poniekąd odrębne miejsce, może nawet pierwszorzędne. Rozmiarami (12 pieśni, 2,089 strof sześciowerszowych, wierszy 12,534, z tego brak 11-tu pierwszych strof IV pieśni i 24-ech przy końcu ostatniej⁴⁾, a więc zachowanych wierszy 12,324) góruje nasz poemat nad „Legacją“ i „Władysławem IV“ Twardowskiego oraz nad „Wojną Chocimską“ Potockiego. Formą chciał widocznie autor zupełnie naśladować „Gofreda“, a więc na wstępie każdej pieśni umieścić „argumenta“, a potem w jedenastozgłoskowcach, „przeplatanem ośmiorakiem rymem, jakim Włoszy, Hiszpani i insze narody polerowańsze swoje Heroika piszą“—napisać swoje poema, w treści przez historyczną osnowę przewlec barwną nić romansowych historii i stworzyć całość wykończoną, dla każdego czytelnika zajmującą i budującą, w ogólnem wrażeniu podniosłą i w guście współczesnych piękną. Miejsce satyrycznych dygresyi, wplata-

1) „Svenska bilder i polska vitterheten. Nagra auteckuingar af Alfred Jensen.“ Stockholm. Isaac Marcus' Boktr. Aktiebolag, 1904, str. 171.

2) Benzeltjerna-Eugeström Wawrzyniec: „Alfred Jensen. Obrazy szwedzkie w literaturze polskiej.“ Referat. Poznań. W druk. Dzień. Pozn. 1907, str. 91.

3) Korzystam w tem z łaskawego pośrednictwa Czcigodnego Autora.

4) Jensen tak podaje rozmiary rękopisu: „178 kart (wydarte jeno dwie lub trzy karty z początku 2-jej pieśni), 12 pieśni, 12,504 jedenastozgłoskowych, rymowanych parami wierszy, które się składają na 2,084 zwrotek“ (Op. cit. str. 94). Ja stwierdziłem istnienie tylko 176 kart, w czem dwie karty wstępu.

nych w poemata XVII w., miały tu zastąpić romantyczne historie, pełne fantazyi, niezwykłych sytuacji—słowem, hojnie rozto czony koloryt bajeczny, egzotyczny, tak przez współczesnych czytelników ulubiony.

Ale autorowi naszemu widocznie „przytrudniejszą“ okazała się forma oktawy, więc użył zwrotek sześciowerszowych, rymował parami (aa — bb — cc) i w ramach tej formy wierszowej czuł się wcale swobodny, nie krępował go zbytnio jedenastozgłoskowiec, częsty w naszej poezyi XVII w.

Aspiracye autora, ogólną tendencyę utworu, jego „dwoisty“ charakter, jaki i Tassa „Jerozolima“ na sobie nosi, to znaczy historyczno-romansowy—poznajemy już choćby z przedmowy autora „Do Czytelnika.“ Interesująca jest ona z niejednego względu. W ciekawy sposób usprawiedliwia się w niej autor, dlaczego historyczną treść romantycznymi historiami przeplatał i w charakterystyczny sposób przestrzega krewkiego czytelnika, by, broń Boże, zbyt ziemską treścią niektórych ustępów się nie przejmował, ale oczy od przemijających rzeczy do niebieskich obracał. Z przedmowy tej można też nabrać wyobrażenia o starannej redakcyi utworu, z „sentencyjkami“ na boku, „pobożnemi“ myślami na „marynesach.“ Wspomina tu również autor o jakichś „rekollekcjach,“ które miały się znajdować na końcu poematu — tych nie znajdujemy; zapewne ostatnie kartki z temi „rekollekcjami“ wydarto.

Godną przytoczenia jest ta przedmowa przynajmniej w ważniejszych ustępach. Powiada tam autor o poemacie swoim:

„...dwa tu sposoby w Obleżeniu Jasnej Góry obaczysz, jeden — jako nieprzyjaciel przez szturmny klasztoru dobyć usiłuje, drugi — jako namowami przez poddanie otrzymać się go spodziewa; ponieważ się ten czas tych dwóch sposobów aż do uprzykrzenia (tak Szwedzi klasztorowi uprzykrzeni byli) ciągnie, tedy umyśliłem częścią między pomienione szturmny, częścią między namowy według licencyej poetyckiej wprowadzić Poemata dlatego, jeśliby komu ustawiczość jednejsze materyej uprzykrzać się miała, żeby wmieszany poniekąd między prawdę conceptem do dalszego zachęcił się czytania. Jednak iż pod ten czas niebezpieczny Pan Najwyższy cudownie tego klasztoru bronić raczył i Przenajświętsza Panna, jako Pani tego miejsca cudownego, prawdziwie się na murach widzieć dała, co samiz Szwedzi potym po obleżeniu przyznawali, którzy także i sędziwą osobę tamże na murach widywali, — tedy dlatego, aby zaś prawdziwe wszechmocne cuda Boskie między poetyckie nie były poczytane Poemata, taką

uczyniłem w pracy swojej dystynkcyą. Tam gdzie cud prawdziwy opisuję, zaraz Auctoritatem A. R. P. Augustini Kordecii Prioris Conventus Clari Montis Częstochoviensis, który tę walkę niezbożnych Gigantów szwedzkich bona fide conscripstitis — kładę i sens samej prawdziwej historyej stojącym z łacińskiego charakteru drukiem notuję; tam zaś, gdzie Poemata wprowadzam, mniejszym polskim drukiem na marginesach sentencyjki ku rzeczy potrzebne terminuję, rączkę do tego przydaję, żeby nową pokazywała inwencyą. A ponieważ każdemu dobrze wiadomo jest, że mądrzy i pobożni ludzie, gdy co czytają, samę pracę w czytaniu uważają i pożytku w niej szukają a afektom z niej pochodzącym nad sobą panować nie dopuszczają, — ludzie zaś świata przylegli albo młodzikowie nie tak prace szacują, jako w niej podobania, którymby się cieszyli, szukają, — przeto dla takich jeślim tu co według świata udał albo w miękkie ubrał słowa, tedy żebym ich od marności świeckich odwabił i przyczyną, strzeż Panie Boże, do zgorzenia nie był, osobliwy im pokazuję na marginesach pochop do myśli pobożnych, aby oczy od przemijających rzeczy do niebieskich obracali, odwoływam się przytym do różnych rekolekcyi, które na samym końcu tego Jasnej Góry obleżenia kładę.“

Zwracam uwagę na prozę naszego autora czystą, od makaronizmów wolną; okresy czasem nadmiernie długie, jak np. powyższy, a jednak wcale płynne, niezawite. Co do treści przedmowy podkreślić należy ascetyczne teudencye autora. Z obawą redagował ostatecznie swój rękopis, z niepokojem przeczuwał, że czytelnika właśnie to, co on „według świata udał“ i „w miękkie ubrał słowa“ — najbardziej zajmie i najbardziej mu się spodoba. To też jeszcze raz w końcu przedmowy o pamięć rzeczy niebieskich go prosił:

„Ciebie też, łaskawy Czytelniku, o to gorąco upraszam, że gdy tu białogłowskie przeciwko oblubieńcom swoim będziesz czytał afekty, abys nie tego się, co jest w nich ganić, chwycił, ale to co ich od nagany odwodzi do serca przyjmował, które, jeśliby nieostrożnie wspanęło, obroć je do Boskiej miłości myśląc sobie, iż nad wszystkie stworzone i wymyślone rzeczy tego, co wszystko stworzył—kochać mamy, gdyż jest nad wszystkie stworzenia najpiękniejszy, najwdzięczniejszy i najdoskonalszy, święty, mocny i nieśmiertelny. Tę zatem rozświeciwszy miłości Boskiej do czytania w sercu twoim, łaskawy Czytelniku, pochodnią—zdrów bądź, a mnie z nieudolnością moją w łasce swej chowaj.“

Następuje „Ordo Pieśni albo książek po sobie idących,“ gdzie autor początkowe słowa wszystkich pieśni przytacza.

Wreszcie ciekawy ustęp:

„Drukarzowi trzeba będzie dać informacją mianowicie w tym, aby rączek niekładał jeno tam, kędym ja je położył, żeby zaś nie powaryjował indicem distinctionis inter veram historiam et inter poeticas inventiones—przeto gdzie jest sens prawdziwy Historyej ma kłaść na marynesach druk z łacińskiego charakteru stojący, a gdzie się kładą Poemata—ma także na marynesach rączkę kłaść i druk mniejszy polski.

„Argumenta będzie trzeba do każdej księgi popisać.“

*

*

*

Pobożny a skrupulatny autor widocznie dobrze sobie zdawał sprawę z niedostatków i wad swoich poprzedników w drodze po stromych ścieżkach Parnasu, odczuwał znużenie czytelnika „Wojny domowej,“ „Władysława IV“ lub podobnych rymowanych kronik, gdzie trzeba było czytającemu podążać za autorem krok w krok, przechodzić dzień za dniem, nieraz zupełnie do poprzedniego podobnym. Ciągnęły tam na kresy Rzpltej jakby wciąż te same chorągwie rycerstwa, jakby tym samym zawsze szlakiem—wyglądając końca uciążliwego pochodu i walnej jakiej bitwy, by raz wreszcie rozprawić się ostatecznie z naprzykrzonym wrogiem, przed którym wciąż trzeba było się drobnymi utarczkami opędzać. Zapał, zrazu tak gorący, słabnie zwolna, pomruki już nawet po obozie słyhać coraz groźniejsze. A siwy wódz w poczuciu zbyt wielkiej odpowiedzialności przed Ojczyzną i przyszłością bezsennie spędza długie noce, w Boską jeno pomoc jeszcze ufa i w słuszność dobrej sprawy. Tylko poszanowanie dla wodza-bohatera przygłusza jeszcze zuchwałe głosy, co o hańbie ucieczki już syczą—dla nich przed Ojczyzną prywatą, przed posłuszeństwem swemu wodzowi krzykliwa buta i pycha bez miary. Wreszcie upragniona bitwa,—a przed nią krótka, gorąca przemowa wodza-męczennika, co uśpione serca wstrząsa, skorupę zgnilizny z nich zdziera i lwy budzi w rycerstwie odwieczne, grunwaldzkie. Zwycięstwo—lecz zwykle niewyzyskane, i mimo, że potoki krwi walecznych płyną—kurczą się granice Rzeczypospolitej. A czasem znów zło tak się w duszach rozwieliło, że wprost już granic nie zna, nad poddanymi sroży się bezwzględnie, na

wodzów, choćby jako śnieg czystych, nieposzlakowanych, oszczerstwem bluzga i na ich harde dusze kładzie krzyże męki. Żółkiewskich, Chodkiewiczów — mało; Radziejowskich, Opalińskich, Stadnickich — coraz więcej.

I tak wciąż, jakby w zaklętym kole. Nie chcą już oczy w przyszłość patrzeć, bo Skargi przerażonemi oczyma patrzećby musiały. Czasem się z głębi duszy dobędzie krzyk rozpaczy, ale i ten przeleci niesłyszany — ot „pies szczeka, wiatr niesie,“ przygłusza go ochrypłe, rozszalałe „veto!“, „precz z różnowiercami!“ lub uparte, zaślepieniem pijane „nierządem Polska stoi!“

Jakże się tu dziwić, że żółcią wezbrała szlachetna pierś Potockiego, mimo, że świetną opiewał wyprawę, jakże się tu dziwić innym poetom-obywatelom, że na rzeczywistość smutną, beznadziejnie jednostajną patrząc, niemal jednakiemi słowami malowali te tak do siebie podobne wyprawy, że nieraz bezstronność opowiadania, epicki tok poematu mimowoli im przerywał gorzki uśmiech satyryka-obywatela.

I jak się dziwić, że znaczna większość głosów szlachetnych, myśli zdrowych, obywatelskich kryła się w szarych kartach rękopisów, skoro wydane drukiem wzbudzałyby może szyderski śmiech ogółu lub jego niechęć przez swą prawdę bolesną. To też literatura prawdziwa, narodowa, obywatelska, jaką jest przedewszystkiem polska literatura w swoim historycznym rozwoju — w XVII wieku chowała się niemal zupełnie w rękopisach.

Wśród epizodów historycznych tego wieku należą dzieje oblężenia Jasnej Góry do wyjątkowo jasnych, czystych. Jednolitość duchowa, bohaterstwo prawdziwe, przenikające nieomal wszystkich obrońców, poświęcenie się dla wielkiej sprawy zarazen religijnej i patryotycznej — jednym płomieniem ogarnia wszystkich i giną w jego pożarze odwieczne narodowe wady, oczyszcza się narodowa polska dusza i szlachetnością swych wielkich zalet rozbłyska. Więc już temat sam nie nastroczał autorowi „Oblężenia Jasnej Góry“ sposobności do jakichś satyrycznych dygresji, nie mógł więc być jego poemat taką jak inne rymowaną krouiką i nie taką chciał autor w swym utworze widzieć. Suchość opowiadania historycznego dla odmiany romansowemi historyjami przeplatał i by się jego czytelnikowi „ustawiczność jedneje materyej nie uprzykrzyła, wmieszanym między prawdę conceptem do dalszego go zachęcał czytania.“ Ale i on nie powstrzymał wezbranej żółci i gorzką dygresją prawdziwego oburzenia, patryotycznego bólu wybuchnął w pieśni jedenastej i tak wymownie, jak mało który ze współczesnych, ujął się za społeczną krzyw-

dą. Że jednak te ustępy są jakoby mimowolne, od całości zbyt odbiegające, przeto i odrębnie o nich mówić będę.

Szkielet poematu tworzy ściśle historyczna treść, znana ogólnie choćby z Sienkiewiczowskiego „Potopu,” którą autor „Obleżenia” czerpał przede wszystkim z Kordeckiego („Nova Gigantomachia... a R. P. Fr. Augustino Kordecki. Cracoviae in officina viduae et heredum Francisci Cezarii.” Data aprobaty władzy kościelnej 20 X, 1657) i sumiennie odpowiednie miejsca na „marynesie” zaznaczał, następnie z opisu współczesnego historyka Kobierzyckiego („Obsidio Clari Montis Częstochoviensis etc. Authore Stanislao a Kobierzycko Kobierzycki, palatino Pomeraniae etc. Dantisci. A. 1659,” w 4-ce, kart 7 nlb. i str. 163). Opis ten głównie cudami się zajmuje; dla naszego autora był on zapewne już mniej ważnym źródłem niż powyższe, to też—o ile zauważyłem—raz tylko na świadectwo Kobierzyckiego się powoływał w pieśni ostatniej ¹⁾. Oba te dzieła szczegółowo opisywały przebieg oblężenia, znajdował tam nawet autor dosłownie przytaczane pertraktacje listowne Szwedów z Jasnogórzanami, z których również w całej rozciągłości korzystał. Żadnej ważniejszej wzmianki nie pominął, w treści ściśle się trzymał tekstu swoich źródeł i tekst ten, jak Potocki Sobieskiego Dyaryusz, „ojczystym wierszem ilustrował” ²⁾. Wreszcie czerpał też zapewne i z ustnej tradycji. Źródła te składały się na główny zrąb poematu, na jego osnowę historyczną i ta ubrana w rymy, suchością i nużącą rozwlekłością zupełnie inne rymowane kroniki przypomina, nie odróżnia się od nich ni werwą większą, ani barwnością lub plastyką opowiadania. Tylko tam, gdzie się odezwie gorące, patryotyczne uczucie autora, lub gdzie go prosty, dziecinny wdzięk zachwyci—jest pociągający, serdeczny i zupełnie samodzielny; te ustępy są prawdziwą ozdobą całości i te w odpowiednim miejscu przytoczę. Zresztą szeroko rozwodzi się poeta, gdy przytacza długie przemowy występujących osób (i nie jest też wcale wyjątkiem pod tym względem), lub gdy opisuje walki i pojedynki pod murami klasztoru. Jedyną w tej części poematu różnicą w porównaniu do in-

¹⁾ „in Kobierzycio de Obsidione Clari Montis pag. 151.”

²⁾ Na zależność od „Gigantomachii” wskazuje też Jensen: „Nawet nie zwracając uwagi na wiele wyraźnych, dopisanych na marginesie odsyłaczy do „Gigantomachii” — można się łatwo przekonać, że nieznanemu autorowi we wszystkich ważniejszych ustępach czerpał z tego źródła. Pod koniec bierze stanowczo górę dziejopisarski styl Kordeckiego.” Op. cit., str. 94.

nych rymowanych kronik współczesnych, jest wybitniejszy, niż gdzieindziej, wpływ „Gofreda.“ Dlatego też zbyt dużą byłoby dłużej się nad tą częścią „Obleżenia“ zatrzymywać.

Świadomość potrzeby swobodnego tworzenia przerwała nużącą „ustawiczność historycznej materjej wmieszanym między prawdę konceptem według licencyj poetyckiej.“ I ta właśnie niehistoryczna, romantyczna część utworu, te „Poemata“, jak je autor zowie, ta nawiązana pod przemożnym wpływem epopei Tassa nić intryg miłosnych, co przez cały ciąg akcji historycznej się snuje, z nią wcale spoiście łączy i zgodnie z intencją autora podnosi artystyczną wartość całości, ożywia ją i zdobi—ta część jest dla nas najciekawszą. Ona pozwala nam lepiej ocenić zdolność autora, jego dar poetyckiej inwencji, bo tu ma on sposobność okazać, jak rozległa jest skala jego tonów, czy subtelniejszym być potrafi w malowaniu uczuć delikatnych, w kreśleniu kobiecych postaci, miłosnych walk i niepokojów, „białogłowskich przeciwko młodzieńcom affektów.“ Tu wzorem autorowi naszemu był znów mistrz Tasso i w jego też stylu tworzył te „poemata“, podobnych przedstawiał kochanków, podobne sytuacje wymyślał i w podobną formę poetycką stroił.¹⁾ I znów sądzę, że i tu zbyt znacznie zawikłania miłosne przytoczeniem ich treści rozplątywać—chodzi mi tylko narazie o zwrócenie uwagi na piękniejsze i ciekawsze ustępy. Z tym też zamiarem przebiegnę cały poemat, by, o ile można, dać choć ogólnikowy obraz całości.

*

*

*

Zależność od „Gofreda“ wyraźna już choćby ze strof początkowych, tak podobnych do początku epopei Tassa-Kochanowskiego:

Wojnę niezbożną powiem i Tyrana,
Który przeciwko czci Chrystusa Pana

¹⁾ Do „poematów“ należy wszystko, co się odnosi do osób niehistorycznych. Jest to część utworu niehistoryczna, fantastyczna i ta oczywiście nie ma swego źródła w „Gigantomachii“, ale przedewszystkiem w wyobraźni autora i w „Gofredzie.“ Dowodem choćby same wymyślne nazwiska tych osób (Lioba, Lidora, Amir, Ludgierd i t. p.).

Na Jasną Górę gwałtem następował
 W ten czas, gdy Gustaw Sarmaty wojował—
 Pakta zdradziwszy, złamawszy przymierze
 Przeciw przysiędze i przeciwko wierze.

Ty, któraś polską królową została
 I na tej górze pałac zbudowała,
 Panno — wspomóż mię, a przez szafirowe
 Niebo, gdzie gwiazdy świecą empirowe,
 Obróć z wysoka na mnie oczy swoje
 I wlej dar łaski w miłą piersi moje.

Ty mi przypomnij (siedząc w majestacie
 Z słońca w utkanej promieniami szacie)
 Jako Łucyfer ruszał od północy
 Na ten Twój zamek wszystkiej swojej mocy,
 Jak go chciał zburzyć, zniszczyć i splądrować,
 Z gruntu znieść i cześć Twoją, Panno, zwojować.

Ziemio Sarmacka, któraś pod tą drzała
 Wojną, gdyś na nią skrwawiona patrzała,
 Tryumfuj z tego, że to miejsce święte
 Od nieprzyjaciół nie mogło być wzięte.

I, 1—4.

Muzą obrał sobie nasz poeta tę „Pannę świętą, co jasnej
 broni Częstochowy“ i co niedawno (Jana Kazimierzowe śluby)
 „polską królową została“; dosłownie niemal, jak Tasso-Kochanow-
 ski, albo w „Dziele boskiem“ Kochowski prosił Ją o dar natchnie-
 nia w swojej poetyckiej pracy.

Nieraz zapewne ból szarpał gorące, polskie serce poety, gdy
 bieżące, smutne wypadki na pamięć mu przywiodły minione złote
 czasy, kiedy to Polska w wieńcu sławy chodziła pyszna, nie strze-
 gąc się wcale coraz nowych grzechów, aż miarę cierpliwości Bo-
 żej przeszły „nieprzebrane złości“ nasze i wreszcie dotknął ją
 Bóg „różowym cierniem boju“ i biczem nieszczęść poczał chłostać:

Ach i ty, któraś w pięknej sławie była
 I w Augustowym wieńcu długo żyła,
 Polsko kwitnąca, rzadko cierniem boju
 Różowym tkniona w przymierzach pokoju
 Świadkiem bądź światu, jak nim przyszedł srogi
 Szwed, na tej Górze miałaś swe przestrogi.

Sam dobrotliwy Bóg i sędzia świata
 Grzechy i pyszne licząc swoje lata,

Kiedyś już miarkę jego cierpliwości
 Przebrała, sypiąc nieprzebrane złości,
 Nim miecza dobył, nim ci dał sztych jaki,
 Że cię miał skarać—dawał znać przez znaki.

II, 18—19.

Pod temi słowami serce polskie dotąd jeszcze bije jakby żywe. Jakże od tych „żywych słów“ daleko do zasady, że „nierządem Polska stoi“, a jak blisko do tych błyskawic śpiżowych słów Skargi w drugim i ósmym sejmowym kazaniu, blisko może nie mocą słowa, ale prawdą czującego serca.

O tych Bożych przestroгах, o tych ostrzegawczych znakach obszernie się autor rozwodzi; szedł tu za Kobierzyckim i „Gigantomachią“, w której wszystkie cuda i niebieskie znaki skrętnie autor notował, a nawet, wydając swoje dzieło, odpowiedniami rycinami je okraślił.

Radziejowskiego zdradę tłumaczył nasz poeta jako Boskie zrządzenie, bo nie mógł już poprostu inaczej jej pojąć—i o przebaczenie prosił dla tego wyrodnego syna, co jak wąż jadowity wypełznął z matczynego łona:

. O jak się dziwuje
 Temu Ojczyzna, że syn urodzony
 Polski na Polskę idzie z szwedzkiej strony,
 Na własną Matkę. Ale, co się stało,
 Boże mu odpuść, snadź tak niebo chciało.

I, 33.

Nawet ohydному zdrajcy przebacza poeta, przewycięża miłością pożądanie bezwzględnej kary za ten najstraszniejszy z grzechów, głowę schyla kornie, jak mnich, przed niezbadany wyrokami Boga: widocznie pług głębokiej wiary i świętej, Chrystusowej miłości przeorał do dna jego duszę.

Jad zdrady zatruł większość zebranej pod Ujściem szlachty, zakrwawiły się bólem serca tych, co prawdziwie Polskę kochali—

Jako z powietrza, gdy ostrą na kupy
 Kosą śmierć kosi niezliczone trupy,
 Każdy ucieka, — tak o onej dobie
 Ślachta żałośnie spojrzawszy po sobie
 Rozjechali się, a ci, co stawali
 Przy Kazimierzu, serdecznie płakali.

I, 76.

Nie było już niemal przeszkód w zwycięskim pochodzie Szwedów, szybko więc posuwał się naprzód Wittemberg, do Tasowego bohatera przyrównany:

Idzie jak Argant, a co raz to śmielsze
Serce i oczy podnosi weselsze
Patrząc na Poznań, do którego spieszy
On wprzód, a za nim lud konny i pieszy.

I, 79.

Przypomina się poecie Hannibalowa wyprawa na Rzym; tak jak wtedy niemal w ostatniej chwili niespodziewana a groźna przeszkoda przeciw Szwedom się podnosi:

Wielki albowiem on Scypio polski,
Czarniecki — ku nim idąc pilno z wojski,
Potężny filar ojczystej całości
Tę jedną wzięwszy pociechę w żałości,
Bronić Ojczyzny, tak chciał był spaść na nie,
Ażeby im był słuszne dał kazanie.

I, 87.

Jak Tasso przeciwników Gofreda, jak za jego wzorem Potocki Wacław Osmana w oczach czytelnika poniżyć pragnie, niechęć do niego wzbudzić, wyszydzić, gdzie tylko można — podobnież i nasz poeta Millera przedstawia: nie bohater to, jak Szwedy głoszą, ale raczej zbójca, co po nocach napada i łupieży a do tego kalwin obrzydły

Piękny bohater? albo zbójca raczy.
Kto jego wiarę i cnotę obaczy?
Przyszedł pod klasztor w ten czas, gdy z ogniami
Przykryty drzymie płomień perzynami
I o dziesiątej w noc niespodziewanie
W trąby zakrzyknie, aż strach wielki wstanie.

I, 103.

Przeciw słynnemu wojownikowi stanął do walki pokorny sługa Boży, jakoby poprzednik Marka-Karmelity, jakoby jeden z Mickiewiczowego zakonu, co za natchnieniem Bożem podjął na swe barki olbrzymi trud zerwania szwedzkich kajdan z Rzeczypospolitej. I nasz poeta, może nieudolnie i szablonowo, ale z pewnością szczerze składał hołd wielkiemu norodowemu bohaterowi. Nie rażą więc tu panegiryzmem — tak często niezasłużonym — strofy, w których, jak najwymowniej umiał, opiewał nieśmiertel-

ną sławę Kordeckiego, owszem swoją jakąś naiwnością prostą pociągają ku sobie:

. . . . nim Miller swoich lwów z pazury
Ostremit przywiódł w łono Jasnej Góry
I nim się pod mur ściągnął obóz szwedzki,
Tymczasem Ociec Augustyn Kordecki,
Wielebny przeor — myślił jak od swego
Impet odwrócić klasztoru świętego.

Wy z Helikonu Panny i Febowe
Siostry, gotujcie wieńce wawrzynowe
Na Kordeckiego skronie a wokół
Opasawszy je — śpiewajcie wesół
I godne pieśni złożcie ku wieczności
Za jego znaczne prace i dzielności.

Godzien ten człowiek póki trwają lata,
Aby żył wiecznie w pamięci u świata.

II, 1—3.

Strofy poświęcone Kordeckiemu stanowią początek drugiej pieśni poematu; pierwsza tworzy niejako wstęp ogólny. Są to — mówiąc słowami Wacława Potockiego — „proscenia, że rzekę po nasku, posełkowie wojny.“ W pieśni drugiej natrafiamy na pierwsze nici romantycznej tkanki poematu. Romantyczne sceny romantyczną mają oczywiście dekorację: tajemnicze, głębokie lasy, czarów i dziwów pełne — mknie przez nie cud-dziewica lotem błyskawicy w ucieczce przed rycerskim młodzianem; czasem hartowna zbroja, co niewieścią pierś pokrywa i szyszak, co głowę stroi, w gwałtownym pędzie się zsunie, że nagle złociste włosy płomieniem cudną twarz otoczą, — to znów wśród księżycowej, srebrnej niży wymownie się skarży kochanka na twardą dolę, co z umiłowaniem kazała się rozstać i tęsknotą i niepokojem wypełniła wszystkie godziny. Miłość, co wodę w ogień przemienia a płomień ścina w lodowe kryształ — budzi w słabych niewiastach rycerskie porywy i w pożar niebezpieczeństw pędzi dobrowolnie, byle ratować umiłowanego, — miłość-cudotwórczyni w stalowe pierś rycerzy wlewa tkliwe, niewieście uczucia, Herkulesowi wrzeczono w rękę daje, a Rynaldowi każe zapomnieć o sławie bohatera. Tysiącznymi akordami sytuacji, obrazów, nastrojów, od wstrząsających, potężnych, do spokojnych, jak toń cichego jeziora lekko rozkołysana — dźwięczy harfa Tassowa, gdy miłość w nią trąca. Echem tych brzmień podobne sytuacje, obrazy, nastroje w naszym poemacie, niejednokrotnie może chęcią naśladownictwa

jedynie umyślnie wywołane, nieraz może zupełnie mimowolnie naśladowane, ale przez to niemniej szczerze odczute, choć nieraz nieudolnie, o wiele mniej subtelnie wyrażone. A między tymi znajdują się też i takie, które są wyrazem samoistnej, oryginalnej inwencji poetyckiej autora i dowodem bujności jego wyobraźni.

Za śladem zwierzyny puścił się w głęboki las Horn, „którego piękne nimfy wychowały z młodu w Szwecyjej.“ Nagle dziwną postać spostrzega

. Neta śmiertelna bogini
Ku niemu jedzie; rąbek biały z głowy
Spuściła, a zaś czarną do połowy
Taflą warkocze śliczne opasała,
A aż do kostek gzło na sobie miała.

Twarz pokazała bladą i zbolalą,
Śmiertelną, wyschlą, jednak przecie całą
I oczy żywe w martwym niosła ciele,
Jakoby rzeczy chciała widzieć wiele...

II, 68—69.

Wbija się w pamięć ta postać w gźle białem o twarzy bladej i wyschniętej. Śmierć już wycisnęła na niej swe piętno bolesne, żyją jeno jeszcze oczy, co w tajemnicę zagrobowego świata patrzą, przedziwne, szeroko otwarte oczy umarłego. Szkic to tylko, ale pełny treści, jakoby odgłos osobistego wspomnienia poety.

Daremnie Horn ściga tę postać, w której poznaje ukochaną Krystynę. Znika mu ona wnet z oczu

Ów wtym przed sobą nie widząc nic zgola
Jedzie w bór za nią i tam za nią woła.

To ryścią bieży, to się zaś uciszy
I słucha, jeśli chręst jaki usłyszy,
A szukając jej już niewiedzieć kędy
Niehamowane łzy wylewa wszędy
I smutne głosy pospołu z wzdychaniem
Miesza, te słowa mówiąc z narzekaniem:

Okrutna śmierci, taż to twoja sprawa,
Iż przyrodzone ludzkie łamiesz prawa,
Iż dusze z pięknej wyjąwszy urody
Żywym kochankom dajesz te nagrody,
Aby ci od tych, co żyjąc kochali
Żywych, od żywych zmarszy uciekali?

II, 76—77, 82.

Częste i dla XVII wieku charakterystyczne są takie zawiłe wyrażenia, jak to ostatnie, niby bardzo kunsztowne i piękne. Morsztyna też przywodzą na pamięć kwieciste koncepty o ogniu miłości i obojętności lodzie

Nie tak ja czynię, ja i martwe kości
Po śmierci grzeję płomieniem miłości.
Co dzień tak gorę, że chociaż lzy leję
Nigdy miłości ognia nie zaleję.

I tyś też ogień przedtym nie lód miała,
Którymeś się więc ku mnie roztapiała,
Teraz dopiero za śmierci powodem
Takeś stanęła jako rzeka lodem,
Że lubo prawie od miłości mdleję,
Swym cie płomieniem oto nie zagrzeję.

II, 83—84.

Słowa Horna przypominają nam żywo scenę w „Gofredzie,” gdzie Rynald w źrenicach Armidy topi zachwycone oczy ¹⁾

Przedtymeś w oczy moje jak w zwierciadła
Piękne swe gwiazdy wlepiała i kładła
Patrząc w źrenicach moich swych piękności
I zarząc we mnie ogień do miłości,
Który acz k tobie z przyrodzenia miałem,
Niemniej zagrzany z twych oczu pałałem.

II, 85.

Zdaje się jednak poecie, że w tem miejscu zbyt daleko przeszedł w opisywaniu trawiących pożarów miłości, „tedy, żeby przyczyną strzeż Panie Boże do zgorszczenia nie był,” osobliwy czytelnikowi pokazuje na marynesie „pochop do myśli pobożnych,” okazując mu „rączką“ taką uwagę: „Miłość wrodzona gorące ma kochanie, tuszę jednak Czytelniku, że mie sam zagadniesz, iż miłość Boża ma być nagorętsza.“

Śmierć zda się Hornowi jedyną drogą, która go z ukochaną połączy na zawsze, bo prawdziwa miłość i poza grobem żyje i tam dopiero najwyższych szczytów szczęścia osiąga

Ale ponieważ w tak daleką drogę
Uszłaś, że cię już dogonić nie mogę
Ni okiem dociec, tedy za tę winę
Niech i ja umrę, niech na wojnie zginę;

¹⁾ „Gofred“ XVI, 21 — 22.

Wzdyc przecie dusza, skoro wyjdzie z ciała,
Gdym ja niegodzien będzie cie widziała.

I prędzej z tobą dojdzie swych radości
Wszedszy z ludzkiej wieże śmiertelności,
Może się cieszyć, mając czas po woli
Z twej płci i oczu, z twej twarzy do woli,
A czasem się wam z miłości dostanie
I słodkie słodkich ust pocałowanie ¹⁾.

II, 89—90.

Prostotą i wdziękiem zwraca na siebie uwagę mały epizod, jeden z najpiękniejszych w poemacie, osnuty na wzmiance w „Gigantomahii.“ Kordecki pisze krótko: „Globus ferreus ignensceus subeundo tectum, a fumario retrusus et ad latus cadeus infantis, nec ipsum infantem laesit, nec ipsius infantis cunas adussit“ ²⁾.

Poeta nasz stworzył przepiękny obrazek na podstawie tej krótkiej wzmiaki. Niech mówi on sam za siebie:

. kula jedna o północy
Między inszemi wypuszczona z działa
Na kształt komety pod dach przyleciała,
Gdzie od komina będąc odtrącona
Cichą została, co była szalona.

Owszem — dziwna rzecz — podle maleńkiego
Dzieciątka legła na gniazdeczku jego
I rozpalona na słomie leżała,
A jednak słoma od niej nie zgorzała,
Ani pieluszki na dziecinie mały,
Chociaż świeciła, namniej się nie tlały,

Jakoby go to przyszła podczas mrozu
Grzać, wyleciawszy z swojego obozu
I jakby k niemu miłością pałała
Tudzież przy jego boczku usypiała —
A on aniołek, patrząc ku niej, obie
Rączki wyciąga i śmieje się sobie.

III, 128—130.

Niepośledni chyba musiał być poeta, co tyle wdzięku z małego obrazka wydobyć potrafił i tak prostymi środkami.

¹⁾ „Gofred,“ XIX, 107.

²⁾ „Gigantomachia.“ Pag. 29.

Przepysznie się też wyraża, kreśląc z iście homeryckim rozmachem krwawe źniwo wojny:

Tymczasem znowu potężniej strzelali
I ognia ogniom więcej dodawali
Z murów Ojcowie — i tak się palili
Ogniem i gniewem Szwedzi w onej chwili,
Że i lodowa Śmierć czasu nie miała
Mrozu kłaść w członki i w pobite ciała.

III, 40.

Jak Tassowa bohaterka, Armida lub Erminia — nie chce się Czarniecka rozłączyć z ukochanym, gdy się ten na wycieczkę nocną wyprawia i raczej o śmierć natychmiastową z jego ręki prosi, albo o pozwolenie towarzyszenia sobie w boju.

A jeśli już być inaczej nie może,
Jeśli ma prośba i płacz nie pomoże,
Więc miłość za tarcz spólną wezmę z sobą
I pierwej pójdę do boju przed tobą
I tą cię tarczą zrobioną z miłości
Będę zastawiać od szwedzkiej srogości.
Może być, że cię przez mię dla mej wzgardy
Nie będzie sięgał nieprzyjaciel hardy,
Raczej się wezdrgnie i tę puści mowę:
Czy słuszną lichą krwawić białogłowę? *)

IV, 30—31.

Pociesza ją Czarniecki (Piotr oczywiście) i pieści tkliwie:

Sam jej wilgotne perły z pięknych oczy,
Gdy je po twarzy z mokrych zrzenie toczy
Miętką ociera zewsząd bawełnicą,
Miłość go prawie czyni służebnicą.

IV, 41.

Twardy obowiązek odrywa go od ukochanej, śpieszy na bóg zwycięski i żonę zostawia nieutuloną w żalu. Raduje poetę ta serdeczna miłość, z łagodnym uśmiechem sympatyki kreśli powrót Czarnieckiego:

Na te jej skargi i na te łajania,
Na żal, na teskność, na te narzekania
Najmilszy jej mąż po skończonym boju
Trafił, gdy ku jej przychodził pokoju,

*) „Gofred,” XVI, 48—49.

Prawie w samych drzwiach wszystkie sływał słowa,
Które mówiła z płaczem białogłowa.

Wnet jako słońce, gdy z gruby wychodzi
Burze — tak do niej małżonek przychodzi
Z wesołą twarzą i niespodziewanie
Znagła jej w oczach jako Febus stanie,
A rozśniewszy się i spojrzawszy po niej
Z wielkiej miłości rzeczce żartem do niej:

„Niech te przymówki twą wargą osłodzę
I z temi usty niechaj się pogodzę,
Które mie zdrajcą darmo nazwać śmiały,
A miasto gniewu — miłość we mnie wlały.“

Tak się z nią cieszył, ona nań z żalnością
Lubo zmyślonym gniewem lub z radością
Patrzy, to skoczyć co wskok chce do niego,
To oczy znowu odwróci od niego,
To się uśniechnie, to się zaś posepi,
Drazni się sama i zaś wzrok weń wlepi —

A potym mówiąc — „Ach! co ja dla ciebie
Cierpię!“ — ręką go odpycha od siebie:
„O śmierci moja, kiedy mie odchodzisz,
O zdrowie moje, gdy do mnie przychodzisz!“
I zaś go potym, gdy to wymówiła,
Rękami mile płacząc obłapiła.¹⁾

IV, 101—102, 105—107.

Noc już się miała ku schyłkowi, wnet brzask dzienny miał
ukazać świeże pobojuwisko, pokryte śniegiem, od krwi różowym

„Skoro ta szata nocna z ciemnym mrokiem
Zniknie, obaczysz, jako się śnieg wieńcem
Różanym przykrył i skrwawił romieńcem.“
Tak ją utulił, — a wtym też domowi
Kurzy zapieli wesoło ku dniowi.

IV, 112.

Patrzy poeta z podziwem, jak kryształły śniegu lśnią się
w rannem słońcu, a wśród nich krwawe rubiny połyskują:

A gdy dzień nastał i gdy się krystały
Zmarzłe od słońca jasnego błyskały,

¹⁾ „Gofred“, XX, 130.

Między obozem w trąby uderzono
I smutną larmę w kotły ogłoszono,
Aż jakaś żalność serce przerażała
I łyzy niechcące z oczu wyciskała.

Widać — a ono miejsca rubinowe
Po białych śniegach blaski czynią nowe,
Krew świeża zmarzła tak się wydawała,
Takie skry z mrozu pod słońcem sypała,
Że i prawdziwy rubin tej piękności
Niema, co miała krew z zmarzłej jasności.

IV, 113—114.

Rzadko posługują się poeci nasi XVII wieku kolorystycznymi efektami. Autor „Obleżenia“ zachwyca się widocznie tym rumieńcem śniegu, skropionego krwią, i raduje blaskiem śniegowych kryształków w jasny a mroźny zimowy poranek.

Kuklinowskiego wyrostek, stojąc w przedsionku klasztornym, opisuje piękną śmierć Ludgierda, narzeczonego Lioby. Między słuchaczami zwraca uwagę siostra Lioby, śliczna Renata. Drogo okupił swą śmierć bohaterski Ludgierd

„ . . . póki go serce grzało śmiało
Bił swych zabójców, aż kiedy go w ciemię
Trafiono, w ten czas już upadł o ziemię
I zaraz skonał, tylko raz serdecznie
Westchnął i tylko tak rzekł ostatecznie:
„Hej! kto to słyszy, proszę w Częstochowie
(Że Ludgierd zginął) niechaj to opowie.
Dość mi da za śmierć.“—Wtym zbieleł jak chusta
I razem zawarł i oczy i usta.

Ty jednak, panno, coś mię oń spytała,
Czemuś tak smutna proszę, czyś go znała?“

Zamikła na to i tylko westchnęła
Nędzna Renata nim mówić poczęła,
Jednak westchnienia i co w oczach tkwiały
Perły wilgotne, które wypaść chciały
I które sama miłość wyciskała,
Przez gwałt w powiekach mokrych utajała.

Ale choć chciała taić ślad miłości
Lub płacz, wzdychania trzymała w żalności,
Przecie niekiedy choć krople z źrenice
Niechcąc puściła w miętką bawełnicę

I niezupełne przedziękki wydała
Westchnienie, bo ją miłość przemagała. ¹⁾

V, 39—43.

I tak nieraz płyną naszemu poecie z pod pióra słowa niewyszukane a wymowne, obrazy proste a piękne, wyrażenia pełne życia i krwi, pełne serdecznego, szczerego przejęcia się opisywaną chwilą, nastrojem, obrazem.

Czasem lekkimi pociągnięciami pióra zarysowuje się pejzaż przed oczyma czytelnika, nowymi rysami uzupełnia się obraz jeszcze gdzieś z „Iliady“ pośrednio zapamiętany, gdzie Pryam na grecki obóz zadumany patrzy. (Podobnież Kochowskiemu przypomniał się obraz od Homera pośrednio oczywiście przejęty, gdy w „Dziele Boskiem“ kreślił wspaniałą postać Sobieskiego, wpatrzonego w zasiany gwiazdami firmament i w obozowe tureckie ogniska).

Noc zatym rąbek swój rozpościerała
I w złote gwiazdy niebo ubierała,
Przy których piękna Cyntya pochodnie
W twarzy paliła rozwijając ognie,
A z gór wysokich przechodziły cienie
Po głuchych polach kochając milczenie.

Z nieba pogodny księżyc bił promieniem
W okna i sięgał Lioby dotknięciem,
Która acz się już była położyła,
Jednak usnąwszy z tęgiego ożyła
Snu i gdzie świecił miesiąc szczerozłoty
Poszła do okna patrzeć na namioty.

Ożywia się w wyobraźni poety pozornie zakrzepły w bezruchu widok pełnej zadumy nocy księżycowej. Cienie wysokich gór snują się po rozległych polach w ciszy głuchej tonących, księżyc srebrnym blaskiem bije w okna nieszczęsnej kochanki, na krótką chwilę snem ukołysanej i budzi ją przedziwnem dotknięciem promienia-pocałunku. — —

W oczach jej staje zbroczone krwią ciało kochanka, co gdzieś na pobojowisku leży zapomniane i o pomstę prosi

„ i tak niezemszczony
Ma leżeć Ludgierd niewinnie zgładzony?
Hej! płci panienska i ty, cna miłości,
Dźwigaj tarcz ze mną, twej to rzecz dzielności,

¹⁾ „Gofred,* III, 18.

Ja oto zaraz z tych murów wypadnę
I nikt nie uźrzy, jak się z nich wykradnę.

Rąbki i miękkie rzucę to odzienie
I odmienię się w twardsze przyrodzenie,
Wezmę pieszczonęj miasto jedwabnice
Pancerz i głowę ubiorę w przyłbicę
I tak, w żelazie, do boju krwawego
Pójdę, na pomstę mego zabitego.

Ale cóż czynię? czemu się tak bawię
Darmo nieszczęśna? czy mową co sprawię?
Szykuję wojska, wojuję słowami
I miasto miecza szermuję ustami,
Biję się z kimsiś, sięgam kogoś z dala,
A mój zabity gdzieś się w śniegu wala.* ¹⁾

V, 166—167, 172.

Od wykonania śmiałego zamiaru odwodzi Liobę-Erminię poczucie własnej słabości i strach przed niebezpieczeństwem.

Toczy się czasem opowiadanie tak wartko, „jakoby wianki wił,” jakby same od siebie podsuwają się pod pióro szczegółły, które obraz ożywiają, pełniejszym go czynią i bardziej urozmaiconym. Ot naprz. opis spotkania Lidory z Medardem, dowódcą szwedzkiej rajtaryi, eskortującej olbrzymie kolubryny. Medard

Tak jadąc jakoś między dwie równinie
Spuszczał się z góry rowem ku dolinie,
Wtym czleka w polskim obaczył ubierze,
W kwitjącym wieku, w nieuznanej cerze,
W czapce soboli krymskim tokiem szytej,
W długiej deliej słamami podszytej.

Koń pod nim płynął gładko równy łodzi,
Gdy spieszna płynie na bystrej powodzi,
A za nim skarbnik szedł w poczwórne konie,
Czeladź u boku mając dobre konie
I strzelbę pewną przy wozie jechali
Manowcem, bo się drogi warowali.

VI, 41—42.

Rajtarzy otoczyli czeladź, a sam pan, przez Medarda tylko ścigany, rzucił się do ucieczki. Następuje epizod, który żywo podobneż w „Gofredzie“ lub „Orlandzie szalonym“ przypomina.

¹⁾ „Gofred,” VI, 81 — 87.

Czytelnik współczesny musiał się zapewne zachwycać takimi ustępami, nas zaciekawiają choćby dlatego, że są tak typowe, a nie-raz nawet prawdziwie piękne. Bajkowym jakimś tchną nastromem, romantycznym kolorytem, gra w nich przytłumione echo średniowiecznych, rycerskich czasów. Jak blizkim „Gofreda“ jest tu nasz poeta, jak umiejętnie odtwarza jego koloryt i wzorem swym wcale się skrępowany nie czuje — dowodem ten epizod, który, jako typowy, warto w całości przytoczyć. Ucieka nieznajomy przed Medardem

. pomijając głogi i sadowe
 Drzewa dorodne co stały gruszkowe —
 Trafunkiem jakoś gałąź mu zwała
 Czapkę i z męskiej płci — białą zjawiała.
 Ukazała twarz gładka białogłowa
 Jak na świtanu zorza tytanowa.

I zagnała złotym czepcem zabłysnęła
 A w gęstwinę się nieboga cisnęła,
 Gdzie ani ścieżki ani drogi było,
 W czym Medardowi szczęście posłużyło,
 Bo już w gęstwinie koń jej biec ochoczy
 Nie mógł, — pojmał ją i zajrzał jej w oczy.

W oczy pogodne, które wzrokiem chmury
 Niebieskie na śmiech (nie tylko natury
 Jakie stworzone) w ten czas pobudzały —
 Tak się wesołe lubo w strachu zdały,
 A cóż — gdyby je w śmiechu ukazała?
 — Za samo słońce niebieskieby stała. ¹⁾

Obaczywszy ją Medard ledwie czuje
 Serce w swym ciele, gdy się w nią wpatruje,
 Pała jak ogień a co raz obroku
 Więcej przydając łakomemu oku
 Stoi na miejscu podobien do skały,
 Aż się na koniec stawa skamieniały.

Nie masz nad gładkość; ani złoto, ani
 Najdroższy klejnot serca tak nie rani
 Jako uroda; ona jak przez staję
 Tak przez tysiąc mil swoich serc dostaje,
 I dyamentu jeśli młot nie ruszy
 Twardego ona spojrzaniem go kruszy.

VI, 45—49.

¹⁾ „Gofred“, XVII, 36.

„Nieostrożnie wspanął“ tu poeta, zachwycony potęgą miłości, wyrwały mu się z pod pióra słowa, którychby się kiedyindziej z oburzeniem zaparł. Czytając więc powtórnie te zwrotki, „rączkę“ tu dodał i pobożną uwagę na „marynesie“: „jeśli ta marna piękność świecka tak jest potężna, cóż daleko ona wieczna, która nas aż do nieba ciągnie?“

Ośłupiały z podziwu Medard zdobywa się w końcu na słowa:

„ O ty utajona
I z darów pięknych niebieskich złożona
Cudowna twarzy, która liliowe
Jagody nosisz i usta różowe,
Powiedz mi, ktoś jest? niechaj poznam zgoła
Kogo mam w rękę — człeka, czy anioła?“

Nie zaraz na te słowa się ozwała,
Ale wprzód białą twarz zafarbowwała
Wstydem i oczy ku ziemi spuściła; —
Dopiero taki głos z ust wypuściła,
Jaki jej śmiałość dała przyrodzona:
„Lidora jestem, Amirowa żona.

Więcyć nie powiem, tylko to przydaje,
Że wierną w czystym małżeństwie zostaje,
Chceszli co myśleć okrom pocziwości,
Mamli z tobą żyć w jakiej zelżywości —
Tą ręką, którą trzymasz ramię moje
Utop w mych piersiach śmiertelną broń swoją.

A niechcesz-li ty, ja sama dostanę
Śmierci i sama zadą ¹⁾ sobie ranę,
Śmierć mi pocziwość małżeńską założy.“
— Wtym nóż wyrwawszy do piersi przyłoży.

Krzyknie tu Medard i już przyłożoną
Rękę oderwie. — „Nie bądź tak szaloną,
Mnie, mnie w te piersi uderz z tej srogości,
Kiedy nad sobą nie chcesz mieć litości.
I w to me serce, jeżelić co krzywo —
Wraż piękną rękę, niech nie będzie żywo. ²⁾

.

¹⁾ Zadą = zadam. Sposób oznaczania zaniku nosowej spółgłoski, częsty w „Obleżeniu.“ To samo spotykamy często i gdzieindziej, np. już w „Żywocie Amandusa.“

²⁾ „Gofred,“ III, 27.

Smiała się miłość na te słowa jego
 A coraz większe kładła ogień w niego.
 On ledwie żywy, jak gdy się kto złąknie
 Swego zwycięzce, zsiadszy z konia klęknie
 I takimi się zaprzysięga słowa
 Trzymając cugle pięknej białejgłowy:

„Bogiem, co moje liczy dni i lata
 I jasnym niebem świadczę w oczach świata,
 Jako na moją tę duszę ślubuję,
 Że cię zachować czystą obiecuję,
 A gdzie nie strzymam — niech zaraz nie żyję,
 Niech mie Bóg z nieba piorunem zabije.“

Tak rzekł. A ona jakoby z niewoli
 Wzrok wypuściła ku niemu powoli
 Nie bez łez, które jak perły wylała
 I niechcący się w niewolę podała.
 „Niechaj Bóg — prawi — mym stróżem zostaje,
 A to twej cnotcie — mą cnotę oddaję.“

VI, 51—59.

Pod rycerską opieką Medarda udaje się Lidora do obozu szwedzkiego, by tu podobną rolę odegrać, jak Armida w obozie Krzyżowców. Jak Tassowa bohaterka, przykuwa do siebie pięknnością wszystkie oczy; sam Miler

Patrza co za twarz, sam nie czuje duszy,
 Z drugimi stoi, ani okiem ruszy.

I tak trzymając zmysły zachwyczone
 Od jej gładkości i w niej utopione
 Nie mógł już milczeć, lecz oczy z ustami
 Na pół z widokiem podzielił słowami,
 Oczy w niej trzymał, a z ust zasię żartem
 Te słowa mówił do niej takim kształtem:

„Kto mi nie przyzna, że w zmyślonym ciele
 Na cię patrzymy, prawdziwy aniele;
 Tak mi się widzi, żeś jest duch bez ciała,
 Że ziemia niebem, że te wszystkie działa
 Piorunami sam ¹⁾, a ty, gdzie potrzeba
 Będzie, wyrzucisz te pioruny z nieba.

¹⁾ Sam = są.

Bo jeśli nieba strzelają wzruszone —
 Słuszna że i ty z tobą przywiezione
 Gromy wystrzelisz; nie dziw, że wymierzysz
 Sama w te mury, że na nie uderzysz.
 Ale co mówię? jużś wymierzyła
 W serce me, jużś ogniem zapaliła.“

VI, 101—104.

Z uśmiechem czytamy wymyślne komplementy starego Millera, — wytoczył cały ich arsenał i kulami strzelistych afektów chciał daremnie zburzyć fortecę małżeńskieji poczciwości. Lidorę oburza propozycya ostrzeliwania jasnogórskich „murów świętych,“ jedynem jej pragnieniem obaczyć męża Amira, który się wśród obrońców klasztoru znajduje.

Tymczasem opór oblężonych wciąż nieprzełamany. Parlamentarze bezskutecznie wracają do Millera, a jego gniew ponosi:

Jędze go prawie piekielne paliły
 Kiedy to sływał i gniew w nim wzruszyły,
 Oczy mu w głowie jak sfery latały,
 Wszystkie w nim żyły, wszystkie członki drżały,

Baczenie zgubił i ledwie żyw, aże
 Wszystkie burzące działa ruszyć każe.

VII, 22.

Najsroźsze szturmy odparte; Kordecki—księdza Marka przypomina, gdy swój zastęp Boży na duchu umacnia i do zwycięstw wiedzie z krzyżem w ręku. Odczuwa w nim poeta moc jakąś wyższą, nadludzką, której ulegle słuchają martwe siły,—Kordecki „wewnątrz podnieciony, jak ów, co bywa w duchu zachwycony,“ egzorcyzmami mgły rozpedza i blizkie zwycięstwo głosi:

Zaprawdę ziścił Pan Bóg, jako tuszył
 Kordecki przeor; znać, że w nim poruszył
 Ducha wieszczego—bo zaraz powstali
 Z bojaźni wszyscy.

Rośnie ufność obrońców, utwierdzana licznymi dowodami opieki cudownej Patronki. Oto jednego żołnierza szwedzkiego zabija kula w chwili największych bluźnierstw. Zwraca w tem miejscu uwagę realizm obserwacyi i dobór jaskrawych wyrażen:

Nie tak Mougibel, smrodliwe na wietrze
 Dymy puszczając, zaraża powietrze,

Jako on z Rędzin jadąc Przerębskiego,
 Śmierdzące pary jadu kalwińskiego
 Puszczal — bluźnierstwa przetrębując w rękę,
 Przy której trzymał wydetą paszczkę.

VI, 88.

Przebrana za chłopca, zbliża się Lidora w czasie szturm
 pod mury klasztorne, by z mężem choć zdaleka się zobaczyć
 i przez to od niepokoju go uwolnić —

A w tym ją jeden wciągnie i zawróci,
 Drugi jej czapkę z głowy zdjął i onę,
 Którą pięć kryła, z kitajki zasłonę.

Wstyd okrył jej lica, jak winowajca stoi, nie wiedząc, co
 z sobą począć.

Wszyscy w nią patrzą. Ona zatym z oczy
 Perłowe krople po jagodach toczy,
 Które od twarzy na łono spadały,
 I taką wdzięczność z siebie wydawały,
 Jako gdy piękne różne tulipany
 Rosa pokropi, gdy wschodzi świt rany.

Warkocz ją piękny wydał i uploty
 I na wierzchu jej głowy czepiec złoty.

VIII, 17—18.

A gdy ją Szwedzi zapewnili, że krzywdy nie chcą jej wy-
 rządzić — ośmielona i weselsza

Oczy jak słońce jasne rozpuściła,
 Usta do śmiechu wdzięcznego skłoniła,
 Potym śmiech z wstydem tam, kędy mieszkała
 Białe lilie, gdy cichą twarz mają —
 W samych jagodach ślicznych utaiła.

VIII, 20.

Na jej gorące prośby przyrzeka Miller ułatwić jej widzenie
 się z mężem; uspokaja się więc na chwilę Lidora, a gdy nowy,
 straszliwy szturm przypuścili Szwedzi — modli się żarliwie o opie-
 kę Bożą nad klasztorem, o odparcie szturm.

Tak się modliła, ale jako ręce
 Podniosła wzgorę przeciw Pańskiej męce,
 Znowu westchnawszy, rzekła: „Jakże mogę,
 Nic nie cierpiawszy, patrzeć na tę trwożę?”

Cóż jest, o ręce, że się nie ruszycie,
 Że z mego ciała krwi nie utoczycie?

Niewdzięczne ręce, czemu darmo nową
 Tę dyscyplinę trzymacie drótwą?⁴
 To wymówiwszy, swoje białe śniegi
 (Stuliwszy rąbku subtelnego brzegi)
 Siekła i dotąd siec się nie przestała,
 Póki zdrój krwawy nie oblał jej ciała.

A skoro źródła sobie odtworzyły
 Strumienie, które na wierzch wychodziły —
 Wszystką krew swoją i ból oddawała
 Bogu za klasztor i tak rozumiała,
 Że nikt—tylko sam Bóg, rządcą sumienia,
 Tego jej nie miał widzieć umartwienia.

VIII, 63—65.

Razi nas teraz ten obraz, ascetycznym duchem tchnący, ale w XVII-ym wieku nie raził wcale; Kochowski chętnieby go uznał i przyjął do swoich religijno-ascetycznych utworów.

Podpatrzyła jednak dziwne praktyki Lidory Cypryda, również kalwińskim jadem zarażona i po szwedzkim obozie ogłosiła Lidorę czarownicą. Doszło to i do uszu zabobonnego Millera, przed którym daremnie się Lidora szatańskich praktyk i czarów wypiera. Na męki ją rozkazuje Miller prowadzić, by wymusić wyznanie, że jest czarownicą (nie to nadzwyczajnego w Polsce XVII wieku). Z radością przyjmuje Lidora ten wyrok, który niebo jej przybliży, przeraża ją tylko, że Miller postanawia odwlec jeszcze wykonanie wyroku, by schwytać jej męża i razem z nim ją spalić.

Niespodziewany ten pioron srogości
 Bardziej niżli miecz przeszedł jej wnętrzości,
 Owszem na ognie i pod miecz iść chciała —
 A na te słowa cerę pomieszała
 I pobielawszy, barwę odmieniła.

VIII, 113.

Sama pragnie iść na męki

„Ja sama winna, ja niech pokutuję,
 Mnie kat niech ogień i pal nagotuje,
 Na mnie włóż łańcuch, mnie wrzuc do ciemnice,
 Mnie okuj w pęta jako czarownicę,
 Albo mię wprzód zgub, nim mury obalisz,
 Nim mego męża pojmasz, jak się chwalisz.“

VIII, 115.

Rozwścieczony Miller do ciemnicy ją wrzuca, ale wnet uwalnia za wstawiennictwem Sebalda.

Porównań większych stosunkowo niewiele w poemacie—jak na epicką opowieść nawet uderzająco mało — i to nie wszystkie bardzo poetyczne, np.:

Jako po słodkim trunku, gdy się zbierze
Gorzka cholera—nie stoi w swej mierze,
Ale ją z siebie żołądek precz pędzi,
Tak i Ojcowie tych słów, które Szwedzi
W różnym powabie do nich posyłają,
Z uszu i z myśli tym kształtem zbywają.
VIII, 141.

„Poemata“ wypełniają niemal całą dziewiątą pieśń i może też dlatego należy ona do najpiękniejszych w całym utworze. Na wstępie obraz księżycowej nocy:

Już wszyscy ludzie troski, w których byli—
Śpiąc w niepamięci słodkiej utopili,
Ale Lidora sama w onej dobie
Różne przypadki rozbierając sobie,
Miękie poduszki łzami pokrapiała
I snu na oczach bynajmniej nie miała.

Wtym piękny księżyc przez okna ku ścienie
Na jej smutną twarz obrócił promienie —
Ona wnet wstała, a widząc poświatę,
Na świat pogodny poszła przez kownatę.¹⁾
IX, 2—3.

Niebo nad nią cudne, gwiazdziste, dziwny czar nocy ją przenika, patrzy na tarczę księżycy i szlakiem jego srebrnych promieni śle swą serdeczną tęsknotę:

„Sliczny miesiącu, ozdobo pięknego
Nieba i światło świata niewidnego,
Ty z góry patrzasz na ludzkie zabawy,
Ty niezmierzone po wszem świecie sprawy
Widzisz i wszystkim używasz jasności —
Obacz, proszę cię, i moje żałości.
Wierzę i teraz, że tam gdzieś mojego
Amira widzisz straż obchodzącego,

¹⁾ Stale „kownata“.

I on wzajemnie (tuszę) patrzy na cię —
 Gdy się tak toczysz w własnym majestacie.
 Pospołu pewnie na ciebie patrzamy,
 On tam, a ja tu w tobie wzrok trzymamy.

O gdyby to twarz twoja tak pogodna
 I dla piękności wielkiej chwały godna
 Jakie zwierciadło w sobie pokazała,
 Aby nam nasze twarzy widzieć dała
 I zjednoczyła oczy oddalone
 Jednym widzeniem w sobie utopione.

Ujrzałby miły dotąd utęsknioną
 Ciężko dla siebie żonę utrapioną.
 Ponoby zaraz i z muru wyskoczył,
 Gdyby mnie jako w twojej twarzy zoczył.“

IX, 11—15.

Widzi, jak srebrzą się mury klasztorne w księżycowej po-
 świaćcie

„O piękne mury jako się świecicie,
 Gdy miesiąc na was, wy w miesiąc patrzycie.

O miłe wiatry, co stamtąd wiejecie,
 Co mi ochłody jakiś dodajecie,
 Ten wdzięczny zapach znowu nazad weźcie,
 A to mojemu miłemu odnieście,
 Że jutro rano pojedę do niego
 I uweselę smutne serce jego.“

Tak sobie gada, a już też ku dniowi
 Z północks kurzy zaczęli domowi
 Budzić głuchy świat.

IX, 20—24.

Switać zaczyna, a Lidorę dziwny strach ogarnia; powraca
 szybko do swego schronienia, stroi się przed zwierciadłem i kun-
 sztownie włosy upina, — swobodnie pozostawia te niesforne i fi-
 glarne, co nad czołem się wiją:

Krótsze zaś włosy, co były nad czołem,
 W pierzycie czosa i tak pięknym kołem
 Trefiła, że w swej mierze zawsze stały,
 Oczom nie szkodząc, chociaż się błakały.

IX, 34.

Udaje się do szwedzkiego obozu i tu czarem swej piękności
 wiąże wszystkich dokoła, Miller o obowiązkach wodza przy jej

boku zapomina, „winem już dobrze zagrzany, coraz w niej oczy ociążałe topiąc, zbywa mocy i twardo usnie.“ I dobrą wtedy chwilę na wycieczkę wybrali oblężeni: Szwedzi, zaskoczeni niespodzianie, rzucili się do broni, jeden jeno Miller, zmorzony winem, pozostał w namiocie przy boku Lidory. Przypomina się tu z biblij Judyt i Holofernes. Tylko obecność paziów powstrzymała Lidorę, że ukrytego w sukniach sztyletu w sercu mu nie utopiła — wypada z namiotu i tuż przed sobą swego Amira dostrzeżga, jak w pojedynku z Wejmerem słańać się już zaczyna. Rozpaczliwie rzuca się przed męża, osłania go przed ciosami wroga

Tarcz mu z swych piersi i z rękę obrony
Czyniła, bo gdy chciał go z której strony
Ciąć, ona ręce jego zawściągala
I przez moc srogie cięcie hamowała.

IX, 182.

Cudem jakimś nadbiegli Jasnogórzanie. Lidora celnym strzałem zabija Wejmera i do ciężko rannego Amira powraca.

Z żywym odczuciem gorącej miłości, serdeczną krwią—pisał poeta te strofy proste:

Zsłabiałe zatym co dotąd powieki
Amir opuścił — podnosi przedziękę
I poglądając na swą miłą — znamię
Miłości — kładzie na jej rękę ramię
I napół żywy raz oczy powlecze,
Drugi raz spuści, potym krótko rzecze:

„Jedno najmilsza żono pod łaskawym
Niebem widzę cię przyjacielem prawym.
Na co mi złoto wspominasz? ty moim
Skarbem, ja w sercu zawieram się twoim
I obroną cię i ozdobą zowie,
Ty sława jesteś, me jedyne zdrowie.

O! nadewszystkie najdroższa klejnoty,
Jak cię szacować w nagrodę twej cnoty?
Boże, daj mi wiek jeszcze tak szczęśliwy,
Żebym był dotąd w rękę twoich żywy,
Pókiś nie oddam, ma namilsza, tego
Długu miłości na mnie włożonego.“

To rzekszy, westchnął, a będąc słabością
Ciężką zemglony z bólów i żalnością —

Wzrok utopiwszy w swej kochanej żenie,
Rękę podnosił na jej przytulenie.

IX, 197—200.

Wreszcie dopadają oboje szczęśliwie klasztornych murów.

W obrazach, z fantazyi jeno wysnutych, a nie na historycznej podstawie opartych, łatwo napotykamy przeróżne reminiscencye i analogie; nietrudno też za analogię uznać to, co jest właściwie reminiscencyą, a czasem nawet świadomem naśladownictwem—i naodwrot, za reminiscencyę, co jest najprawdopodobniej tylko analogią. Za analogię też, a nie za reminiscencyę z „Boskiej Komedyi“ Dantego—jak to sądzi Jensen ¹⁾—uznałbym opis nadziemskiej wędrowki Lioby w jedenastej pieśni „Obleżenia“. O Dantem bowiem wciąż jeszcze głucho było w Polsce i choć wielu władało językiem włoskim nie znał go niemal nikt, a do wyjątków pod tym względem nasz autor chyba nie należał. Klasyyczną raczej reminiscencyą z Wergilego lub innego naśladowcy Homera, albo też najprawdopodobniej z jakiegoś religijnego, nieznanego mi utworu, opartego może na „Boskiej Komedyi“, zda mi się ten pomysł wędrowki Lioby po zaświatowych regionach. Nieraz istotnie bardzo żywo przypominają się w tej przedostatniej pieśni obrazy z Dantego, natomiast reminiscencyą lub też wprost naśladownictwem z Tassa są tu opisy wspaniałych niebiańskich ogrodów, tak bardzo podobnych do opisów rajszych ogrodów Armidy lub zaczarowanego lasu w „Gofredzie“.

Gdyby zaś istotnie, w myśl przypuszczeń Jensa, były w „Obleżeniu“ reminiscencye wprost z „Boskiej Komedyi“, to na tem większą uwagę zasługiwałyby nasz poemat jako pierwsze w literaturze polskiej echo Dantego i na tem większy szacunek poeta, co pierwszy poznał bliżej włoskie arcydzieło i na niem się wzorował.

Ale chyba nie z dantejskiego piekła wydarł nasz autor te ponure, a tak wyraziste obrazy polskich sejmików i polskich krzywd społecznych w tej przedostatniej pieśni skreślone. Są one jego wyłączną własnością, obywatelską przedewszystkiem, a potem poetycką zasługą.

To też z wielu względów warto się bliżej zapoznać z pieśnią jedenastą „Obleżenia“.

¹⁾ „Dantes Divina Commedia sparas i Liobas spaningsförd fran ett jordiskt helvete till skärselden och paradiset.“ Op. cit. str. 99.

Boleść nieukojona niczem i tęsknota stały się nieodstępniemi towarzyszkami Lioby, odkąd ją tylko wieść doszła o śmierci Ludgierda. Pociesza ją z nieba zesłany świątobliwy starzec i w niebo jej duszę prowadzi

Tak z panieńskiego serca struchlałego
Nadzieją chwały nieba wesołego
Bole wyjąwszy—potym, acz tam stała
Kupa na ten czas białychgłów niemała,
Wywiódł z niej duszę i poszedł przez ściany
W gmachy niebieskie starzec niewidziany.

XI, 13.

Zachwycona Lioba wspaniałe nieba ogląda, słyszy chóry cudne na cześć Panny czystej naprzemian śpiewające, wchodzi wreszcie za swym przewodnikiem do wspaniałego kościoła, gdzie w cudownem zwierciadle odbijają się wszystkie ludzkie sprawy. Więc ogląda tam Lioba bitwę morską z Turkami i sąd Boży nad bogaczem i Bogarodzicę, co za grzesznikami wstawia się przed sprawiedliwym Sędzią. Nagle znikają obrazy w zwierciadle i kościół zaczyna się zapełniać tak dobrze znanemi postaciami

Aże skoro takie widoki ustały
W zwierciadle, które jawnie dotąd trwały,
I gdy już w onej nic nie było chwili
Widać, oto wnet skądś się zjawili
Ludzie i w niebie (o jak dziwne sprawy!)
Jako na świecie napelnili ławy.

Tu złotogłowy, które więc Persowie
Robią, okryli na miejscach panowie,
Tu młódź i młodsze pacholeta stoją,
Patrzają na pany, fantazyą stroją,
Tu z innych drudzy animusz stopyrcą,
Czupryny głaszczą i piętami wiercą.

Co poważniejsi boki rozpirają
W ławach, a z śmiechem czasem rozmawiają
Znać nie o Bogu, bo sama postawa
Z samej ich cery i z oczu wydawa,
Ale niewiedzieć co tam za praktyki
I jakie w głowie budują fabryki.

Drudzy z humorem wąsy odymają,
A kiedy w ławkach miejsca sobie dają
Wprzód—dogadzając świeckiej polityce—
Tył do ołtarza, a oczy i lice

Do przyjaciela, czcząc się, obracają,
I tak nie Bogu, lecz sobie cześć dają.

Inszy prowadzą damy ustrojone,
Zywe i w chodzie nieuspokojone,
Które jak kursor idą zapędzony,
Trącając chodem sukien swych ogony
I oczy nosą, nie rzekę—wstydlive,
Lecz napół bystre i napół zdradliwe.

Drudzy służyli w frącmer¹⁾ się mieszają.
Tamże dopiero co za żarty mają
I jakie śmiechy, jakie umięzganja
I jakie bystre na się pogładania.
Już dali sam Bóg takiej polityki
I święte w niebie nie mogły znieść szyki,

Ale wyszedzsy bohater skrzydlaty,
Od którego blask bił z świecącej szaty,
Gniewliwym głosem zawołał surowie:
„Dom to tu Boży, nie giełda, łotrowie!
O ciemni, którzy błądzicie w jasności!
O niewdzięcznicy tej ślicznej wieczności!“

To rzekszy, mieczem z góry się zamierzył
I tak potężnie w pawiment uderzył,
Że aż kwadraty z jaspisu gładzone,
W których świeciły złote przyrodzone
Żyły — nie wiedzieć gdzie się roskoczyły
I dno, jak jaką przepaść odtworzyły.

A z ludzi owych trudno dojrzyć było,
Jako ich siła w momencie ubyło;
Tych zaś, co jeszcze w kościele zostali,
Gdy dno zapadło, anieli trzymali
Dotąd, aż znowu pawiment przystąpił
I każdy kwadrat na swe miejsce wstąpił.

XI, 44—56.

Jest w tym obrazie bystrość obserwacji i plastyka wyrażenia i szczerota oburzenia na zniewagę domu Bożego w grzmiących słowach Archanioła. Objaśnia starzec wszystko Liobie i słuszną karę Bożą tłumaczy

„Ach prze Bóg! niżci wesły te przymioty
W ludzie, że raczy idą na zaloty

1) Frącmer = fraucymer.

Nie na modlitwy do domu Bożego,
Już tam strój jeden przejmuję z drugiego,
Już aż do wierzchu od stóp się sięgają,
Już polityki wzorki wybierają.

A co największa — drudzy pijanicy,
Zażywszy pary z śmierzdzącej sklenicy,
O czym więc w karczmie z sobą rozmawiają,
O tym w kościele, zszedłszy się, gadają
I miasto modlitw uszom przeraźliwe
Bez wstydu mówią słowa nieuczciwe.

Jeszcze i nadto insi, gdy nie mogą
Zwyczajną jaką do rozmów przyść drogą,
Na pewne czasy, gdzie się widzieć mają
Skład do kościoła sobie naznaczają
I tam na pewne przychodzą rozmowy
Tak i mężczyzna, jak i białogłowy.

XI, 63—65.

Pisał te słowa ten, co na taką zniewagę kościoła własnymi oczyma patrzył i przez usta starca sam teraz przemawiał jakoby jego wielbiciel i żarliwy wyznawca.

Prowadzi potem starzec Liobę, jak Wergiliusz Danta, po cudnych łąkach kwiecistych, ponad srebrnymi strumieniami; koło jakichś murów olbrzymich odnawiają się dawne walki i rozgrywają przyszłe: tureckie zaborcze wyprawy, walki Polaków z Tatarami, Kozaczą i Moskwą, Podola straszliwe spustoszenie. Patrzy Lioba na harpie ohydne, co Polskę szarpią — prywatę, obłudę, podstęp i zdradę i ubogich ucisk:

Brat brata bije, grzmi ziemia pod niemi—
Kościół nie skryje ludzi, których gonia,
Pocziwe żony z działkami się chronią,
Pan się sam gryzie, Ojczyznę ból męczy,
Żołnierz dowodzi, chłop z ucisku jęczy.

XI, 89.

Nad pięknym gajem „duchy jako gołębie latają“—jęczy gaj cały i skarży się tysiącem głosów, o karę słuszną błaga sprawiedliwego Boga. ¹⁾ Strugami płynie krew, łupieżstwem i uciskiem ubogich jakoby prasami wyciskana, jastrzębie i sępy ją piją (na

¹⁾ „Gofred“ XIII, 40.

boku dopisek: „jastrzębi i sępowie—ci są, co prace z ubogich jako krew wysysają“)

Tu, skąd te krwawe strugi się ściągają
 Głodni jastrzębi nad niemi latają,
 A rozciągając skrzydła na przemiany
 Kręcące z wierzchu rwą i piją piany —
 Tu zaś, gdzie morze—na zsiadłej krwi siedzą
 Sytni sępowie, a przecie krew jedzą.

XI, 72.

Lęk śmiertelny przejmuje Liobę, nie wie sen-li to, czy jawa, rozszerzają się przerażone źrenice, wpatrzone w te straszne obrazy, olbrzymieje postać dziwnego starca, co takie widma wywołuje z jakiejś piekielnej otchłani. O imię zapytany starzec—odpowiada, że jest Pawłem Eremitą, opiekunem zakonu Paulinów:

Jestem ja Paweł, a tytuł u świata
 Mam „Eremita“ na potomne lata.
 Pod mym tytułem w zakonach synowie
 Tacy zostają, jako w Częstochowie.“

XI, 93—94.

I płynie dalej przez usta starca wezbrana gorycz poety:

O, jako straszne wyroki nad temi,
 Którzy niesłusznie wojują na ziemi
 I którzy panów z poddanemi wadzą
 Albo roztyrki dla swych prywat radzą,
 A żold rycerski i ucisk w tej dobie
 Na swe pożytki obracają sobie.

Ale i o wy, co na swojej głowie
 Boską powagę nosicie, królowie —
 Prawie nad wszystko to uważać macie,
 Jakich do rady osób zażywacie,
 Jeżeli dobro Rzeczypospolitej,
 Czy zysk prywaty upatrują skryty.

Wojnę tę tylko, gdzie się bronić trzeba,
 A naprzód za cześć Bożą, chwały nieba,
 Lecz jeżeli złą radą rozrywacie
 Wczesną obronę i chcąc czas włączacie—
 Nie nieprzyjacieli, ale wy niszcycie
 Swych, gdy niesłuszne praktyki czynicie.

Ci to sępowie, ci, Liobe, siedzą
 Na krwawym morzu i zsiadłą krew jedzą,

Którzy w odmęcie niesłusznego boju
 Mniej się kochają w ojczystym pokoju
 Dlatego, aby srogie wyciskali
 Podatki z ludzi, a sobie je brali.

XI, 98—102.

Słysząc tu znów ten ostrzegawczy, złowróźbny, a rzadko w literaturze XVII wieku się odzywający głos, co ukazuje coraz głębszą przepaść między społecznymi stanami; tuczą się jedne kosztem drugich i krwią ich pijane wysysają z nich resztki tej energii, któraby zdołała uratować jeszcze śmiertelnie już chory organizm Rzeczypospolitej.

Niema nic oracz ubogi krom duszy,
 Ciecze pot z niego, nędza go wysuszy,
 Gdy już ubóstwo na składki wygrzebie
 W ostatku fanty wyprzedawa z siebie
 I jako w prasie wycisniony srodze
 Krew własną daje nędznik—nie pieniądze.

A to (ach) jako ci głodni szarpają
 Jastrzębi, którzy podatki zbierają.
 Sama to widzisz—a to nad rzekami
 Uwijają się, pijąc krew nosami
 I nim się ściągną do skarbu pieniądze
 Dobrze ich sobie nadszarpią na drodze.

A coż, gdy wpadną w ocean głęboki
 I owi tłusci—tucząc lepiej boki,
 Co oceana tego klucze mają,
 Łakomych kruszców aż na dnie sięgają,
 Czasem w bankietach na smak—albo w winie
 Tę krew mieszają—a Ojczyzna ginie.

XI, 103—105.

Choć krzywda się dzieje maluczkim, milczeń muszą, dzięki pochlebcom, nie widzą panowie ich ucisku, ani skarg nie słyszą, królowie nawet sami niebacznie spuszczaają się na niecnym urzędników:

A któż bez wstydu i insze wymieni
 Nierzady, jakie człek bezecny czyni.
 Sama, ma dziewko, owe narzekania,
 Zdroje łez gorzkich, z różnych drzew stękania
 Słyszałaś w gaju, w którym te mieszkają
 Dusze, co pomsty za gwałty wołają.

I tak wołają, że aż owi bieli
 W postaci białych gołębiów anieli—
 Na gaj padają z nieba wysokiego,
 Ujmując im mąk ognia czyścowego,
 Drugie do nieba, skoro dokonają
 Pokuty, z czyśca z sobą wprowadzają.

A przecie niechce świat uważać tego,
 Jakie są męki różne na grzesznego,
 Przecie pochlebcy panom zasłaniają
 Oczy i uszy, że choć krzywdy mają
 Ubodzy w chatach, albo gdzie na roli,
 Nie mogą mówić—dla nich, co ich boli.

XI, 108—110.

I płyną z ust poety zdania proste, a jak grom bijące, „Skarżi mową mówi piorunową,“ całego ludu krzywdą przezeń się skarży i pomstą Bożą grozi. Przed narodem całym staje, biorąc na siebie ciężkie brzemień odpowiedzialności za słowa własne i krwawo błyska winnym w oczy gorzką i bolesną prawdą, królowi nawet samemu obowiązki jego przypomina, a między tymi, jako pierwszy i święty: obronę krzywdzonego ludu.

Niechajże tedy ostrożni zostają
 W państwach królowie, niech sami patrzą
 W krzywdy oczyma i w te wszystkie rzeczy,
 Które im każe Bóg mieć na swej pieczy,
 Bo ich dlatego wynosi na tronie,
 Aby pod sobą mieli lud w obronie.

Niech urzędników rządu przeglądają
 Tych, co im sprawy i ludzie w moc dają,
 Żeby dla łupiestw i ciężarów srogich
 Krew wypłynęła z ucisku ubogich,
 Gdyż Jezusowa krew—za krew ich wszędzie
 Nad tyranami pomstę czynić będzie.

XI, 111—112.

Łuną purpurową zainroczył poeta tak jasne dotąd tło swego „Obleżenia“ i jeżeli wyłomem niejako w całości są te ustępy, to jednak nic ona przez to nie traci, owszem, zyskuje w nich poeta sam, co tak silnie targnął tą struną bolesnej goryczy, zyskuje poemat przez rozszerzenie tak zacieśnionych dotąd horyzontów i jego zbyt jednostajne dotychczas tło—przez rzucenie nań nadto może niepokojącej, ale przykuwającej uwagę smugi ciemnej, jako-by jakiejś rany krwawiącej.

Ale z pewnością nie estetyczne względy były pobudką powstania tych ustępów, nie tak, jak „poemata“ dla okraszenia jedynie i urozmaicenia swego utworu pisał je poeta, ale z wewnętrznej konieczności, party natchnienia przemożną siłą, spotęgowaną przez patryotyczny, obywatelski ból, umiłowanie całego narodu bez różnicy stanów, troskę o przyszłość, co jako złowróźbna chmura zawisła nad Rzeczpospolitą. Stąd moc tych słów twardych a stanowczych, bije z nich prawda naga, co zaprzeczeń nie zniesie i tętni w nich jeszcze jedno więcej polskie serce.

*

*

*

Odwraca Lioba oczy od polskiego czyśca tam, gdzie jej starzec olśniewającą jasność nieba ukazuje, gdzie słyhać cudne pieńnia trzech chórów anielskich o rozkoszach niebios i gdzie sam Bóg króluje z Bogarodzicą w majestacie chwały. W świetnym kole papieży i królów, co kiedyś mają panować na ziemi—zwraca uwagę Lioby młodzian urodziwy

„Ale proszę cię, on zaromieniony
Młodzian, co go wstyd zdobi rozkrzewiony—
Powiedz mi, kto jest? coś prawie boskiego
Między inszemi widzę w twarzy jego.
Co to za anioł, co nad nim koronę
Trzyma, co tarczą czyni mu zasłonę?“

XI, 146.

Wylicza więc najpierw starzec długi szereg przodków sławnych młodziana, a między nimi Giedymina, Olgierda i Jagiełłę, jako protoplastów książąt Zbaraskich, Poryckich i Wiśniowieckich. Między ostatnimi Jarema sławą góruje, a młodzian ten, to

Michał jest książę, cny syn Jeremiego,
Z Gryzeldy spłodzon domu Zamoyskiego.
Ten zaś, co nad nim trzyma klejnot jasny,
Michał Archanioł, patron jego własny
Na opiekę mu od Boga przydany,
Z którego będzie rąk koronowany.

XI, 156—157.

Patrzy potem Lioba na szereg poprzedników Korybuta na polskim tronie, z tych ostatni Kazimierz, a po nim królem będzie Michał

Ty królem polskim najpierwszy zostaniesz
I wśród Senatu jako słońce staniesz,
Jasna ozdobo Korybuta cnego,
Zacny Michale, synie Jeremiego.
Za czternaście lat, gdy Kazimierz złoży
Koronę, Bóg ją na twą głowę włoży.

Ujrzą na ten czas, ani to zagłuchnie,
Jak trzykroć biała gołębica gruchnie
Na trzeci krokwi, nim w sopie zasięda
Senatorowie, co w niej siedzieć będą—
Znak to już przyjdzie, poznasz to sam szczerze,
Że cię rycerstwo za pana obierze.

XI, 166—167.

A potem Eleonorę rakuską pojmie za żonę i weźmie z nią ślub na Jasnej Górze.

Odpowiadało upodobaniom współczesnym takie niby-prorocstwo (analogiczne np. w „Gofredzie“ XVII). Zachwyciłby się też czytelnik XVIII w. przepychem niebieskiego „dziardynu,” przez który szła za starcem Lioba:

Między ścieżkami (na dziw przyrodzeniu)
Pysznią się ziola w barwistem odzieniu:
Stoją lilie, jakby srebrem szyte,
Po nich przechodzą pręgi złotolite,
A wewnątrz końce na źdźbłach im pałają,
Gdzie z świetnych serca dyamentów mają.

Róże szkarłatnym i karmazynowym
Jedwabiem tkane na kwieciu gotowym
(W którym się wonne listki rozwijają),
Jasno-rumiane rubiny wydają,
A tulipany w złotogłowach całe
Upstrzone stoją w złoto i korale.

XI, 182—183.

Nagle zniknął przewodnik Lioby, przerażona błądzi i woła go daremnie głosem przedziwnym, co brzmi, jak śpiew łabędzi:

I potym słucha, jeśli kto życzliwy
Nie odzywa się na jej głos troskliwy,

Który z panieńskich ust tak puszcza głośny,
Jako więc łabędź, gdy kona żałośny.

XI, 188.

Wreszcie wchodzi w pałac wspaniały, gdzie za kryształową
ścianą dostrzega swego Ludgierda, zatopionego w dziwnej eks-
tazie:

A on nie jedną krwawą pluszcząc raną,
Za kryształową odpoczywa ścianą
Na złotem krześle i w złotej koronie,
Trzymając w niebo podniesione skronie,
Wspiera rękami twarz z obojej strony,
Wszystek w niebieskiej chwale utopiony.

XI, 192.

Na serdeczne prośby Lioby rozstępuje się ściana z kryształu,
przybiega kochanka, przemawia czule, o przywitanie pokornie
prosi, o słodki pocałunek—Ludgierd jakoby jej nie widział wcale.
A gdy go objąć pragnie Lioba trzykrotnie—po trzykroć ginie jej
z oczu, jak cienie umarłych u Homera lub Dantego. Wreszcie
karci ją kochanek łagodnie, „nie dworstwa jakie, nie żadne piesz-
czoty“ są szczęściem najwyższym, ale oglądanie Boga. Ciała na
ziemi zostać muszą i dopiero po znartwychwstaniu uwielbione
z duszami się złączą; niech więc odejdzie od niego, niech wpierv
ziemskich się pozbędzie marności, a niebieskich rozkosny tęsknotę
w sobie obudzi. Zgodzić się musi Lioba poniewoli

„Niechże tam ciało już jako chce sobie
Przez mojej dusze odpoczywa w grobie,
Już o nie niedbam, niech w ziemi zostaje,
Żegnam urodę, Bogu ją oddaję.
Dość mam, gdy z tobą przy twojej piękności
W równej pospołu będę żyć miłości.

XI, 221.

Zjawia się jednak Paweł przewodnik, rozkazuje Liobie po-
wrócić na ziemię i obiecuje jej powrót do nieba za siedem dni.
Obrońcom klasztoru niech powie, że jeszcze jeden tylko szturm
wytrzymać mają, po którym Szwedzi ustąpią ostatecznie.

Skoro to wyrzekł, ona w mgnieniu oka
Cudownie ukos zniesiona z wysoka
W ciele się ujrzy, a jako nikt cale
Lotu nie może dojrzeć w prędkiej strzale,

Tak przyścia na świat swego nie pojmuje,
Tylko jak ze snu ludziom się dziwuje.

XI, 227.

Opowiada teraz Lioba wszystkim o swej niebieskiej wędrówce.

Tak apoteozą niejako czystej miłości kończy się pieśń jedynasta. Zwracają w niektórych jej ustępach uwagę motywy zupełnie bajkowe, cudowne — tak współcześnie ulubione, w romantycznych opowieściach tak częste.

Kończowa pieśń zawiera opis ostatniego szturm, w czasie którego Kordecki widzi skrzydlate zastępy aniołów, klasztor osłaniające. Od strony, gdzie sam Miller następuje, Archanioł Michał murów broni, a przeciw Heskemu księciu staje Ludgierd w kirys zbrojny. Szturm szczęśliwie odparty, Szwedzi odступują od Jasnej Góry, w klasztorze tryumfalne hymny, zewsząd nadpływają dary (autor skrupulatnie wylicza ofiarodawców). Wyprawia się jeszcze pod klasztor niespodzianie Wrzeszczewic, ale opis tej ostatniej walki—z powodu wydarcia dwu kart rękopisu—zaginał. Wtedy to pewnie zginęła Lioba, a niedługo potem i Wrzeszczewic, zatopiony przez chłopów.

Ten potkał koniec Wrzeszczewca nędznego
Za niecne zdrady i rabunki jego,
Czym drugich uczy, jako święte nieba
I Świętych Pańskich szanować potrzeba.
Wykniejcież ¹⁾ tedy dróg sprawiedliwości,
A miejcie wszyscy Boga w uczciwości!

XII, 239.

I tak się kończy „Obleżenie Jasnej Góry Częstochowskiej.“

*

*

*

Z jakich czasów pochodzi nasz poemat?

Baliński uznaje go za utwór z końca XVII w. Jensen zaś sądzi, ²⁾ że „można niemal z pewnością podać rok powstania utwo-

¹⁾ Wykniejcież dróg = przywykajcie do dróg.

²⁾ Op. cit. str. 99.

ru: 1669, bo w tym roku obrano Wiśniowieckiego królem polskim, a Lioba właśnie widziała w niebie jego wkrótce mającą nastąpić koronację.“

Sądziłbym, że jest to zbyt daleko idące zacieśnienie granic w czasie, jakiby dla naszego utworu można zakreślić. Nie zdaje mi się prawdopodobnem, by utwór tak wielki mógł powstać w jednym roku; praca nad nim zajęła autorowi zapewne lat kilka. W każdym jednak razie można czas napisania utworu oznaczyć dokładniej, aniżeli to uczynił Baliński.

Autor „Obleżenia“ powołuje się często na „Gigantomachię“ Kordeckiego i oznacza nawet odpowiednie strony edycji tego utworu, który ukazał się najwcześniej z końcem r. 1657 (jak to wynika z daty aprobowania dziełka przez władzę kościelną); drugie źródło, do którego się w tenże sposób odwołuje nasz poeta— „Obsidio Clari Montis“ Kobierzyckiego — ukazało się w r. 1659. Najwcześniej więc w r. 1659 mógł się autor zabrać do pisania „Obleżenia.“ Będzie to więc dla nas możliwie najwcześniejszy termin „ab quo.“ A termin „ad quem“? Ostatnim wypadkiem historycznym, o jakim poeta wspomina, jest ślub Michała Korybuta z Eleonorą, który się odbył na Jasnej Górze dnia 27 lutego 1670 r. A więc nie skończył jeszcze swego poematu w r. 1669, jak to przypuszcza Jensen, pisał go jeszcze z pewnością w r. 1670. Michałowi Korybutowi oddaje wielkie pochwały, jako panującemu; gdyby swój utwór pisał już za Sobieskiego, z pewnościąby o nim wspomniał. Z tego też powodu najdalej rok 1673 (rok śmierci Wiśniowieckiego) może być terminem „ad quem.“

Najprawdopodobniej więc „Obleżenie“ powstało w czasach panowania Michała Korybuta.

*

*

*

Kto jest autorem poematu?

Baliński odpowiada na to: „Przypisują go napróżno Puławskiemu, wszakże z pewnością nie możemy wiedzieć, kto był jego autorem.“

Kto „Obleżenie“ przypisywał Puławskiemu, kiedy i gdzie takie przypuszczenie wyrażono — nie umiem powiedzieć. Jensen tak się wprost wyraża o słowach Balińskiego w jednym z przy-

pisów: „Kto był ten Puławski—nie wiem; nie mógł to być znany polski historyk Fr. Puławski, bo ten zmarł w r. 1738.“) Brückner uważa poetę za nieznanego. Niełatwo też mieć tu jakieś prawdopodobne przypuszczenia; ogólnikowo stara się oznaczyć poetę Jensen i popiera swą hipotezę kilku przekonywującymi argumentami. Przytaczam znów jego słowa: „Nie uważam za nieprawdopodobne, że autor był mnichem; na to wskazuje zarówno pobożna przedmowa, jak i dogmatyczne wywody o nauce trójjedyności, stosunku duszy do ciała, o rzeczach ostatecznych i t. d. Może też znał on osobiście Kordeckiego i może słyszał w Częstochowie opowiadania, które go natchnęły.“²⁾

Uznając w zupełności hipotezę Jensena — pójdę trochę jeno dalej, gdy przypuszczę, że poeta nasz był pro prostu Paulinem z Częstochowy lub Krakowa. Powyżej w kilku miejscach zlekka starałem się to zaznaczyć. Przemawia za tem przypuszczeniem pochodzenie rękopisu (pierwotna własność klasztoru Paulinów na Skałce), znajomość bliższa ksiąg i kronik konwentu w Częstochowie (dowodem—to szczegółowe wyliczanie ofiarodawców w pieśni dwunastej), czasem jaskrawo ascetyczne tendencje (tu do argumentów Jensena dodałbym jeszcze owe, niestety, zaginione „rekollekcje“, o których autor w przedmowie wspomina, a których istnienie jest chyba tych ascetycznych dążeń najlepszym wskaźnikiem). Mocno też to twierdzenie popiera ów cudowny starzec, przewodnik Lioby, a zapewne i autora wzór zakonny — „Paweł Eremita“, opiekun zakonu Paulinów, umyślnie chyba tak wybrany. Kordeckiego mógł też znać nasz Paulin osobiście (jak to przypuszcza Jensen), bo przeor-bohater umarł dopiero w r. 1673.

Możnaby wprowadzić przytoczyć parę przeciwnych argumentów, ale zbyt może słabych. Np. wskazałby ktoś na te ustępy w poemacie, przy których pisaniu mocnoby się musiał rumienić poeta duchownego stanu, sądzą jednak, że nie pisał on ich z wyrafinowania jakiegoś, ale dlatego jeno, że zupełnie podobnie inni współcześni poeci pisali, że szedł nieraz ślepo zupełnie za swym wielkim wzorem — „Gofredem“ i często nieopatrznie go naśladował. Jeżeli zaś czasem zbyt może natarczywym był Amor-niecnota, ukryty pod mniszym kapturem, to wina w tem Amora, nie mnicha. Zresztą—sprzeciwiało się to może regule zakonu, ale nie sprzeciwiało się poezji, a z tego nam tylko stanowiska osądzać poetę i poemat.

¹⁾ Op. cit. str. 99.

²⁾ Op. cit. str. 99—100.

Przypuszczać należy, że „Oblężenie“ nie jest jedynym naszym Paulina utworem, że wprawdzie już musiał rymami się parać, bo wyrobioną już jest jego technika poetycka. Zresztą, nie porównałby się chyba od pierwszego zamachu na taką pracę. Czy istniały jeszcze jakie inne utwory jego i czy istnieją jeszcze dotąd—pytanie godne odpowiedzi.

Co do formy w poemacie, to ta jest wcale poprawna, rymy szwankują rzadko i mimo tematu o Częstochowie nie tak bardzo są częstochowskie. Częsty jest niezwykły szyk wyrazów, jak to wogóle nieraz w naszej poezji XVII w. się zdarza np.: „Z słońca w utkanej promieniami szacie“—przypomina podobne wyrażenie u Tassa-Kochanowskiego: „z gwiazd nieśmiertelnych w uwitej koronie,“ albo „jakby na wozie złotookowanym, samej Fortunie usiadł zbudowanym“ i t. p. Porównań obszerniejszych ogółem niewiele. Często dla prawidłowej ilości zgłosek w wierszu—niezwykle skróty np.: Stansława, Wrzeszczewca, frącmer. Język czysty, nie tak „skancerowany,“ jak w ascetykach Kochowskiego, tok jasny, nieupstrzony wymyślnymi stylistycznymi wykrętami, słownik niezbyt bogaty.

Pyszne są uwagi „z rączkami na marynesie,“ często w formie sentencji np.: „nie mają w niebie miejsca świeckie pieszczoty,“ „dobra otucha strach odejmuje,“ albo: „pobożnych ludzi krzywda Boska boli,“ „mało tam wstydu, gdzie oczy strzelają“; zbawienna i zachęcająca jest rada dla pobożnych niewiast „rączką“ ukazana: „Pocziwe matrony, wspomnijcie sobie, jakoście wiele dla niebieskiego Oblubieńca więcej umartwienia znosić powinny, przynamniej choć raz w Wielki Piątek podźcie boso do kościoła.“

Gdyby Chlebowski znał „Oblężenie Jasnej Góry,“ pisząc swą świetną rozprawę o wpływie przekładu „Gofreda“ na polską poezję,¹⁾ znalazłby tu najsilniejsze chyba oparcie dla udowodnienia wielkiego wpływu arcydzieła Tassa w przekładzie Kochanowskiego na gruncie polskim. Żaden zapewne z poetów XVII w. tak się „Gofredem“ nie przejął, żaden nie skorzystał zeń tyle. Skrzepił „Gofred“ mocno Muzę, opartą jedynie na „Gigantomachii“ i Kobierzyckim, dał poecie naszemu wzór świetny jak epizodami treść istotną ożywiać i urozmaicać, wskazał jak tysięczne

¹⁾ Br. Chlebowski, „Przekład „Jerozolimy“ Tassa przez Piotra Kochanowskiego w stosunku do współczesnego stanu polskiej poezji i jej dalszego rozwoju.“ Ateneum, 1890, II.

są tony, którymi drga miłość, uczył subtelnego odczuwania różnych jej odcieni. To też „poemata“ na wzór „Gofreda“ pisane stanowią niemal całą piękność „Obleżenia“ i one przedewszystkiem skupiają uwagę czytelnika. Nie naśladował tu autor ślepo „Gofreda,“ korzystał zeń dyskretnie.¹⁾ Dlatego też w „poematach“ nie trzymał się niewolniczo epizodów Tassa, ale swobodnie tworzył w jego stylu, ozdabiał całość utworu akordami własnej inwencji, ale w Tassowej, jeśli tak można powiedzieć, tonacji. W ten sposób przebiegł całą skalę miłosnych wzruszeń coraz czystszych, szlachetniejszych, opiewając grubą, zmysłową miłość Millera, rycerską Medarda ku Lidorze, serdeczną miłość małżeńską Amira i Lidory, oraz obojga Czarnieckich, uduchowioną już, zaziemską Horna i Krystyny, a wreszcie oczyszczoną z ziemskiego pyłu, uświęconą przez krew i jak lilie czystą miłość Lioby i Ludgierda.

Ze wszystkich też naśladowców „Gofreda“ w literaturze polskiej XVII w. był autor „Obleżenia“ chyba najszcześniejszy. Nie poznał Potocki Wacław, że piękność włoskiego arcydzieła na epizodach przedewszystkiem polega, to też ubocznie jeno, dorywczo w swej „Wojnie“ z piękności jego korzystał,²⁾ przeciwnie, autor „Obleżenia“ w ogólnej już konstrukcyi utworu na Tassie się wzorował, wcielając miękkie, delikatne tony miłosnych epizodów w ponurą, choć podniosłą opowieść o zaciętych walkach pod murami Częstochowy — i podniósł przez to swój poemat ponad przeciętny poziom rymowanych kronik. Tem samem dał sobie świadectwo wrodzonego zmysłu artystycznego i dobrego smaku w wyborze wzoru.

Dlatego też uważam „Obleżenie“ za najbardziej dotąd wyrazisty objaw zaprzeczanego przez niektórych wpływu poematu Tassa na literaturę XVII w., a autora za najwybitniejszego ze znanych dotąd z tego stulecia epigonów Tassa-Kochanowskiego.

*

*

*

¹⁾ Wpływ Tassa musiał się oczywiście zaznaczyć w licznych reminiscencyach, które po części w przypisach zaznaczałem.

²⁾ R. Pollak, „Wojna Chocimska“ Potockiego a „Gofred“ Tassa w przekładzie Kochanowskiego.“ Bibl. Warsz., 1910, t. III.

Gdy „a posteriori“ rzucimy okiem na całość poematu—przedstawi się on nam jako pełen ruchu i różnaitości obraz, gdzie różnolite pierwiastki łączą się zgodnie; niema tu nużącej jednostajności barw i szczegółów, nie kronika to rymowana, ale utwór pisany przez autora, świadomego arkanów sztuki poetyckiej. W porównaniu z takim „Władysławem IV,“ „Wojną domową“ Twardowskiego lub nawet „Wojną Chocimską“ Potockiego—czyta się nasz poemat z większem zajęciem, jest od tych utworów w budowie bardziej przejrzysty; „poemata“ zręcznie wplecione urozmaicają całość bezwarunkowo żywiej i nastęrczają autorowi więcej sposobności do zainteresowania czytelnika, aniżeli np. satyryczne dygresye w „Wojnie Chocimskiej.“ Wydane drukiem „Oblężenie“ cieszyłoby się zapewne wielką poczytnością, bo też umiał poeta dobrać motywy interesujące współczesnego czytelnika, powiązać je w całość, przykuwającą jego uwagę aż do samego końca, pobudzić wyobraźnię, rozniecić zapał patryotyczny i narodową dumę, ale też w potrzebie i prawdą gorzką w oczy zaświecić. Władał piórem jak „rymarz“ zawołany, na rymy silić się nie potrzebował, słów mu nigdy nie brakło. Zbywa mu na dosadności i obrazowości wyrażeń Potockiego, na nieprzebranem bogactwie obserwacyi autora „Ogrodu fraszek,“ ale chyba góruje nad nim poczuciem artystycznego smaku, zdolnością architektonicznego opracowania szczegółów i ruchliwością wyobraźni. Tamten talent wielki, ale surowy, jak nieobrobiona bryła drogocennego kruszcu, ten bezsprzecznie mniejszy, ale swoich zdolności bardziej świadomy, zdolny je umiejętnie wyzyskać. Jako talent epicki zapewne od Kochowskiego wybitniejszy, w lirycznych ustępach chyba śmiało może z nim iść w zawody, nie tak jak u Andrzeja Morsztyna wymuskaną i wyrafinowaną, ale bogatszą w tony, wszechstronniejszą jest jego poezya.

A gdy mu ból całego narodu stanie przed oczyma, gdy gorycz wzbierze w mocno kochającej Polskę piersi, to krwią serdeczną pulsują zwrotki poematu, drgają bólem wielkim i szlachetnym i staje przed nami już nie szlachcic-patryota, ale wolny od stanowych uprzedzeń Polak-obywatel, co zdaje sobie dobrze sprawę ze społecznych krzywd, co nie ze stanowiska szlacheckiej wyłączości o sprawach dobra pospolitego wyrokuje, ale nad szczęściem całego narodu przemyśliwa, co nie apoteozuje złotej wolności ani jej źrenicy, ale widzi jasno, że nierządem ginie Polska i krzywdą społeczną.

Wśród nielicznej garstki prawdziwych poetów-obywateli w tym wieku — nie jest nasz autor zapewne ostatnim. Strofy,

w których dobył z siebie wewnętrzny swój ból nad krzywdą narodu, są prawdziwie natchnione, należą do najsilniejszych w całym utworze.

Nie wahałbym się też z wielu względów zaliczyć autora „Obleżenia“ do naczelných poetów XVII w.

Jensen tak się o poecie i jego utworze wyraża: „Baliński odmawia anonimowemu poecie oryginalnego talentu, przyznaje mu jednak fantazyę, a nawet niekiedy natchnienie. Sąd taki wydaje mi się nieco za surowy. Pomiędzy humanizmem XVI w. a romantyzmem XIX zajmuje ten epos odrębne miejsce w polskiej literaturze, jako bezpośredni objaw włoskiej epiki na gruncie narodowym i wydaje mi się godniejszym druku, niż wiele innych polskich poematów współczesnych i późniejszych.“¹⁾

Tak więc „Obleżenie“ jest chyba jeszcze jednym więcej argumentem, że literatura w drugiej połowie XVII w. nie znajdowała się jeszcze w okresie zupełnego upadku, zaniku zmysłu estetycznego, zraty wrażliwości na piękno arcydzieł obcej literatury.

To też dziwić się doprawdy trzeba, że bliższej uwagi dotąd „Obleżeniu“ nie poświęcono, choć leżało niemal pod ręką w zbiorach Bibl. Jagiellońskiej. Nie miał szczęścia autor, lubo poemat swój starannie do opublikowania przygotował, sądząc, mylnie, że znajdzie się przecie ktoś, co „Obleżenie“ drukiem ogłosi.

Tyle umiem na razie powiedzieć o utworze samym i o twórcy jego. Myślę jednak, że to nie będzie za mało, żeby się poematem zainteresować i przyczynić do wydobycia go nareszcie z zapomnienia, bo z wielu względów na to istotnie zasługuje.

ROMAN POLLAK.

¹⁾ Op. cit. str. 100.

Metody w estetyce.

Estetyce chodzi o wyświetlenie istoty sztuki. Zdaje się więc, jakoby w tym celu było potrzeba zwrócić się jedynie ku sztuce, czyli przyjrzeć się wyłącznie utworom artystów, by z nich wyłuskać ich tajemnicę. Tymczasem mniemanie takie byłoby błędne. Cóż to bowiem jest dzieło sztuki? Przypatrzmy się np. rzeźbie. Taki Apollin Belwederski jest sam w sobie niczem więcej, tylko ociosaną bryłą marmuru. A mimo to jest ta bryła dla nas Apollinem, półbogiem. Gdyby nie było nas, nie byłaby bryła ta Apollinem, jeno pozostałaby bryłą. Pierwsze dzieło sztuki powołaniem zostało do życia dopiero wówczas, gdy człowiek odczuł poraż pierwszy emocję estetyczną.

Analiza samych obiektów estetycznych, samych dzieł sztuki, jako takich, nie może więc dać nam dostatecznej odpowiedzi na pytanie: co to jest sztuka? Nieodzownem jest włączyć w zakres badań człowieka, reagującego na sztukę, czyli innemi słowy, poddać rozbirowi nasze doznania estetyczne. Analiza naszych doznań jest naturalnie czysto psychologiczną.

Lecz na tem nie koniec. Zbadawszy nawet po pierwsze przedmioty, nasze doznania estetyczne wywołujące, i po drugie same doznania—nie otrzymamy jeszcze dostatecznego wyświetlenia istoty piękna. I to z bardzo prostego powodu. Sam przedmiot estetyczny, samo dzieło sztuki nie jest tylko podniętą naszych wrażeń i przyczyną naszych doznań estetycznych, lecz jest także skutkiem, ostatecznem ogniwem czynności artysty, który je do życia powołał. Jednem słowem dzieło sztuki jest wpływem twórczości artystycznej.

Pragnąc swoiste cechy dzieła sztuki poznać, nie możemy pominąć także warunków, którym swe istnienie zawdzięcza. Twór-

cza czynność artysty kształtuje jego obiektywne cechy, wpływające wreszcie na nasze subiektywne doznania. Wyłaniają się więc pytania: czemu, na co, po co i jak zostało dzieło sztuki stworzone. Tem samym mamy przed sobą trzecią grupę faktów, obejmującą wszystko, co dotyczy twórczości artystycznej.

Nie jest obojętnem pytanie, do której z trzech tych grup naukowe badanie najpierw przystąpić winno. Doświadczenie uczy, że porządek badań wpływa nieraz na ich kierunek, predestynuje ich wyjścia i ujścia—co staje się wówczas niewątpliwie ujmą dla ich bezwzględnej obiektywności. Z natury rzeczy zaleca się naogół porządek genetyczny, jako odzwierciadlający bądź co bądź obiektywny przebieg faktów. A więc tutaj należałoby najpierw rozpatrzyć przyczyny dzieła sztuki czyli twórczość artystyczną, potem wyniki twórczości czyli samo dzieło sztuki, jako takie, i wreszcie nasze subiektywne doznania.

Lecz już z kilku powyższych uwag wynika, że niemożliwe jest bezwzględne przestrzeganie tego porządku. Przedmiot estetyczny jest, jak widzieliśmy, tak ściśle złączony z wrażeniem, że nie można mówić o przedmiocie prawdziwie estetycznym, gdy brak wrażenia estetycznego. Toż dopiero nasze subiektywne wrażenie przemienia pewne obiektywne cechy bryły marmurowej na Apollina. Rozpatrywanie przedmiotu musi tedy z natury rzeczy uzupełniać co krok analiza wrażeń, przez przedmiot wywoływanych.

To samo dotyczy poniekąd także całej dziedziny twórczości. Badanie twórczości nabiera dopiero wówczas prawdziwie sensu, gdy się samą czynność twórczą konfrontuje ustawicznie z tem, co ona rzeczywiście produkuje, a więc z samym dziełem sztuki. Koniec końcem trzy te dziedziny: twórczość, dzieło sztuki, jako takie, i wrażenie dzieła, wkraczają wciąż jedna w drugą, przeplatają i uzupełniają się wzajemnie.

Lecz mimo to można i trzeba trzy te dziedziny rozpatrywać oddzielnie—nie tylko dla samej wygody poglądowej i systematycznej. Także z powodów zasadniczych. Choć bowiem te trzy grupy faktów wzajemnie się przenikają, to jednak posiadają swoiste, odrębne cechy. Poznanie odrębnych tych cech możliwe jest tylko na podstawie ich radykalnej eliminacji i wyraźnego wzajemnego odgraniczenia.

Im jaśniej zdamy sobie sprawę z charakterystycznych cech każdej z tych trzech dziedzin dla siebie, tem łatwiej wnikiemy w zawily i subtelny mechanizm ich wzajemnego przenikania i uzupełniania się. Owocność takiej eliminacji usprawiedliwia dostatecznie ją samą.

Takie określenie badań estetycznych wymaga już *implicite* stosowania rozmaitych metod. Jasnym bowiem jest, że metoda, podatna do badania obiektów estetycznych, traci swą kompetencję w sferze subiektywnej, a więc w sferze twórczości i doznań. I naodwrot. Kwestya metody jest wielce ważną dla całej estetyki. I też w rzeczy samej około niej grawituje dzisiaj większość badań estetycznych.

A ruch ten jest poniekąd odblaskiem ogólnego ruchu metodologicznego, panującego po dziś dzień w filozofii wogóle. Przeciwnicy filozofii uderzają przedewszystkiem w jej metodę. Zaś zwolennicy albo bronią metod starych tradycyjnych albo też kuszą się o nowe. Pod tym względem jest filozofia upośledzoną w porównaniu z naukami ścisłymi, cieszącami się posiadaniem jasnych i zdecydowanych metod. Tak zwana metoda przyrodnicza oddaje naukom ścisłym olbrzymie usługi. Polega ona, jak wiadomo, na wydobywaniu z poszczególnych zjawisk prawidłowości ogólnej, wiodącej wreszcie do prawidłowości coraz ogólniejszej, coraz większy zakres zjawisk obejmującej. Lecz zdobycze nauk ścisłych, tą drogą osiągnięte, doprowadzą do wniosku, że metoda przyrodnicza jest wogóle jedyną prawdziwą, jedynie naukową metodą. Poczęto ją tedy stosować także w naukach humanitarnych. Było to głównym czynem pozytywizmu, od czasów Comte'a począwszy.

Tymczasem poczęła się sprawa pod koniec XIX wieku zmieniać. Spostrzeżono, że metoda przyrodnicza nie daje w naukach humanitarnych i wogóle w filozofii tych rezultatów, jakich się po niej spodziewano. Rozpoczęła się więc rewizya dotychczasowych metod filozofii. W Niemczech poddali Rickert Windelband, Simmel i inni krytyce metodę przyrodniczą w naukach historycznych, usiłując wypracować dla nich własną metodę historyczną, zwaną także *idiograficzną*. We Francyi podał Bergson w wątpliwość uprawnienie metody przyrodniczej w filozofii wogóle. Przytoczył szereg argumentów, dowodzących, że filozofia zawdzięcza swe niepowodzenia, od Platona aż do dni dzisiejszych, wyłącznemu stosowaniu właśnie tej metody. Na jej miejsce wysunął metodę intuicyjną, upatrując w niej swoistą metodę filozofii, pozostawiając metodę przyrodniczą naukom ścisłym, *sciences*.

Cały ten ruch metodologiczny znajduje się dzisiaj jeszcze w fazie rozwojowej. Argumenty za i przeciw ścierają się ostro. Wyniki jeszcze się nie skryształizowały. Dlatego można narazie pominąć znaczenie tych nowych badań dla estetyki. Tem więcej,

że estetyka nie uporała się dotąd z metodologicznymi przeciwieństwami we własnym obozie.

Otóż tutaj ścierają się najrozmaitsze poglądy. I jak to w dyskusji tak często bywa, przeciwnicy zaciętrzewiają się, posuwając się nieraz dalej, niż tego rzecz sama wymaga, byleby zapewnić zwycięstwo własnemu stanowisku. Liczne ich odcienie można sumarycznie ująć w dwie kategorie: subiektywistów i obiektywistów.

Subiektywiści twierdzą, że cała zagadka piękna zawarta jest doszczętnie w subiektywnym naszym doznaniu estetycznym. Opierają się więc na słusznym spostrzeżeniu, że dopiero człowiek w swej duszy przerabia bryłę marmuru np. na Apollina. Szukają zatem wszelkimi odpowiedziami wyłącznie po stronie subiektywnej, wyłącznie w sferze psychicznych procesów estetycznych. Sam obiekt estetyczny, jako taki, samo dzieło sztuki dla siebie, nie wiele ich obchodzi. Uważają je tylko za podniecię wrażeń estetycznych, obojętną, jako taką. Analiza samego obiektu nie może tedy, zdaniem ich, dostarczyć żadnych wyjaśnień.

Obiektywiści natomiast stają na przeciwległym biegunie. I oni opierają się na słusznym spostrzeżeniu, że nie istniałoby wrażenie piękna, gdyby nie istniały pewne tak a tak ukształtowane przedmioty. Właśnie bowiem swoista obiektywna struktura przedmiotów wywołuje takie a takie upodobanie. Analizę upodobania, będącą dla subiektywistów alfą i omegą estetyki, rugują tedy obiektywiści albo zupełnie ze swych badań, albo przyznają jej tylko drugorzędną, pomocniczą rolę.

Jasnym chyba jest, że skrajne ujęcie dwóch tych stanowisk nie może nie być błędnem. Nieuprzedzone doświadczenie uczy dobitnie, że należy uwzględnić i przedmiot estetyczny i wrażenie, jakie sprawia. Analiza samego przedmiotu jest jałową i beztreściową, gdy się całkiem pomija jego oddziaływanie na nas. Apollin Belwederski, bez współdziałania człowieka, byłby tylko bryłą kamienną. Zaś analiza samego upodobania, bez odniesienia się do przedmiotu, zawisa wprost w powietrzu. Nie uwzględniając bowiem obiektywnych czynników, upodobań wywołujących, nie podobna rozstrzygnąć, które upodobanie jest estetycznym, a które jest jakimkolwiek innym, pozaestetycznym. Mimo to występuje przeciwstawność dwóch tych stanowisk w chwili obecnej silnie na jaw.

Poświęćmy najpierw kilka słów poglądom subiektywistów. Wyróżniają się tutaj dwa kierunki: psychologiczny i normatywno-krytyczny. Psychologiczny odgrywa dzisiaj decydującą rolę.

Bezwzględna większość współczesnych estetyków nakazuje wierzyć we wszechmoc psychologii, pod utratą estetycznego zbawienia. Naturalny to wpływ rozpanoszonego wciąż jeszcze panpsychologizmu—tego najukochańszego dziecięcia wszelkich pozytywistów i, last not least, wszelakich antyfilozofów. Estetyka psychologiczna twierdzi tedy, że estetyka jest niczem więcej, tylko gałęzią psychologii. Rzeczą jej jest wyświetlić jedynie *psychologiczną* strukturę upodobania estetycznego. Wszelkie wnikanie w przedmiot estetyczny, w samo dzieło sztuki, jest zbędne. Konsekwentni wyznawcy tego kierunku nie zawahali się też zawyrokować, że wszelkie znanstwo sztuki jest dla estetyka zupełnie zbyteczne. Sztuka dla nich właściwie jako sztuka nie istnieje. Odgrywa tylko rolę obojętnej podniety, indyferentnej przyczyny. Cenne w ich oczach są jedynie skutki, a więc jedynie upodobanie estetyczne.

Wątpliwem chyba nie jest, że estetyka konsekwentnie w tym duchu przeprowadzona nieco dziwnie wyglądać musi. Kusi się o rozwiązanie zagadki piękna artystycznego. A ignoruje z lekkim sercem całe to olbrzymie państwo sztuki, wytworzone ręką ludzką z tak niesłychanym wysiłkiem. Co i jak artyści tworzyli, jak się z materiałem zmagali, by narzucić mu ostatecznie pewne obiektywne formy—nic jej nie obchodzi. Bezpośrednio taka estetyka nie może dać dostatecznych wyników, nie może ponieść do wyświetlenia kategorii i odmian piękna w dziejach sztuki wytworzonych. Uprawiając konsekwentnie analizę samego upodobania, nie można w gruncie rzeczy pokusić się o żadne kryterium piękna. Niema bowiem procesów psychicznych, będących same przez się estetycznymi i różniących się z własnej mocy od wszelkich innych procesów pozaestetycznych. Analiza psychologiczna ich dotąd nie wykryła. Stwierdziła natomiast, że ich czynniki konstytucyjne wspólne są licznym innym procesom psychicznym. Estetycznymi stają się te procesy dopiero wówczas, gdy są wywołane przez pewne przedmioty, posiadające szczególne cechy. Usuwając tedy zupełnie wszelkie czynniki obiektywne, zniewoloną jest estetyka psychologiczna do wniosku wielce charakterystycznego, wypowiedzianego śmiało przez jednego z jej przedstawicieli. A mianowicie: pięknem jest to, co się komukolwiek kiedykolwiek podoba. Jeżeli więc ktokolwiek wobec czegokolwiek, czy to wobec rzeźby Rodina, czy wobec swego parasola, oświadczy: tu odczuwam upodobanie estetyczne — wówczas jest estetyk psychologiczny zobowiązany, upodobanie to zanalizować i wnioski estetyczne z niego wysnuwać. Do żadnych innych kryteriów odwo-

łać się nie może, boć przecież niczego poza subiektywnymi reakcjami nie uznaje.

Rugowanie wszelkiego znanstwa sztuki z obrębu badań estetycznych—propagowane szczególnie przez Niemców—jest tylko konieczną konsekwencją estetyki czysto psychologicznej. Konsekwentność ta przynosi jej prawdziwy zaszczyt. Pytanie tylko, czy ona i nam przynosi jakąkolwiek korzyść. Wywodzić chyba nie potrzeba, że wszyscy ci, którym sprawy sztuki leżą na sercu, na wyrugowanie jej z estetyki się nie zgodzą. Raczej będzie im zależało na oparciu badań estetycznych właśnie na znanstwie sztuki, nie zaś na samej analizie upodobania, które ktokolwiek, kiedykolwiek wobec czegokolwiek odczuwa.

Naturalnie nie wypływa stąd najzupełniej bezwzględne pojęcie estetyki psychologicznej wogóle. Czasem jest ona bardzo cenną i wprost niezbędną. Toć rzeczą jej jest badanie jednej z trzech fundamentalnych dziedzin, mianowicie doznań estetycznych. Natomiast błędem jest upatrywanie w samej psychologii doznań już całej estetyki i ignorowanie tem samem dziedziny przedmiotów i dziedziny twórczości, będącej nadto także psychologiczną. Psychologii doznań przysługuje tedy ostatecznie jeno rola części estetyki.

Drugą główną grupę subiektywizmu tworzy estetyka normatywno-krytyczna, zwana także krótko normatywną. Nazwa ta nie jest słuszną, boć naturalnie i estetyka obiektywna może być normatywną. Estetyka normatywno-krytyczna wywodzi się, jak już nazwa głosi, od Kanta. Kant pragnął stworzyć estetykę czysto subiektywną, sądząc, że tylko tą drogą zapewni jej naukową pewność. Według naczelnjej jego nauki bezwzględnie pewnymi są tylko sądy syntetyczne a priori, jako niezależne od doświadczenia. Doświadczenie bowiem jest zwodnicze, gdyż każdej chwili może uleść zmianie. Stąd pyta się Kant: jak są *możliwe* sądy syntetyczne a priori. W „Krytyce czystego rozumu“ dowodzi możliwości sądów poznawczych a priori. W „Krytyce praktycznego rozumu“—możliwości sądów etycznych a priori. Wreszcie w „Krytyce władzy sądenia“—możliwości sądów estetycznych a priori. Do tej nauki Kanta o sądach estetycznych nawiązują niektórzy współcześni jego wyznawcy, włączają jednakowoż w nią zagadnienie wartości. Rzeczą estetyki nie jest, zdaniem ich, ani analiza przedmiotów, ani danych faktów psychologicznych, jako takich. Obchodzi ją tylko nasza postawa wobec faktów estetycznych, nasza ocena. Ocenianie, to tyle co wartościowanie. Estetyka jest tedy krytyczną nauką o wartościach, a zarazem jest

krytyczną nauką o normach. Przekonawszy się bowiem o wartości jakiegokolwiek postępowania, wynosimy je zarazem do normy naszego postępowania. Oceny nasze wyrażamy w sądach. Przeto jest estetyka także nauką o sądach estetycznych.

W przeprowadzeniu tego programu nie posuwają się estetycy normatywno-krytyczni wiele poza Kanta. Żywcem biorą od niego jego główne wyznaczenia, że upodobanie estetyczne jest bezinteresownem i bezpojęciowem. Taka estetyka nie może nam, naturalnie, nic powiedzieć o faktach estetycznych. Samowładnie wyłącza je przecież z obrębu swych badań. Natomiast jest uprawnioną, gdy się stanie bezwzględnie na stanowisku Kantowego krytycyzmu. Poczytując ją wyłącznie za naukę o sądach estetycznych a priori, a sądy te za eksplikację naszej władzy sądenia, nie potrzebujemy w rzeczy samej wymagać od niej niczego więcej, prócz logiki naszych sądów oceniających. A taką estetykę urzeczywistnił najdoskonalej już sam Kant.

Lecz z chwilą, gdy się od estetyki żąda czegoś więcej, mianowicie wyjaśnień konkretnego piękna sztuki, wtedy z natury rzeczy nie można się zadowolić samą logiką sądów estetycznych. Wkroczenie w dziedzinę przedmiotów i doznań staje się nieodzownem.

Skrajny subiektywizm czy to psychologiczny, czy normatywno-krytyczny, nie wytrzymuje tedy krytyki. Estetyka czysto psychologiczna jest tylko częścią estetyki. Zaś estetyka normatywno-krytyczna jest ściśle zależną od racji bytu Kantowego krytycyzmu wogóle. Niedostateczność *czystego* subiektywizmu wiedzy, porównano z doświadczeniem, do konieczności zwrócenia się także ku obiektywnej stronie piękna. Rolę tę spełniają liczne metody obiektywne.

Tutaj także wytworzyły się rozmaite odmiany. Pierwszą grupę możnaby nazwać analityczną. Rozbiera ona dzieło sztuki jako takie, nie troszcząc się o wyniki, odgrywające rolę przy jego powstawaniu. Tradycyjnie rozróżnia w dziełach sztuki treść i formę. Treść oznacza to, co artysta wyraził, a więc np. jego myśli i uczucia. Lecz pozatem mogą tworzyć treść także czynniki metafizyczne — jak sądzi estetyka metafizyczna od czasów Platona począwszy. Rozkwitła ona głównie w pierwszej połowie XIX wieku, za sprawą spekulacji idealistycznej i romantyzmu. Dla idealistów, jak Hegel, Schelling lub Schopenhauer, polega istota sztuki na uzmysławianiu absolutu, np. ducha absolutnego według Hegla, zaś woli kosmicznej według Schopenhauera. Czyta estetyka treści zamienia się tedy z łatwością w metafizyczną.

Jako reakcja przeciw niej powstała estetyka formy, formalistyczna. Upatruje ona całą zagadkę piękna w formie, t. j. w układzie czasowo-przestrzennym materiału. Formaliści twierdzą słusznie, że nie chodzi o to, co artysta wyraził, jeno jak wyraził, jak surowy materiał ukształtował. Lecz w twierdzeniu tem zawarta jest tylko część prawdy. Gdyby istota sztuki zasadzała się rzeczywiście na *samych* czynnikach formalnych wówczas byłaby sztuka tylko wirtuozostwem form. A każde wirtuozostwo, choćby najdoskonalsze, nie porywa i nie grzeje—mimo że często zdumiewa. Tymczasem sztuka wywołuje w nas najgłębsze wzruszenia. I to właśnie dzięki temu, że artysta nietylko sprawnie materiał uformował, lecz że także za pośrednictwem tych form do nas z głębi duszy przemówił.

Bezpośrednia obserwacja mówi nam nadto o nierozzerwalności formy i treści w dziele sztuki, o ich organicznej jedni. Niema form absolutnie pięknych, lub absolutnie brzydkich. Każda forma jest równie dobra i uprawniona—o ile tylko jest dostrojonym wyrazem tej treści, którą artysta właśnie wyrazić pragnął. Formę bez treści znachodzimy jedynie w arabeskach, ornamentach i t. p.—te zaś nie wyczerpują chyba istoty sztuki. Czysta estetyka treści i czysta estetyka formy nie wytrzymują więc narówni krytyki. Uprawnione może być tylko badanie, uwzględniające treść i formę, jako organiczną, nierozzerwalną jednię.

Drugą grupę metod obiektywnych stanowią t. zw. metody genetyczne. Nie troszczą się o gotowe dzieło sztuki, nie obchodzą ich ani treść, ani forma, jako takie. Kuszą się o rozwiązanie problemu wyłącznie z pomocą badania genezy, powstawania dzieła sztuki. Najpopularniejszym typem jest teoria Taine'a. Taine twierdzi, że sztuka objawia nam wówczas swą tajemnicę, gdy poznajemy czynniki, z których się rozwinęła. Nie bada przede wszystkim samych form artystycznych, jako takich, jeno usiłuje wykryć czynniki, dzięki którym artysta właśnie takie a takie formy wytworzył. W tym celu wywodzi, jak wiadomo, wszelkie odmiany piękna z trzech czynników: z rasy, która artystę wydała, ze środowiska (*milieu*) socjalnego, ekonomicznego, duchowego i t. d., w jakim artysta żył i z momentu czasu, w który wpływowym tym ulegał. Twórczej indywidualności artysty przypisuje tylko poboczną, drugorzędną rolę — co jest piętą Achillesową całej jego teorii.

Do zasadniczo tych samych konsekwencji wiodą z natury rzeczy wszelkie teorie genetyczne. Koncentrując swą uwagę na czynnikach genetycznych, niedoceniają czynnika twórczości i ol-

brzymich indywidualnych różnic z nim związanych. Np. genetyczna teoria Sempera polega na *porównywaniu* dzieł sztuki, celem wykrycia motywów, na ich powstawanie oddziałujących. Semper rozróżnia narówni z Tainem wpływ rasy i środowiska. Lecz pozatem kładzie główny nacisk na momenty utylitarno-praktyczne. Szczególnie obchodzą go artystyczne formy sztuki stosowanej. Np. grecka amfora do wina, długa, szpiczasta, nie mogąca stać bez oparcia, jest dlatego piękna, ponieważ doskonale odpowiada swemu przeznaczeniu. W piwnicach greckich nie ustawiano bowiem amfor—wpychano je w mokry piasek. I stąd oryginalny kształt. Rozkosz estetyczna, jaką sprawia amfora, nie zasada się więc na kontemplacji jej pięknego kształtu, tylko na zrozumieniu jego genezy — twierdzi Semper. Z chwilą, gdy poznam, jaki cel formę ukształtował, staje się ona dla mnie zarysem piękna. Jednostronność tej teorii jest aż nadto oczywistą. Motywy utylitarne odgrywają w genezie sztuki niewątpliwie ważną rolę, lecz nigdy nie jedyną.

Dalsze teorie genetyczne opierają się na podstawach etnologicznych i socjologicznych. Wychodzą z również słusznego założenia, że do wyświecenia istoty piękna winny się także przyczynić badania sztuki ludów pierwotnych i ich socjalnego życia. Cały zastęp etnologów i socjologów pracuje dziś na tem polu. Z niesłychaną troskliwością wyszukiwane bywają wszelkie przebłyski sztuki na najniższych stopniach kultury. Badane są wpływy rzemiosła, obrządków religijnych, życia wojennego, miłosnego i t. d. Literatura odpowiednia rośnie jak lawina.

Cenność takich badań nie ulega najmniejszej wątpliwości. Należy tylko nie zapominać, że celem ich jest wyświecenie *genezy* sztuki. Już tem samem nie mogą one zastąpić *całej* estetyki. Dotyczy to wszystkich teorii genetycznych bez wyjątku. Sprawa poczyna się tedy wikłać z chwilą, gdy autorzy zapominają o celu swych badań i sądzą, że zrozumienie genezy wystarczy do wyrównanego rozświecenia produktu genezy, czyli gotowego dzieła sztuki. Tymczasem najzupełniej tak nie jest. Choć wiem, że artysta stworzył pewną formę artystyczną np. pod wpływem miłości, to jeszcze nie poznałem tem samein wartości estetycznej tej formy. Do tego potrzebna jest nadto analiza samej formy.

Z krótkiego tego poglądu na najważniejsze metody estetyki wynika, że bodaj każda z nich posiada rację bytu, o ile nie przekracza własnej kompetencji. A takie przekraczanie jest niestety w dziejach estetyki na porządku dziennym. Przekonawszy się o owocności jakiegokolwiek metody, zbyt pochopnymi stajemy się

do uogólniań, zbyt łatwo ulegamy złudnej wierze w jej wszechmoc. Zjawisko to zresztą aż nadto ludzkie.

Dla estetyki zaś płynie stąd przestroga kierowania się jaknajwiększą bezstronnością i stosowania takich metod, które mogą powieść do tryumfu prawdy, nie zaś do tryumfu metody dla metody. A więc np. metoda psychologiczna, podatna do badania twórczości i doznań artystycznych, traci swą prawomocność, gdy chodzi o przedmioty estetyczne. Tutaj może powieść do celu jedynie metoda obiektywna, zasadzająca się na analizie obiektywnych cech dzieła sztuki. Gdzie zaś chodzi o rozświetlenie powstawania sztuki w dziejach kultury, stosować wypadnie metodę genetyczną. Rozciąganie jednej z tych metod na zakres całej estetyki jest błędne. A błąd ten staje się wprost krzywdą, gdy się w inie metody ruguje z obrębu badań estetycznych całe grupy faktów, dlatego, że nie podpadają danej metodzie. Odnacza się tem przedewszystkiem konsekwentna estetyka psychologiczna. Poczytuje ona nietylko przedmioty estetyczne, lecz nawet twórczość artystyczną za czynniki zupełnie zbędne, upatrując w psychologicznej analizie samych doznań już całe zadanie estetyki.

Taka metodologiczna postawa nie jest bynajmniej eklektycyzmem w typowym ujemnym znaczeniu. Raczej wypływa ona z jasnego zdania sobie sprawy, że sztuka jest zjawiskiem zbyt skomplikowanym, by ją można ująć w *jedną* formułę. A lepiej chyba wówczas pokusić się o kilka formuł. Inaczej zagrażałaby estetyce jałowość sceptycyzmu, dość częstego we współczesnych jej dziejach. Z niemożności zawarcia sztuki w *jednej* formule, wysnuto bowiem wniosek, że nie można jej zawrzeć w *żadnej* formule.

A wniosek to nieco pochopny...

MICHAŁ SOBESKI.

Bignon i sprawa polska po r. 1831.

I.

„Kilka dowcipów Pradta, stosujących się naprawdę do osoby Bignona, wpłynęło w ten sposób na publiczność, iż nie mogła zachować powagi, wymieniając jego nazwisko. Sekret, którego odsłonięcie miało, zdaniem Bignona, olbrzymie posiadać znaczenie, a który przyniósł tylko rozczarowanie (*déception*)¹⁾, dopełnił miary śmieszności, przywiązanej nie wiadomo czemu do człowieka, nie zasługującego na to najzupełniej. Przypisują mu szerokie poglądy w rzeczach dyplomatycznych i umiejętność ich wyłożenia. Dał istotne dowody znajomości w zakresie administracyi, finansów, prawodawstwa. Posiada obojętne łatwe, nie przypominając niczem profesora w rodzaju Royer Collarda lub Guizota. Pod dowcipną jego twarzą kryje się coś więcej, jak spryt tylko, kryją się tam rozumowania, poglądy szerokie a pełne, talent. Cóż z tego? teka spraw zagranicznych umyka przed nim stale, jak ów kapelusze wiatrem porwany, po który podróżny schyla się zawsze w chwili, kiedy go wiatr unosi. Skądże ta osobliwość? czy to wina losu czy rewolucyi, wada czy zasługa? P. Bignon istotnie posiada talent, posiada go nawet w dużym stopniu, nikt mu go nie odmówi. Czyżby

¹⁾ Mowa tu tylko o opinii konserwatywnej, arystokratycznej, która istotnie nie znosiła Bignona. „L'audace, on peut dire l'insolence de la gauche est au comble — pisze Siméon de de Serre'a, 19 avril 1820 — la chambre en a peur, et, si les Chauvelin, les Bignon, et les Manuel (którego, jak wiadomo, większość wypędziła z Izby) ne font pas les délibérations, ils commandent dans les discussions.“ *Corr. du C-te de Serre*, 1876, III, 371, № 774.

więc brakło mu poświęcenia dla rewolucyi? I to nie, od pierwszej, wielkiej rewolucyi, która dała mu katedrę w klasie szóstej w Rouen, aż do sławnych dni, a nawet po nich, był on apostołem, był dworakiem wszelkich rewolucyi. Gdzie więc szukać przyczyny tego opuszczenia, tej prawdziwej niewdzięczności, zwłaszcza wobec tylu miernot, dochodzących do celu, do którego zdąża uzdolniony p. Bignon. Widocznie rewolucye tak samo, jak i królowie, mają swoje kaprysy, swe antypatye, dają świadectwa niewdzięczności. Po tysiącu innych, nowym tego dowodem jest p. Bignon.“¹⁾

W tej nieco groteskowo narysowanej sylwetce Bignona d'Haussez, zawsze złośliwy autor pamiętników świetnych, bogatych w charakterystyki dosadne, lekko subtelną ironią zabarwione, słusznie podkreślił zasadniczą linię jego życia i ambicji, poczynając się w r. 1827, kiedy wraz z powrotną falą zwycięskiego liberalizmu wstąpił na nowo do Izby, a kończąc się w roku 1837, kiedy, jako zasłużony historyk i rzeczoznawca w sprawach międzynarodowych, powołany został do Izby parów.²⁾ Powracając do parlamentu, miał Bignon głębokie przeświadczenie o niedostatecznych rezultatach polityki swego stronnictwa (n'a guère été illustré que par nos revers),³⁾ ale wiedział także, że rząd i konserwatyści ponieśli klęskę ostateczną, rozumiał, iż nie może być rządu bez liberałów, domyślał się tylko, jeżeli nie miał dokładniejszych o tem wiadomości, że król próbował nawiązać stosunki z opozycją, że własne jego imię wypływało obok Casimir Perière'a i Royer Collarda, jako jedno z ogniw przyszłego gabinetu.⁴⁾

W Izbie, po jej uformowaniu, zaczęło tworzyć się zjednoczone stronnictwo lewicowe, ilościowo wielkie, choć wskutek różnorodności swych żywiołów nie zdolne do jednolitej działalności, w obecnej chwili — podstawa nowego ministerjum Martignaca.⁵⁾

¹⁾ D'Haussez, *Memoires*, 1896, I, 254-6.

²⁾ Mianowany parem 3 paźdz. 1837; de Brotonne, *Les sénateurs du Consulat et de l'Empire*, 1895, 227, № 624.

³⁾ *Banquet du 9 sept. 1827* (w Bernay), 14, Bibl. Nar. Paryż, Le⁶⁴, 219—220.

⁴⁾ Nota złożona przez Barrasa, zapytywanego o zdanie w sprawie uformowania ministerjum przez króla za pośrednictwem de Rivière'a. Barras, *Memoires* (publ. Duruy), 1896, IV, 426.

⁵⁾ Thureau Danguin, *Le parti liberal sous la restauration*, 1888, 403, 408, 410, 415; Castellane, *Journal*, II, 241-3; Rambuteau, *Memoires*, 1905, V, 219; E. Daudet, *Le ministère Martignac*, 1875, 146 i n.

Skrajnej, bezwzględnie opozycyjnej lewicy początkowo nie było, boć trudno przywiązywać poważniejsze znaczenie do osoby Pradta, który zresztą nie tyle może ze względów zasadniczych, jak o tem zapewniał w swym liście otwartym,¹⁾ ile raczej z obrażonej ambicyi, podał się wkrótce do dymisyi i opuścił Paryż.²⁾ Bignon, dotychczasowy nieprzejednany przeciwnik rządu, wobec zmienionego nastroju swych przyjaciół politycznych i nowej sytuacji ogólnej, czując się poniekąd kandydatem na ministra, zmienił ton przemówień. Nie zwalcza projektów rządowych, lecz je modyfikuje, nie napada nieustannie na gabinet, lecz pełen względności przeciwstawia go dawnemu ministeryum, które piętnuje po dawnemu, tak jak dawny system, oparty o ordonanse, przeciwstawia nowemu, który winien wypływać jedynie z prawa. Polityka grecka pozwala mu bliżej zatrzymać się na rzeczach dyplomatycznych. Porusza je nawet wtedy, kiedy mówi w przedmiocie budżetu państwowego, teraz bowiem sprawy zagraniczne posiadają dlań znaczenie bardziej żywotne, nietylko jako przedmiot zdawna a dobrze znany, lecz także, jako przyszłe pole działania praktycznego, o którym nie przestaje myśleć. Zwalczając porządki dotychczasowe, krytykując obecne, opisuje przyszłe, oparte o administrację lepszą, uporządkowaną, oszczędną, a niezapominającą o zewnętrznej, militarnej potędze Francyi. „Ce qui importe à la France, c'est de ne pas payer chaque année des sommes énormes pour n'avoir qu'un état militaire insuffisant.“³⁾

¹⁾ *Courrier français*, 14 avril 1828, por. *L'abbé de Pradt, le côté gauche et les élections de Paris*, 1828, pp. 16. B. N. Lb⁴⁰, 884.

²⁾ Barante, *Souvenirs*, 1898, III, 453-4. Opinia skrajnej lewicy, Beranger do Vaissière'a, 29 avril 1828, Boiteau, *Corr. de Beranger*, 1859, I, 314—316, № 168.

³⁾ *Discours... dans la discussion générale du projet de loi relatif à l'emprunt de 80 millions prononcé dans la séance du 13 mai 1828*. B. N. Le⁶², 1207. ...*dans la discussion de la loi des comptes de 1826, prononcé dans la séance du 23 juin 1828*. Le⁶², 1209. ...*dans la discussion de la loi de finances (dépenses—ministère des affaires étrangères), prononcé dans la séance du 4 juil. 1828*. Le⁶², 1204. ...*dans la discussion relative à l'ouverture de crédits suppl. pour l'exercice de 1828, prononcé dans la séance du 4 mai 1829*. Le⁶², 1961. Mowy te ogłoszone osobno, jako odbitki z *Moniteura*, najwidoczniej miały czynić zadość planom Bignona. W ostatniej z wyżej cytowanych w sprawie greckiej wypowiada się Bignon, jak następuje: „Je desire autant que jamais l'entier affranchissement de la Grèce, je desire pour cette contrée une extension de limites qui puisse assurer son independance, mais je pense que notre expédition dans le Peloponèse est une expédition manquée, qu'elle était inopportune, qu'elle a été mal conçue, que l'idée qui avait

Nadzieje na współzycie, na współdziałanie miały się jednak wkrótce rozwiązać. Żywioły konserwatywne zdobywają u dworu grunt utracony. Zmienia się również mowa opozycyji. Kiedy dyskutowano w kwietniu 1829 r. nowe prawo o organizacyi rad powiatowych i departamentowych i u Bignona znajdujemy dawny język, dawną argumentacyę, użytą obecnie w obronie praw ludowych i sławy cesarza. Występując przeciw nowej arystokracji własności, zwalczając jej przywileje, przyjmuje spotkanie z ministrami, którzy dla umocnienia własnego stanowiska zasłaniali się absolutyzmem rządów napoleońskich. A jednak formy cesarskie były, zdaniem Bignona, liberalniejsze od form poprzednich. Zresztą „przeznaczony przez samą pozycyę swoją do dyktatury, gdyby go do tego nie pchał własny charakter, Napoleon, godny zachwytu pod tylu innymi względami, nie jest wzorem, który należałoby dawać (offrir) do naśladowania monarsze konstytucyjnemu.“ Pomimo wszystko — zdaniem Bignona — system wyborczy napoleoński był jeszcze liberalniejszy od obecnego ministeryalnego (mowa 2 kw. 1829 r.).

Od pierwszych dni sesyi r. 1829 stanowisko gabinetu Martignaca jest zachwiane. 8 sierpnia następuje zmiana istotna. Znowu odwróciła się karta historyi: powołano do władzy Juliusza Polignaca. W kraju tymczasem rośnie opór. Zebrana w r. 1830 Izba, w większości swej przeciwrządowa, może nawet przeciwkrólewska, uchwała 221 głosami odpowiedź na orędzie, odczytane 18 marca. Rozpoczyna się walka zajądła: rozwiązanie Izby, nowe wybory, nowa klęska rządu, ordonanse lipcowe, walka uliczna, ucieczka Burbonów, narady posłów, porozumiewanie się z księciem Orleańskim i z działaczami rewolucyjnymi, oto cały szereg momentów, doprowadzających do ustalenia nowej młodszej linii królewskiej na tronie francuskim.

Wśród działaczy publicznych, tych, którzy występowali na zewnątrz, którzy walczyli lub którzy z ukrycia kierowali ruchem, nie widać Bignona: był on w liczbie 221, podpisał 31 lipca odezwę do narodu, donoszącą o przelaniu zarządu państwem na Ludwika Filipa, pozatem głucho o nim w tym czasie, choć należy przypuszczać, że nie opuścił Paryża. Widocznie, jak w r. 1815, tak i teraz, przycichł, pragnąc przeczekać chwilę najcięższą.

présidé à l'exécution et au dénouement, enfin que l'entreprise a été résolue dans un esprit de politique russe et qu'elle s'est terminée dans un esprit de politique anglaise. Or, tout ascendant étranger, anglais ou russe, me répugne également.“

Kiedy niebezpieczeństwo minęło, kiedy należało zająć się utworzeniem rządu tymczasowego, zwycięski lud przypomniał sobie starego obrońcę haseł r. 1789 z mównicy parlamentarnej i specjalistę od spraw zagranicznych: 31 lipca komisya municipalna, mianując komisarzy tymczasowych, obok Duponta, Louisa, Gerarda, de Rigny i Guizota, powołała także i Bignona, powierzając mu departament spraw zagranicznych.

Ledwo jednak minęło niebezpieczeństwo, ze wszystkich stron wysuwać się zaczęli kandydaci do stanowisk. Wypełzają ambicje, rozpoczyna się walka, w której zwyciężają ci tylko, co mają siłę istotną, poparcie u dworu nowego lub u ludności paryskiej. Bignonowi brakło takiej siły: dla jednych był demokratą zanadto nieprzejednanym, dla drugich zanadto umiarkowanym opozycjonistą, dla wszystkich za mało zdecydowanym, a może nie dość odważnym. Jako historyk cesarstwa mógł nadto wydać się niewygodnym księciu Orleańskiemu, któremu przedewszystkiem zależało na uznaniu Europy legitymistycznej. Z tego skorzystał człowiek, o którym d'Haussez tak słusznie powiedział: „si je voudrais peindre l'arogance, je prierais M. le G-al Sebastiani de poser,“ a który, uważając siebie za wielkiego dyplomate, posiadał potężną protektorkę w osobie siostry nowego króla, ks. Adelaidy.¹⁾ Sebastiani zainsynuował, że rządy europejskie nie zechcą porozumieć się z urzędowym historykiem Napoleona, wysuwając kandydaturę, naprzód Reinharda, następnie starego marsz. Jourdana. Trudno było Dupontowi zwrócić się do Bignona w sprawie tak drażliwej, użyto Berarda, który, zastępując szefa gabinetu, zaproponował zainstalowanemu już ministrowi objęcie innej, nowej teki oświaty publicznej.²⁾ Bignon zgodził się ustąpić, a mianowany 3 sierpnia ministrem zabrał się do reorganizacji szkolnictwa.³⁾

¹⁾ R. Arnaud, *L'égerie de Louis Philippe, Adelaïde d'Orleans*, 1908, 273.

²⁾ Powstała legenda, że ministrowie Rosyi, Austrii i Prus odmówili porozumiewania się z Bignonem i że nawet w Archiwum spraw zagr. istnieje nota Austrii w tym przedmiocie. Ostatnio powtarza wersję tę Robert et Cougny *Dict. des parl. français*, 1889, I, 318, idący za poprzednimi biografami Bignona. Nasze poszukiwania w Archiwum nie dały żadnych rezultatów, zresztą należało się tego spodziewać, gdyż podobna nota była niemożliwą w stosunkach międzynarodowych. Idziemy więc za opowiadaniem działaczy współczesnych. S. Berard, *Souvenirs historiques sur la révolution de 1830*, 1834, 175. L. Blanc, *Hist. de dix ans 1830-1840*, 1877, I, 365-5, 411. W. Lang, *Graf Reinhard*, 1896, 526.

³⁾ *Moniteur*, 1830, 4 août № 216. 6 sierpnia mianował Cousina członkiem rady oświaty publicznej, przywrócił nazwę *Ecole normale* i zapowiedział jej

Ale i tu miał działać nie długo. Chciano się go pozbyć za wszelką cenę, a nie mogąc uczynić tego odrazu, przy nowem uzupełnieniu gabinetu mianowano go ministrem bez teki (11 sierpnia).

W samem ministerjum, jak w ogóle w całym kraju, dwa były wyraźne kierunki: jedni (Laffite, Dupont, Gerard) byli za zupełnem usunięciem od urzędów sług dawnego porządku i za reformami politycznymi i społecznymi, drudzy chcieli oszczędzać ludzi wszystkich stronnictw i utrzymać, co się tylko dało, z dawnych urzędzeń.¹⁾ Jedni wierzyli w moc zachowawczą hasła r. 1789 i byli za idącymi z nich konsekwencyami, za łączeniem się z ruchem w kraju, tworzyli stronnictwo *ruchu*, drudzy, usiłując ostudzić zapał, chcieli oprzeć się na zasadach zachowawczych (resistance) i z pewną dumą nawet przyjmowali narzuconą im nazwę *doktrynerów*, pewni, że ich polityka znajdzie oddźwięk w wielkiem mieszczaństwie paryskim.

Dawne od tylu lat z mocą głoszone zasady, przywiązanie do Napoleona, niesłuszna zresztą opinia nieprzejednanego bonapartyisty,²⁾ niedostateczne uznanie u dworu, brak widoków na zdobycie sympatyj w otoczeniu królewskim, wszystko to oczywiście popychało Bignona do stronnictwa ruchu. Brak zaś wpływu na szerokie masy, niezdolność do działań śmiałych, do otwartej obro-

reorganizacyę. *Moniteur*, 8 sierpnia, № 220. Nominacya 11 sierpnia, tamże 12 sierpnia № 224.

¹⁾ Broglie, *Souvenirs*, 1886, IV, 75. Thureau-Dangin, *Hist. de la monarchie de juillet*, 1884, I, 80. L. Blanc, II, 129—130.

²⁾ Po rozruchach grudniowych B. uznał nawet za konieczne wyprzeć się wszelkiego współnictwa z bonapartyistami, z czego mu za cesarstwa czyniono zarzuty. W mowie, mianej w Izbie 28 grud. 1830 r., wypowiada się jednakowo przeciw bonapartyistom i republice. „Należy—powiada—odróżnić wielkiego człowieka Bonapartego od Bonapartego głowy dynastji. Nadzwyczajną właściwością Napoleona, jako konsula i cesarza, było, że we wszystkim odpowiadał charakterowi Francuzów, stąd też można wytłómaczyć sobie przywiązanie większości narodu do niego... W tym sensie Francuzi są bonapartyistami: jest nim nawet nasz król *Ludwik Filip*, gdyż sława Bonapartego znaczy dlań tyle, co sława Francji, a wspomnienie wielkiego wodza i wielkiego męża stanu jest dlań wspólnem dobrem narodowem, którego nie można się pozbyć bez utraty honoru.“ Ale od tego daleko do powołania na tron młodzieńca, wychowanego w Wiedniu. Zastrzegając się przeciw łączeniu z anarchią, mówi: „Francya stanowczo nie chce rzeczypospolitej, ale *chce* ona, jak i *my* wraz z *nią* chcemy, ażeby to wszystko, co jest w niej dobrego, było wprowadzone do konstytucyjnej monarchji, o ile to się stać może bez niebezpieczeństwa.“

ny własnych poglądów w spotkaniu z przeciwnikiem, przy równoczesnym dużym talencie do wykładania gruntownego z góry obmyślonych dowodzeń, oto co sprawiło, że kiedy po utarczce między królem a Dupontem ministerjum podało się do dymisji, Bignon nie wszedł do nowego gabinetu (2 list.),¹⁾ lecz zajął ostre względem doktrynerów stanowisko, że odtąd podejmował wszystkie sprawy, słuszne zresztą, które narzucały wypadki r. 1831, tak obfite w momenty dramatyczne, a które nie odpowiadały interesom rządu, że wziął na siebie gorącą obronę wszystkich uciesnionych ludów, że stał się zwołna oficjalnym mówcą naszym w parlamencie francuskim. W wystąpieniach swych w r. 1830-1 zdobywa się na akcenty potężne, porusza struny nieprzebrzmiałych jeszcze we Francyi hasel, występuje nietylko jako deputowany francuski, ale także, jako trybun idących śladem Francyi, wierzących w nią narodów europejskich.

Naprzód przyszła sprawa belgijska. Wypłynęła z powodu petycji o przyłączenie Belgii do Francyi na posiedzeniu Izby, 11 stycznia 1831 r., broniona przez Lamarque'a i Mauguina, dwóch przyjaciół polskich, zwalczana przez Guizot'a, przeciwnika interwencji, wroga propagandy rewolucyjnej nazewnątrz. Raz poruszona nie schodzi z porządku obrad i staje się ośrodkiem zajadłej walki w dwa przeszło tygodnie potem, 27 stycznia. Ministerjum zajęło stanowisko nieinterweniowania, opozycja oparła się na coraz wyraźniej ujawniającem się w Belgii życzeniu przyłączenia jej do Francyi, względnie osadzenia na tronie belgijskim ks. de Nemours. Z obu stron użyto argumentów mocnych, z obu stron łączono sprawy obu rewolucyi zagranicznych, polskiej i belgijskiej. Zajęte przez Sebastianiego stanowisko, nieszczerze w założeniu i pełne wewnętrznych a faktycznych sprzeczności, ułatwiało położenie opozycji, dając jej do rąk argumenty. W odpowiedzi swej ministrowi, Lamarque wyprowadził logiczną z mowy poprzednika swego konsekwencyę, ostrożnie przez niego ukrytą, i w formie, która wywołała oburzenie, rzucił ją Izbie: „*Vous voulez tous la paix, quelques uns peut être la voudraient avoir à tout prix.*“ Następni mówcy na nowo podkreślali różnicę dwu stanowisk, i tylko bardziej jeszcze podsycali wzajemną niechęć zwalczających się w Izbie prądów.

Dyskusyę podjęto nazajutrz: z początku spokojna stawała się coraz bardziej gwałtowną i namiętą, obejmując w równym

¹⁾ L. Blanc, II, 120-6.

stopniu deputowanych, jak i audytoryum, w mowie Bignona doprowadzona do najwyższego napięcia. Napozór bardzo spokojny, obiektywny, prędzej historyk, niż polemista, on jeden mówił raczej w obronie Polski, niż Belgii, za motto do przemówienia swego biorąc słowa Sebastianiego: „Ce sont les campagnes de Napoléon qu'on nous propose. Disons le donc avec douleur, nous ne pouvons rien pour la Pologne par la force des armes.“ „Kłamstwo słów — mówił — nie potrafi zmienić natury rzeczy. Chociaż zasada nie interwencji istnieje zawsze nominalnie, od początku jednak uległa zmianom istotnym.“ Konferencja londyńska jest przecież taką samą interwencją, jak i wszelkie bezpośrednio w obcym kraju działanie. Czemuż więc Francya nie broniła swych interesów? Rozumiejąc drażliwą sytuację rządu, postawionego wobec wyboru wojny czy pokoju, Bignon wie jednak, że krok stanowczy może bez wojny przynieść korzyści, z niej płynące. Występuje następnie przeciw antycypowanej odmowie przyłączenia Belgii do Francji, aktu, który mógł tylko zaszczyt przynieść jego ojczyźnie, gdyby nawet musiano odrzucić propozycję Belgów. Odmowa uprzednia rzucała Francję na łaskę wypadków. Wreszcie porusza obiegające Paryż wiadomości o zamiarze rozbioru Belgii i przechodzi do spraw polskich. „Czyżby — mówił — ród ludzki nie miał innego środka przeciw niesprawiedliwości, jak użycie broni? Czyżby mocarstwa nie mogły niczego uczynić dla narodu uciskanego, nie mówiąc natychmiast o wojnie, bez ogłoszenia wojny?“ Po rozpatrzeniu historii powstania Królestwa Polskiego, oraz jego konstytucji i obecnego jej stanu, zaznacza, że przecież traktaty obowiązują monarchów, zwłaszcza jeżeli traktaty te, jak wiedeński r. 1815, noszą podpisy przedstawicieli tylu mocarstw, którzy wszyscy domagali się i otrzymali zapewnienie co do zaspokojenia życzeń polskich. Z mocy tego traktatu dla 3 państw wynikały bezpośrednio obowiązki względem Polaków, dla dwóch innych — obowiązek opieki i dozoru. Obecnie, wobec Anglii i Francji obowiązek ten występuje w formie nowej, jako obowiązek gwarancyi, którą należy wykonać istotnie. Ale co jest tylko obowiązkiem politycznym dla Anglii, jest nadto obowiązkiem moralnym dla Francji w stosunku do Polaków, braci po mieczu, wiążących losy swoje z losami Francji, walczących za nią po utracie wiary w zwycięstwo własnej sprawy. „Czyżby dziś Francya — tak kończył — mogła ich opuścić? Panowie, to nie do nas, zwykłych deputowanych, należy wskazywanie rządowi dróg postępowania. Ale gdyby nie mówić o wojnie, nie życzyć sobie wojny, czyż rola Francji ma się ograniczyć do słów, jeżeli słów tych

nie posłuchają, do półoficyalnych komunikatów, jeżeli pośrednictwo (*bons offices*) nie będzie przyjęte? Czemuż mocarstwa nie zrobią dla Polski tego, co uczyniły dla Belgii? Jeżeli uważały siebie za kompetentne do ogłoszenia niepodległości i neutralności Belgii, czemuż nie mogłyby ogłosić także neutralności tej części Księstwa Warszawskiego, która stała się Królestwem Polskiem? Oto jeden ze sposobów, ale nie jedyny, rozwiązania sprawy, nad którą rządy wszystkich narodów cywilizowanych winny się zastanowić.“¹⁾

Obrona Belgii zaprowadziła Bignona do wypowiedzenia się w sprawie polskiej. Ujmował ją, jak widzimy, z francuskiego stanowiska, a zapatrywał się na nią z punktu widzenia prawnopolitycznego,²⁾ zbliżając się do stronnictwa Czartoryskiego w Polsce w sposobie postawienia kwestyi, która sama przez się obiecywała mu popularność w Paryżu.

Paryż na wiosnę i latem r. 1831 był cały po stronie naszej: wraz z powodzeniem wzrastało uwielbienie, wraz z klęskami podnosił się groźny pomruk ludu, przetwarzający się w czyny, czasem gwałtowne (bicie szyb w ambasadzie rosyjskiej), częściej poważne, kierowane przez młodzież akademicką, którą zagrzewała publicystyka dla nas przychylna lub pieśń ludowa.

Nietylko sfery ludowe sympatyzowały z Polską: pani Broglie, dając tem wyraz opinii swego świata, pisała 29 maja 1831 r. do Barante'a: „Ale oto Polska przepełnia serce nasze zachwytem i bólem; gdyby miała zginąć, pomimo słuszności naszego stanowiska (*quelques bonnes raisons que nous ayons*), będzie to bólem i wspomnieniem okropnem. Oby nas Bóg pomimo to uchronił od wojny.“ A Nesselrodowa z oburzeniem donosiła mężowi (24 lipca): „Francya nie przestaje być tak wrogą względem nas, że dobrzeby było, ażeby w tym czasie Paszkiewicz osiągnął powodzenie całkowite.“³⁾

¹⁾ Thureau-Dangin, I, 159. Martinet, *Léopold I-er et l'intervention française en 1831*, 1905, 5—10, 17—18. *Moniteur*, 1831, 29 stycznia. Lesur, *Annuaire hist. universel pour 1831*, 20—28, 38—51.

²⁾ L'insurrection polonaise de 1830 a été d'avance, à nos yeux, justifiée, autorisée, legalisée par les actes du congrès de Vienne de 1814 et de 1815.

³⁾ L. Blanc, II, 279. Gadon, *Emigracja polska*, 1901, I, 101. L. Mickiewicz, *Les articles d'Armand Carrel pour la Pologne*, 1862. Wybór artykułów z lat 1830 i 1831, *Némésis*, № 10, kwiet. 1831. Barante, *Souvenirs*, 1894, IV, 240. *Lettres et papiers de Nesselrode*, VII, 204 i in.

W Paryżu powstał Komitet centralny francusko-polski z Lafayettem na czele, złożony z wybitniejszych parlamentarzystów, liczący w swem gronie znakomitych poetów (Beranger, Delavigne, Victor Hugo) i artystów (David). Należał do niego także Bignon. Pozostający w ciągłym stosunku z misją polską, Komitet ten niósł pomoc istotną podczas wojny, zasilął legację funduszami, ułatwiał jej stosunki w Paryżu, uzbroił i wysłał statek z Hawru, pośredniczył w zawarciu 60 milionów pożyczki, słowem był w stosunku do nas tem, czem rząd francuski być nie chciał, a może i nie mógł.¹⁾

Na stanowisko rządu francuskiego wpływał przedewszystkiem interes dynastyczny, który nakazywał nie zadzierać z królami dawnego porządku. Interes dynastyczny wpływał na stosunek Francji do Mikołaja I, a co zatem idzie, z góry nakreślał linię postępowania w sprawie polskiej. Nie możemy zastanawiać się obszerniej nad wahaniami tej linii i ograniczymy się do określenia zasadniczego w naszej sprawie stanowiska Francji urzędowej w r. 1831. „Co do nas—pisał Sebastiani Talleyrandowi 9 marca—mniej niż ktokolwiek mieliśmy złudzeń co do wyników tej wojny i od pierwszego dnia uważaliśmy za beznadziejną sprawę, do obronienia której zresztą nie byliśmy powołani, ale wolno nam było myśleć, że wspaniałomyślność (magnanimité) ces. Mikołaja może uprzędzić krwawą katastrofę, która właśnie zakończyła tę walkę nierówną i zajadłą.“²⁾ „Rozbroić gniew zwycięzcy, apelować do szlachetności (générosité) i miłosierdzia jego, zmiękczyć surowości, grożące narodowi, na który zważyło się już wszystkie zło wojny, zatrzymać rozlew krwi, uratować, o ile to jest w naszej mocy, osoby i majątki, oto pierwsze nasze zadanie, zadanie ludzkości, cywilizacji, moralności. Uprzedzić zamach śmiertelny na istniejące traktaty i na równowagę obecną Europy, oto drugie zadanie—przewidywania, polityki pacyfikacyjnej.“

Polecając Talleyrandowi wejść w porozumienie z rządem angielskim dla wspólnego działania u dworu rosyjskiego, dodaje:

1) Gadon, II, 10.

2) 8 marca 1831. Diebietsch est entré dans Varsovie après capitulation; l'armée polonaise a été battue dans Praga après une héroïque résistance; tout est fini pour la Pologne. Ces nouvelles (przyszły z Berlina) ont produit dans Paris une impression douloureuse. Cuvillier-Fleury, *Journal intime*, 1900, I, 292, por. 22 marca ib. I, 315.

„Czas drogi; należy odwrócić surowość, gotową zwalić się na naród szlachetny, który jeszcze urósł w klęsce (défaite); należy odebrać ludowym namiętnościom nowy przedmiot gniewu, przez usunięcie objawów zemsty, których widok podsyca jeszcze całą ich gwałtowność (podkreślenie nasze); należy przedewszystkiem utrwalić pokój europejski, sprzeciwiając się temu, ażeby czynnik niezgody i wojny był wprowadzony do systemu, na którym się opiera.“ Rząd francuski trochę niechętnie czynił ostrożne zresztą zabiegi w Londynie, łudząc misję polską niedopowiedzianymi obietnicami, przynaglany czasem do wystąpien śmielszych przez „usposobienie umysłów we Francyi, coraz to bardziej sympatyzujące ze sprawą polską.“¹⁾

Ugrupowanie stosunków sprawiło, że zaangażowany w sprawie naszej Bignon, kandydat do teki ministerjalnej—że tymczasem pominiemy inne motywy jego postępowania—chwycił się jej oburącz, przy najbliższej sposobności występując znowu z jej obroną, z wyraźną tym razem nadzieją obalenia rządu.

Było to w sierpniu podczas obrad nad odpowiedzią na orędzie królewskie. Sytuacya od początku groźna: w powietrzu wisi niebezpieczeństwo dymisji Cas. Periera, którego opozycyja chce obalić, a nie śmie jeszcze ostatecznie usunąć.²⁾ Próba ogniową miała być dyskusya nad punktem 17 odpowiedzi Izby, przygotowanej przez komisję.³⁾ Gen. Lafayette na posiedzeniu 15-go sierpnia przeciwstawił punktowi temu poprawkę, sformułowaną w myśl życzeń legacyi naszej, poprawkę, która domagała się uznania natychmiastowego Polski i urzędowego przyjęcia jej przed-

¹⁾ Instrukcyja Sebastianiego, 9 marca, Pallain *Ambassade de Talleyrand à Londres 1830—1834*, 1891, 263-4 nota, raporty Talleyranda, 25 marca (tamże, 283-4, № 101), 14 maja (ib. 341-2, № 124). Cas. Perier do Talleyranda, 7 lipca, Talleyrand, *Memoires*, IV, 245. Ogólny memoriał misji polskiej, 3 września, Gadon, I, 106 i n.; por. Thureau Dangin, I, 388.

²⁾ Guizot do Barante'a, 11 sierp. 1831. Barante, IV, 317.

³⁾ W redakcyi komisji punkt ten brzmiał, jak następuje: „Il est un autre sentiment que remplit, qui remue profondément tous les coeurs: c'est celui qu'inspire le sort de la malheureuse et héroïque Pologne. La France rend grace à Votre Majesté d'avoir offert sa médiation. La voix de votre diplomatie ne pouvait se faire entendre trop tôt, et avec trop d'énergie, en faveur d'un peuple dont le retablissement au rang des nations est si vivement désiré par les âmes généreuses et par tous les vrais amis de la civilisation européenne.“

stawiciela w Paryżu. Poprawka ta, jak również dwie inne, była odrzucona przez Izbę. Przyszła kolej na wniosek Bignona: „Dans les paroles touchantes de V. M. sur les malheurs de la Pologne, la chambre des députés aime à trouver une *certitude* qui lui est bien chère: la nationalité polonaise ne périra pas.“ Feliks Bodin wprowadził do niego zmianę, zastępując słowo *certitude* przez *espérance*, a ministeryum, któremu zależało, ażeby upadła poprawka Bignona, gdyż, zdaniem jego, groziła ona wojną, przyjęło formułę Bodina.

Bignon wystąpił wtedy z mową ogromnie ostrożną, lecz dla gabinetu wielce niebezpieczną, w której zajmując w stosunku do Polaków stanowisko o wiele od ministeryalnego radykalniejsze, niczem się nie wiązał, a bardzo zręcznie rysował swój pogląd na znaczenie odpowiedzialności gabinetu, pogląd przychylny przywilejowi królewskiemu, jednocześnie dwóm służąc kierunkom: sympatyi opinii publicznej dla Polski i nadziei króla na usamodzielnienie rządu od reprezentacyi narodowej.¹⁾

Sympatya dla Polaków, słuszność ich sprawy, której nie można nazywać powstaniem, lecz jedynie rewolucją, kazałaby właściwie przyjąć formułę Lafayette'a, gdyby nie obawa, że nie uzyska ona jednomyślności w Izbie. Bignon więc proponuje formułę łagodniejszą, choć i ta wzbudza wątpliwości wśród deputowanych. Mówca próbuje wytłómaczyć znaczenie słowa: *certitude*. Wyrażenie pewności mogłoby uchodzić za zarozumiałość, gdyby dotyczyło poszczególnej jednostki, ale że dotyczy narodu, który nie umiera, że dotyczy tego narodu, który dał tak wspaniałe dowody swej nieśmiertelności, więc najlepiej wypowiadając myśl projektodawcy, jednocześnie najdokładniej ujmuje stosunek Francuzów do Polski. Podnoszą się wprawdzie zarzuty, że tak sformułowany wniosek równa się wypowiedzeniu wojny. Tak jednak, zdaniem Bignona, nie jest: o wojnie decyduje jedynie król przez ministrów, tylko pod względem moralnym zależnych od Izby. Izba przedstawia naród i wyraża jego świadomość, ale jest tylko jedną z władz, a nie jedyną i nie może wiązać bezwzględnie gabinetu. Mówca nawołuje do wyzwolenia się z pod fantasmagoryi wojny o zasady. Państwa nie prowadzą takich wojen. A gdyby nawet wybuchła wojna o Polskę, byłaby to

¹⁾ Thureau Dangin, II, 112—114.

wojna z interesu i w interesie Francyi. Należy protestować, gdyż trzeba wierzyć, że klęski Polaków miną i los się odwróci, gdyż należy rozumieć, że w porę użyte słowo może wpłynąć na bieg wypadków. A zatem trzeba je wypowiedzieć tembardziej, jeżeli, będąc ukrytą myślą narodu, jest mu nakazane przez najświętszy obowiązek.

Po krótkiej dyskusyi zamknięto listę mówców i przystąpiono do głosowania, nasamprzód nad wnioskiem Bignona. Nagle zrywa się ze swego miejsca Casimir Perier i prosi o głos. Dyskusya zamknięta, regulamin pozwala tylko na wyjaśnienia, co do kolejności wniosków. Ze wszystkich stron powstają deputowani. Lecz okrzyki. Premier wściekły chce mówić, pomimo opozycji; twierdzi, że będzie mówił, lecz nie wyjaśnia o czem. W sali powstaje zamieszanie. Wszystkich ogarnia wzburzenie. Zrywają się widzowie. Deputowani biegną ku trybunie, z lewicy i prawicy równocześnie. Ze wszystkich stron krzyczą, a z ponad rozgorączkowanych głów wyskakują przerywane słowa Periera: „Ja mam prawo mówić, jestem ministrem króla“— i namiętne z obu stron wyrzucane: „Nie, nie!“ Napróżno przewodniczący Izby potrząsa dzwonkiem: głos jego tonie w powszechnym odmiecie bezładu, nad którym z mównicy panuje potężna, a nieprzytomna postać prezesa gabinetu. W momencie największego napięcia prezes Izby zmuszony jest posiedzenie zawiesić.

Nazajutrz Izba przedstawiała widok najzupełniej odmienny: jak gdyby wyczerpana, zmęczona, wysłuchiwała spokojnie wyjaśnień ministrów, którzy przez noc odbyli dwa posiedzenia, którzy w ostatniej chwili wpłynęli na zmianę decyzji Bignona. Zgodził się on zastąpić słowo *certitude* przez *assurance*, podsunięte przez gabinet. Izba przyjęła wniosek jego w postaci zmienionej. Perier odniósł zwycięstwo i odtąd na silniejszym stanął w obec parlamentu gruncie.¹⁾

¹⁾ *Moniteur*, 1831, 16 i 17 sierp. Lesur, 1831, 246 i n. Lafayette, *Memoires, corresp. et manuscrits*, 1838, VI, 597—601. L. Blanc, II, 406-7. Kniaziewicz imieniem misyi złożył 7 sierpnia memoriał ks. Adelaidzie, prosząc o to samo, co Lafayette wnosił w Izbie. Stern, *Gesch. Europas, von 1830 bis 1848*, 1905, I, 600. Bignon do Kniaziewicza, 8 sierpnia 1831 (mardi soir): „J'éprouve le besoin de vous rendre compte de ce qui s'est passé aujourd'hui à la chambre. Vous savez que le gén. Sébastiani m'avait dit qu'il consentirait au mot assu-

Ale pobity Bignon nie zaprzestał walki: bez nadziei obalenia ministeryum, może pod wpływem obrażonej ambicji, w głębokiem przeświadczeniu o słuszności sprawy, której bronił, powróci do niej, skoro mu na to pozwolą okoliczności. Sposobności do wystąpienia nie brakło, dały mu ją petycye komitetów prowincjonalnych francusko-polskich, z którymi, jak i Lafayette, pozostawał w blizkich stosunkach, a które domagały się urzędowego uznania niepodległości Polski. Petycye te posiadały szczególne znaczenie wobec naprężonej sytuacji wewnętrznej, wobec niechęci, panującej w Paryżu, a skierowanej przeciw rządowi, wobec wiązania

rance au lieu du mot *certitude*. J'ai cependant soutenu hier le mot *certitude* de toutes mes forces. Vous avez vu comment avait fini la séance. Aujourd'hui M. Casimir Perier est venu combattre encore le mot *certitude* et répéter que de ce mot dépendait la paix ou la guerre. J'ai parlé de nouveau pour refuter cette assertion. Je dois vous déclarer que beaucoup de députés de mes amis, hommes très estimables, m'ont témoigné que, si le mot *certitude* restait dans mon amendement, ils ne le voteraient pas. Il était donc très probable que mon amendement serait repoussé et que l'on adopterait celui de M. Bodin qui ne portait que le mot *espérance*. Connaissant cette disposition de la Chambre et lors que je descendais de la tribune, ayant rencontré le gén. Sébastiani qui s'avancait pour y monter, je lui ai demandé, s'il accepterait encore le mot *assurance* et il m'a répondu affirmativement. Ce mot exprimant en réalité la même pensée que le mot *certitude*, je suis remonté à la tribune et j'ai annoncé que je proposais ce mot *assurance* qui était consenti par le Gouvernement. Je m'attendais que nous allions avoir un vote unanime, ce que je trouvais admirable pour vous, mais voilà que M. de Tracy, avec d'excellentes intentions sans doute, est venu à mon grand étonnement reprendre le mot *certitude* et faire ainsi une espèce de scission. On a voté et mon amendement avec le mot *assurance* a eu une immense majorité, mais à mon grand chagrin, c'est un petit nombre de nos bons amis qui ont voté contre. Si j'avais fait de cette question une affaire d'opposition systématique mon amendement eût été rejeté. J'ai cru devoir sacrifier l'amour propre d'esprit d'opposition au véritable intérêt de la cause polonaise (podkreślenie nasze). Quoique quelques uns de nos amis m'aient blâmé, ma conscience me dit que j'ai fait une bonne action. J'espère mon cher général que vous serez de même avis et je serai bien aise de le savoir par vous même. Je vous renouvelle l'assurance de tous mes anciens sentiments d'estime et d'amitié pour vous comme de dévouement à la belle cause de votre patrie." Papiery Misji Polskiej w Paryżu, № 1128, 8 sierpnia 1831 — Archiwum Rapperswilskie. Odpis tego listu, łaskawie wskazanego przez p. Sokolnickiego, zawdzięczam uprzejmości p. Winiarskiego.

przez rewolucjonistów sprawy naszej ze sprawą francuskiej polityki domowej, wobec olbrzymiego rozgłosu, jakiego nabrały warszawskie wypadki 15 sierpnia.

Bignon, występując na mównicę parlamentarną 10 września, rozumiał doskonale sytuację i użył jej jako tła dla swoich wywodów. Jeżeli poprzednio nie domagał się natychmiastowego uznania niepodległości Polski, mówił, to dlatego, iż ministerium było temu przeciwnie, obecnie jednak sytuacja jest gruntownie zmieniona, a że rząd sam pragnął, ażeby w słowach króla widzieć zapewnienie (assurance) tej niepodległości, więc też najpewniej poczynił odpowiednie kroki dla jej uznania. Zmienione okoliczności: wyprawa francuska do Belgii, zatrważający rozwój cholery w Austrii i Prusach, sprawiają, że to, co było niepożądane poprzednio, staje się obecnie aktualne. Niestety, ministerium, zdaje się, nie wyzyskało korzyści, jakie dla sprawy polskiej płyną z zajęcia Belgii. Śmiałe, energiczne postępowanie Francyi w Belgii, wobec faktycznej bezsilności Austrii i Prus, pozwala na udzielenie pomocy Warszawie. „Niech Prusy, zarzucając swój wrogi stosunek do Polski, wynagrodzą nam nad Wisłą nasze umiarkowane postępowanie na Renie.“ Pozostawałaby tylko Anglia, zainteresowana w sprawie belgijskiej, która jednak, jak i Francya, nie chce wojny i obawia się jej naprawdę. Znaczenie Francyi będzie wtedy tylko utrwalone, jeżeli rząd, nie życząc sobie nawet wojny, będzie silny, jeżeli potrafi traktować inne państwa na prawach równych, jeżeli za ustępstwa żądać będzie ustępstw jednakowych, „a przecież—kończył—nasze żądania są natury świętej, gdyż przedmiotem ich jest Polska.“

Wobec zbliżającej się katastrofy, wobec blizkiego fatalnego rozwiązania wojny polsko-rosyjskiej, należy natychmiast uznać niepodległość Polski; będzie to czynem szlachetnym, który w razie zwycięstwa zdobędzie Francyi wdzięczność Polaków, w razie zaś klęski ułatwi przyszłe wobec Rosyi stanowisko.

Tak mówił Bignon poprzez ministrów do miasta, które niecierpliwie wyczekiwało wiadomości z Warszawy, a po jej otrzymaniu (15 września) zdenerwowane, zrozpaczone tragiczną wieścią, pobudzone proklamacyami przyjaciół ludu i odezwami *Tribuny* wybuchło pod hasłem: „Niech żyje Polska! Precz z Ludwikiem Filipem“—tak rozpoczął w formie, jak zawsze układnej, lecz bezwzględnej w treści, walkę nową, która w tydzień potem miała rozszaleć w Izbie, obradującej pod okiem wojsk, skonsygn-

wanych przez rząd silny, ogłaszający światu, iż „porządek panuje w Warszawie.“¹⁾

II.

Wśród deputowanych kierunku wyraźnie nam przychylnego, gdyż w Izbie dwa były kierunki, jak widzieliśmy, najwybitniejsze miejsce zajmowali Lafayette i Bignon. Stary obrońca wolności, towarzysz Kościuszki i Washingtona, generał Rewolucyi i więzień austriacki, dawny opozycjonista za cesarstwa, „bohater dwóch światów,“ człowiek, który od czterdziestu lat przewodniczył wszystkim rewolucjom, nie mogąc w żadnej odegrać roli decydującej, choć pełen jeszcze wielkiej ambicji, łączący zawsze wspinały frazes konstytuandy z humanitarnym, ale nie politycznym stanowiskiem, Lafayette używał powszechnego szacunku, ale nie miał wpływu faktycznego.²⁾ O całe prawie pokolenie młodszy, dyplomata napoleoński, deputowany opozycyjny za restauracyi, poważny kandydat na ministra po r. 1830, umysł jasny, logiczny i trzeźwy, człowiek praktyczny i ostrożny, nie zdolny do uniesień nadmiernych, zawsze pamiętający o korzyściach własnych i narodowych, nie zanadto opozycyjny,³⁾ Bignon miał duży wpływ na Izbę i na pewne odłamy opinii publicznej. To też, kiedy emigracya nasza zaczęła ustalać się w Paryżu i szukać silniejszego w społeczeństwie francuskiem oparcia, kiedy w stronnictwie Czartoryskiego próbowano nawiązać stosunki ściślejsze z Izbą, musiało zatrzymać się na Bignonie.

Za urzędowania swego w Warszawie był on wprawdzie Czartoryskiemu nieprzychylny i ostrzegał przed nim rząd swój ówczesny, ale to nie mogło mieć wpływu najmniejszego na obecny

¹⁾ *Moniteur*, 1831, 11 września, 20—23 września (dyskusya zaczęła się 19 skutkiem interpelacyi Manguina). *Lesur*, 1831, 270-8. *Beaumont-Vassy*, *Hist. de mon temps*, 1855, I, 437. *Tribune*, 1831, sept. Thureau Dangin, I, 389.

²⁾ Et. Charavay, *Le gen. Lafayette*, 1898, 521 i n. 538 i n.

³⁾ Bignon nie podpisał ogłoszonego 29 maja 1832 *Compte rendu* posłów opozycyjnych, choć stale głosował przeciw rządowi, rozumiejąc dobrze, że „les députés qui ont signé le *Compte rendu* sont hors de toute combinaison, possible tant qu'on sera sous l'impression des événements de juin,“ jak to sformułował *National*, w num. z 4 lipca t. r.

układ stosunków. Poprzednio służył cesarzowi, teraz Francji, co było złe dawniej, mogło jej dać dzisiaj korzyści. Stąd wszystkie zmiany w jego postępowaniu. W Badenie przecież domagał się ograniczenia wolności prasy, a w Berlinie i Wiedniu administrował krajami podbitymi. później zaś we Francji był gorącym rzecznikiem wolności prasy, obstawał za usunięciem z kraju wojsk obcych, zwalczał proskrypcye. Ułatwiało zaś sprawę zadowolenie miłości własnej. Dawnemu *roturier*owi pochlebiać musiał blizki stosunek, jaki wkrótce został nawiązanym z potomkiem Jagiellonów, synem kandydata na tron polski i kandydatem do tegoż tronu, a w ostatnich czasach prezesem rządu narodowego polskiego. Stosunek ten musiał się zacieśniać przez coraz liczniejsze sprawy wspólne, przez wspólne zabieganie w interesach polskich u działaczy francuskich i obcych.¹⁾ Ale prócz próżności w grę wchodziła także ambicya i wyrachowanie. W czasach, kiedy o powodzeniu politycznem decydowały salony,²⁾ znajomość z Czartoryskim, spowinowaconym z całą arystokracją Europy, dawnym ministrem rosyjskim, musiała tem większe posiadać znaczenie.

Bignon nie przestał wierzyć, że otrzyma jeszcze tękę ministeryalną. Po śmierci Cas. Periera, nad którego grobem przemawiał w szeregu innych domniemanych i istotnych jego spadkobierców³⁾, nazwisko Bignona wpływa — w nowej kombinacji

¹⁾ Charakterystycznym jest w tej mierze list następujący: Bignon do Czartoryskiego b. d. (1832, grudzień). „M. le P-ce Czartoryski saura que nous dinons ensemble le 11 chez M. Fergusson, mais auparavant je suis bien aise de lui faire part du langage que m'a tenu M. Fergusson dans une rencontre à la Chambre des députés. En Angleterre faire à l'adresse un amendement pareil à celui que nous avons fait en France, serait une sorte d'hostilité contre le ministère, mais en cherchant ce que l'on pourrait faire d'équivalent, il a été entendu que faire déclarer par le ministère qu'il ne reconnaît pas l'ordre de choses actuellement existant en Pologne serait aussi un acte d'une grande importance. M. Fergusson pense que les ministres, interpellés à cet égard dans la discussion de l'adresse n'hésiteraient pas à faire la déclaration dont il s'agit, et il m'a paru disposé à leur faire cette interpellation. J'écris à M. le P-ce Czartoryski dans la crainte de ne pas le rencontrer en me présentant chez lui. Je lui renouvelle etc.“ Muz. ks. Czartoryskich w Krakowie, 5451. Wszystkie listy Bignona do ks. Adama wzięte z tego tomu.

²⁾ Beaumont Vassy, *Les salons de Paris et la société parisienne sous Louis Philippe I.* 1836, 258-9.

³⁾ „Adversaires de tribune tout en combattant le ministre (mówi o sobie i swych przyjaciółach politycznych), ils étaient encore les amis de l'hom-

ministeryjalnej, utworzonej przez *Constitutionnel'a* ¹⁾. Umocniony w swej nadziei, zamierza korzystać ze stosunków ks. Adama.

Wybierając się na wiosnę 1834 r. do Londynu, w tej myśli, że podróż ta ostatecznie zdobędzie mu zaufanie sfer miarodajnych, pod pozorem rozwinięcia zabiegów o sprawy polskie, prosi Czarotorskiego o polecenie.

„M. Bignon—pisze do ks. Adama w liście, odebranych 19 maja 1834 r. — est venu pour présenter ses respects à M. le P-ce Czarotorski et lui demander ses commissions pour Londres. M. Bignon sera très obligé à M. le P-ce de vouloir bien lui faire connaître quels sont les amis de la cause polonaise aux quels il devra particulièrement parler de lui. Il prie etc.

„Lundi. M. Bignon part après demain mercredi d'une bonne heure.“

Książę poparcia nie odmówił. Bignona przyjęto w Anglii nader przychylnie, podejmowano go tak samo ²⁾, jak Dupina, który miał polecenie od samego króla i od ks. Adelaidy ³⁾.

Po powrocie przesłał księciu Adamowi dokładny opis swej podróży.

„Gdybym mógł się zatrzymać przez godzin 24 w Paryżu — pisał z Verclives, w liście, otrzymanym 28 czerwca 1834 r. — nie omieszkałbym stawić się u Pana (chez vous), ażeby mu raz jeszcze podziękować za łaskawe listy, które mi Pan dał do Anglii. Wróciłem 17-go zrana, tegoż samego dnia ruszyłem na wieś, aże-

me, les amis du bon citoyen. Eux aussi, en suivant une autre voie, ils aspirent au même but que lui, à la consolidation du grand oeuvre de la revolution de juillet.“ B. nawoływał do jedności. *Constitutionnel*, 1832, 21 maja.

¹⁾ Guizot do Barante'a, 8 lipca 1832 r. Barante, V, 9—10.

²⁾ „Londres, 10 juin, 1834. Nous avons hier un dîner arlequin; M. Dupin, les jeunes Ney et Davout, M. Bignon et le g-al Munier de la Converserie. Après le dîner, il m'a fallu subir la douceuse fausseté de M. Bignon. Il me rappelle le mielleux et le subalterne de Vitrolles, il en a un peu la figure, beaucoup le parler et surtout le maintien. Je trouve cependant la conversation de M. Vitrolles plus animée et son imagination plus brillante. Du reste, j'ai causé avec M. Bignon hier pour la première fois et j'aurais tort de le juger sur cette seule conversation, mais il est impossible de ne pas être frappé de sa manière calme et soumise qui met, tout d'abord, en défiance.“ Dino. *Chronique de 1831 à 1862*. 1909, I, 119—120.

³⁾ Ks. Adelaida do Talleyranda, 23 maja 1834 r. Ctesse Mirabeau *Le P-ce de Talleyrand et la maison d'Orleans*, 1890, 102 № 20. Por. list z 22 czerwca, tamże, 115 № 23.

by na 21-go być w stolicy mego okręgu. Wybór mój był zadawalającym, jak tylko sobie tego życzyć można. Na 294 głosy otrzymałem 262.

„Listy pańskie, mój książę, były, jak tego należało się spodziewać, nadzwyczaj przyjemne osobom, do których były adresowane. Miałem tego dowód bezpośredni w najlepszym przyjęciu, jakie, dzięki nim, gotowano mi wszędzie. Nie złożyłem ich podczas pierwszego pobytu w Londynie, zatrzymałem się wtedy tylko przez dni dwa. Pojechałem wprost do Manchesteru i Liverpoolu, skąd wracałem na Oxford, na kilka dni przed komedią pedantyczną (comédie pedantesque), tam odegraną. Miałem możliwość oglądać przygotowania do niej. Natychmiast po powrocie do Londynu złożyłem kilka listów pańskich wraz z moją kartą wizytową; zaraz spotkały mnie dowody uprzejmości (prévenances), które—zaznaczyć muszę—zawdzięczam tylko Panu. Otrzymałem zaproszenia na obiady od margrabiego Landsdowne'a i lorda Dudley Stuarta. Ks. Sutherland, któremu następnie posłałem kartę i list, w dwie godziny potem zaszedł do mnie, ażeby mnie zaprosić do siebie. Zaprosin tych przyjąć nie mogłem, wobec poprzednio przyjętych. Rozumie książę, że wszędzie mówiono mi o Panu z wysokim szacunkiem, który mu się należy, i o sprawie polskiej z żywym zainteresowaniem. Wreszcie i Anglia uczyniła akt publiczny akt rządowy, przynoszący jej zaszczyt, sam przez się ważny, w równym stopniu, i więcej może jeszcze konieczny dla tych z pańskich nieszczęśliwych rodaków, którzy zamieszkują ten kraj. Zasitek jest dobrem, ale znacznie większem dobrem jest polityczny charakter tego kroku. Podróż ta była dla mnie źródłem wielkiej przyjemności. Na obiadach u lorda Hollanda i lorda Palmerstona ¹⁾ poznałem inne angielskie znakomitości, lordów Greya i Broughama. Sześć czy siedem dni, które spędziłem w Lon-

¹⁾ Londres, 15 juin, 1834. M. Bignon le jour où il a dîné avec M. de Talleyrand chez lord Palmerston a dit au premier, qu'il désirait lui parler et avec un air et un ton mystérieux et intime il lui a dit: „Maintenant que j'ai dîné chez lord Palmerston, on ne dira plus à Paris que je ne puis pas être ministre.“ Cette étrange conclusion a été suivie de blâmes indiscrets contre le cabinet français et d'un peu de surprise que M. Dupin n'eût pas fait à M. de Talleyrand des ouvertures du même genre. Il faut convenir que rien ne saurait être plus présomptueux que cet esprit, soit qu'il prenne la forme douce et souple de M. Bignon, soit qu'il revête la forme doctorale et rude de M. Dupin. *Dino* I, 125. Talleyrand uchodził za rzeczywistego kierownika polityki zagranicznej Francji, a przez ks. Adelaidę miał istotny wpływ u dworu.

dynie, były znakomicie wypełnione. Pomimo zwykłego zewnętrznego chłodu (*réserved*) wszędzie spostrzegałem w głębi gorące oburzenie na Rosyę. Pomimo to—o ile mogę sądzić z własnej obserwacji—w Anglii oburzenie może trwać długo, nim się zdecyduje działać. Nic dla was nie zrobią, jako dla celu; uważają was za środek, a to już jest czemśkolwiek...”

Bignon wrócił pełen zadowolenia i zachwytu. Liczył, że nawiązane stosunki i poczynione kroki ułatwią mu osiągnięcie upragnionego celu. Ale i tym razem przy nowem w lipcu formowaniu gabinetu miał pozostać pominiętym.

Na zacieśnienie stosunków z Bignonem poważny także wpływ miała ta okoliczność, że do niego nie stosowały się pełne słuszności słowa żalu ks. Adama: „Nie wiem — pisał on w r. 1832 do Zamoyskiego—czy między wyższemi tutaj jedna choćby jest osoba, na której szczerą przychylność możnaby liczyć. Prędko się męczą. Mnie bardzo już ciężko być zawsze suplikantem i pukać, gdzie nie otwierają. Radbym odpocząć przez pół roku. Wszelako ustawać nie należy.“¹⁾

Bignon należał do tych nielicznych, którzy działali nie tylko z wyrachowania, ale i z prawdziwej, dawnej życzliwości dla Polaków. Nie darmo spędził wśród nas najlepsze męskie lata swoje, pełne energią zaprawionej pracy. Jeżeli usiłowano nań zważyć winę za wojnę 1812 r., to oskarżenie to było bezzasadne, bo czyż podrzędny, choć nawet samodzielny sługa napoleoński, mógł być sprawcą konfliktu francusko-rosyjskiego? Co jednak nie ulega wątpliwości, co mu zyskało pochwałę i nagrodę Napoleona, to niewyczerpana zapobiegliwość, z jaką prowadził robotę wywiadowczą na kresach państwa rosyjskiego, z jaką organizował wielkie biuro informacyjne w Warszawie, z jaką pobudzał do samoistności społeczeństwo nasze, przygotowując je do ostatecznego wystąpienia. Był u nas siewcą nadziei w r. 1811 i głóścicielem zwycięstwa, które przyjść nie miało. Był nie tylko tym, który szykował do walki, był także i tym, który w dobie nieszczęścia zachęcał do wytrwania, który własnym przykładem do tego zagrzewał. Niewątpliwie najwyższym momentem napięcia

¹⁾ Gadon, *Emigracya*, II, 223. Por. słowa Ad. Mickiewicza w liście do Lelewela, 23 marca 1832 r.: „Mnie się zdaje, że jedni ufają rządowi francuskiemu, drudzy narodowi, albo ludziom *du mouvement*. Ja oba te stronnictwa francuskie mam za zgraję egoistów zdemoralizowanych i nic na nich nie liczę.“ *Korespondencya* Ad. Mickiewicza, 1880, I, 94.

energii moralnej w całym życiu Bignona była wiosna r. 1813: bez siły faktycznej, odcięty od obozu głównego francuskiego, w obliczu jeszcze ukrytego wroga austriackiego i nieprzyjaciela rosyjskiego, u boku rozdieranego walką wewnętrzną ks. Józefa, w poczuciu powagi, którą reprezentuje, w zrozumieniu roli, jaką w ogólnem ukształtowaniu odgrywa, w przeświadczeniu o zupełnej słuszności swego stanowiska, Bignon umacnia wodza polskiego w postanowieniu, pokrzepia wojska nasze, olśniewa towarzystwo polskie, pilnuje przyjaciół i wrogów, jest wszędzie, widzi wszystko i na chwilę nie traci pewności. Jeśli wojsko nasze wytrzymało przy Napoleonie do końca, była w tem zasługa ks. Józefa, ale była także wielka część pracy Bignona.

Raz jeden w ciągu długiego życia zdobył się na działanie bezwzględnie śmiałe, na akcyę niebezpieczną dla siebie, groźną i stanowczą. I to go musiało tem silniej przywiązać do narodu, wśród którego przeżył gorącą chwilę miłosnego upojenia ¹⁾, w którym znalazł przyjaciół serdecznych a dozgonnych.

¹⁾ Łubieński do Brezy, 19 nov. 1812: „P. Miège odwoził do Wilna Panią Rautenstrauchową, Bignonowi, nie musiał nic nowego przywieść...“ Bibl. Krasieńskich, 4000. Pradt uważał za stosowne przesłać z powodu tego stosunku formalne (własnoręczne) oskarżenie do Wilna, do Bassany, 5 list. 1812 r.: „J'ai cru qu'il était de mon devoir de transmettre à V. E. des notions soigneusement recueillies sur une personne que sa nouvelle situation doit souvent placer sous vos yeux. M-me Rauthenstrauch est fille de M. Djezanouski gentilhomme Polonais qui vit obscurément à Siedlce. Sa mère habite Varsovie avec deux autres de ses filles; leur situation y est fort triste. M-me Rauthenstrauch a été élevée chez la Princesse Czartoryska, qui lui a fait présent d'un trousseau de 5000 florins, seule dote qu'elle ait eue, en se mariant. M-r Rauthenstrauch suivait la carrière militaire et se trouve aujourd'hui sous chef de l'état major du P-cc Poniatowski. Il appartient à une famille de négociant de Varsovie. A son retour d'un voyage à Paris sa femme se plaignit de ses procédés, se retira dans un couvent et demanda le divorce. Le juge parvint à rapprocher les époux; elle rentra dans sa maison, mais quelques jours après elle forma une nouvelle demande pour cause de mauvais traitement quoiqu'elle continua à habiter la maison de son mari. Celui-ci se rendit à l'armée sans s'opposer au divorce. Il reçut mille ducats pour laisser courir l'action et dans le mois de juin dernier, le divorce fut prononcé... Elle n'a aucune fortune... Son mari jouissait de près de 30,000 f. de rentes. Elle a deux enfants.. On a vu avec quelque surprise qu'elle usait des voitures et gens de M. Bignon. Quelques relâchés que soient la haute société et les casuistes de Varsovie, l'ensemble de cette conduite n'a pas échappé à quelque blâme et M-me Rauthen-

Zawiązana w czasach szczęśliwych, głównie za pobytu Bignona w Wilnie i przedewszystkiem z Litwinami, umocniona w okresie ciężkim odwrotu z pod Moskwy życzliwą jego opieką, przyjaźń ta przetrwała czasy Królestwa, a obecnie na emigracyi nakładała nań obowiązki, od których nigdy się nie uchylał ¹⁾).

Był on nietylko życzliwym przyjacielem Polaków, był także gorącym Polski rzecznikiem. Pod tym względem zdanie jego nie uległo, jak tyle innych zmianie: od początku, od chwili zachwiania się potęgi napoleońskiej, od memoriału sierpniowego z r. 1813, poprzez publicystykę czasów restauracyjnych, aż do walk politycznych za monarchii lipcowej, domagał się rzeczywistej, faktycznej obrony Polski, gdyż w odbudowaniu jej znajdował zawsze zaślubienie najżywoźniejszym interesom Francyi, widział odrodzenie wpływów swej ojczyzny na północy Europy. Poza praktycznymi względami, do zajęcia takiego stanowiska skłaniały go własne jego poglądy filozoficzno-moralne, których ostateczne sformułowanie dał w przemówieniu publicznem na posiedzeniu zjednoczonym 5 akademii 2 maja 1835 r. Zastanawiając się nad stosunkiem polityki do moralności, ograniczając się do polityki zewnętrznej, widział wyraźny rozdźwięk między tem, co winno być jej celem (zachowanie — conservation), a tem, co jest jej celem zwykłym (zabór — envahissement). Powodzenie tłumaczy i uzasadnia wszelki gwałt. „Jedno słowo wystarcza, ażeby usprawiedliwić wszystko — jest nim *racya stanu*.“ A jednak, wieleż to razy wojna z ambicyi musi szukać pozorów słuszności i ukrywać się pod przyzwoitem przybraniem. „Mojem głębokim przekonaniem jest—mówił Bignon—że w każdym kraju, przy każdym systemie rządzenia dawać polityce zagranicznej kierunek

strau(ch) était peu recherchée dans les sociétés qu'elle fréquentait beaucoup et que sûrement elle ne déparait point. Le divorce civil n'a pas encore (été) confirmé par la juridiction religieuse. Je ne connais point l'esprit de cette dame. J'ai entendu dire qu'elle était très bien. Agréez etc.“ Arch. min. spr. zagr. w Paryżu. Pologne, 332 f. 263—4.

¹⁾ Gen. Pac w czasie ostatniej swej podróży przesłał Bignonowi testament z Korfu 25 kwietnia 1835 r., prosząc go „à l'époque de sa mort constatée de l'ouvrir en présence de M. le gen. Kniaziewicz et de M. le Cte Louis Plater.“ Otrzymawszy wiadomość o śmierci Paca, Bignon zakrzętnął się około wypełnienia jego woli, pisywał listy, jeździł do Paryża i t. d. Patrz jego korespondencyę z Kniaziewiczem, 10 oct. 1835, i Platerem, 24 paźdz., 3, 5 listop. i bez daty (dimanche soir) 1835. Autografy rapperswilskie.

zgodny z moralnością i sprawiedliwością, t. j. z interesem ogólnoludzkim, byłoby nie tylko dziełem zasługującym na pochwałę ludów i historii, ale także systemem mądrym, oczywiście zdolnym do zapewnienia rządowi, któryby mógł się tego podjąć, korzyści istotnych, solidnych, trwałych, z których prawdziwie mógłby być dumny.“¹⁾

Interes, sympaty, poglądy moralne i polityczne sprawiły, że dotychczasowo samorzutny obrońca Polski, Bignon, przekształca się w Izbie francuskiej w urzędowego przedstawiciela naszego, który występuje z inicjatywą ks. Adama.

III.

Wszystko, co działo się w Polsce po upadku powstania, było rezultatem przewagi fizycznej, ale nie miało charakteru prawa. Prawną podstawę istnieniu Królestwa dał traktat kongresu wiedeńskiego, który obowiązywał, dopóki kontrahenci nie zmienią jego treści. W zachowaniu tego traktatu zainteresowane są wszystkie w nim biorące udział państwa, które — z mocy tegoż traktatu — powołane są do jego obrony. Oto podstawa prawna dla wystąpień rządów i organów władzy państw traktatowych, oto również punkt wyjścia dla działań w parlamentach tychże państw.²⁾

Taką była zasadnicza teza polityki Czartoryskiego, który w zastosowaniu jej do życia musiał korzystać ze wszystkich sposobności i poruszać wszelkie sprężyny. W parlamencie chwilą odpowiednią do działania były narady nad adresem, moment wypowiedzania się przedstawicielstwa narodowego w rzeczach ogólnej polityki państwa. Pierwszą po powstaniu taką chwilą we Francji były obrady parlamentu w końcu r. 1832. Nie omieszka no z niej skorzystać, używając sił i talentu Bignona.

¹⁾ *Mémoire sur la conciliation progressive de la morale et de la politique*, lu dans la séance du 31 janvier 1835. Mémoire de l'Ac. R. des sciences morales et politiques, 1837, I, 365—386.

²⁾ „Nasi wiele budują na rozprawach parlamentu, które, jak mi się widać, skończą się na głupstwie. Nie słyszałem, żeby naród jaki rozprawami i notami dyplomatycznymi wskrzeszono. Wszakże ponieważ nic nie mają do roboty, niech gadają.“ Ad. Mickiewicz do Józefa Grabowskiego, 16 czerwca 1832 r. *Korespondencya*, I, 90.

W komisji parlamentarnej sprawa poszła gładko. O rezultacie narad donosił Bignon Czartoryskiemu (bez daty): „J'ai l'honneur d'envoyer à M. le P-ce Czartoryski, le passage de l'adresse qui concerne la Pologne. Le voici l'intérêt que la France porte à un peuple héroïque s'accroît avec les malheurs qui l'accablent. Si la voix de la politique Européenne n'est pas écoutée que le cri de l'humanité soit du moins entendu.“

„Je ne sais trop, si c'est un bien que l'introduction de ce passage dans l'adresse. J'ai peur qu'il ne rende plus difficile l'adoption d'un amendement. Je prie etc.“

Z inicjatywy Czartoryskiego Bignon wzmacnił jeszcze wniosek komisji na posiedzeniu Izby 3 grudnia 1832 r., wprowadzając formułę dodatkową (amendement): „L'intérêt que la France porte à un peuple héroïque—brzniał projekt Bignona—s'est accru avec les malheurs inouïs qui l'accablent. La cause si chère de la nationalité polonaise, garantie par le droit des gens et par les traités, n'aura pas cessé d'occuper la pensée du gouvernement. Les faits changent; la justice, le droit ne changent pas. Si la voix de la politique européenne qui, nous en avons la confiance, ne parlera pas toujours en vain, n'a pu jusqu'à présent être écoutée, que dès aujourd'hui du moins le cri de l'humanité soit entendu.“

Po obronie Bignona, który rozwinął zawarte w projekcie swym myśli, głos zabrał Lafayette. Stary generał popierał wniosek projektodawcy opisem okropnego stanu rzeczy w Polsce. Pomimo opozycji ministra spraw zagranicznych, który w interesie Polski jakoby zalecał formułę komisji, wniosek Bignona został przyjęty przez Izbę prawie jednogłośnie. ¹⁾

Z biegiem czasu stosunek do Polaków zmienia się zasadniczo: podejrzani przyjaciele w stronnictwie rządowym (Thiers, Guizot) przestają ukrywać istotne uczucia swoje, prawdziwi nawet przyjaciele stają się ostrożni, odwraca się sympatya salonów. Polaków zaczynają unikać za łączenie się z rewolucjonistami (pogrzeb Lamarque'a, wyprawa frankfurcka) w równym stopniu, jak i za nieprzejednane stanowisko formalno-prawne w stosunku do Rosyi. „Enfin, ces Polonais — pisze 13 lutego 1834 r. hrabina Boigne do Barante'a ²⁾—qui inspiraient un intérêt général sont devenus l'exécration de tous les lieux, où on leur a accordé

¹⁾ *Moniteur*, 1832, 4 dec. Lesur, 1832, 260—1. Lafayette, *Memoires*, VI, 699—701. Gadon, II, 223—4.

²⁾ Barante, V, 100—1.

l'hospitalité avec tant d'empressement.“ Co dawniej obiecywało popularność i łatwe korzyści, staje się niebezpieczeństwem.¹⁾ Obecnie przed nową dyskusją nad orędziem, w r. 1834, należy dobrze napracować się, aby zaskarbić sobie członków komisji parlamentarnej.

„Mon Prince, je me suis entretenu — pisze Bignon w liście, odebrany 26 lutego 1834 — avec plusieurs membres de la Commission, M. M. Clément qui en est le président, M. Félix Réal et M. Dusserre. Probablement c'est ce dernier qui sera rapporteur. Le rapport sera fait dans des termes convenables. Je leur ai fait sentir, combien il serait odieux de détruire par la forme la réalité du bienfait. Ils sont parfaitement d'accord là dessus, mais quant à faire des propositions précises, celà les embarrasserait un peu.“ Uważa więc za pożyteczne użycie osobistego wpływu księcia. „Quoique M. Dusserre m'ait dit qu'il ne voulait pas que vous prissiez la peine de lui faire une visite, je suis certain cependant qu'il en serait flatté.“

Sprawdziły się przewidywania Bignona. Kiedy punkt 16 adresu, dotyczący spraw zagranicznych, przyszedł na porządek dzienny Izby 7 stycznia 1834 r., on znowu musiał głos zabierać.²⁾ Przemówienie Bignona miało znaczenie doniosłe. Opowiadano sobie, że skierowane będzie przeciw ministeryum, a że król żywił wyraźną niechęć do Brogliego, tłumaczono sobie wystąpienie Bignona, jako nowy atak na gabinet.

Bignon rozwijał tylko § 16 odpowiedzi Izby, który brzmiał, jak następuje: „Francya w swym charakterze kontrahentki w wielkich traktatach europejskich, z wyjątkową bezinteresownością ponosiła i ponosi skutki stanu posiadania tak wyraźnie na jej niekorzyść utworzonego (si onéreusement établi à son préjudice); nie uczyniła żadnego wysiłku, aby go zmienić, a przez to samo nie uznała i nie może uznać prawa, przysługującego któremukolwiek innemu

¹⁾ Kiedy Montalembert chciał w r. 1833 utworzyć dziennik w obronie Polski, napotykał wszędzie na niechęć. „Lafayette, Tracy, Arago, Barrot ont été fort bien — pisał do Lamennais'go, 23 maja — Bignon a reculé, Mauguin a été d'une suffisance et d'une insolence à la fois pitoyable et indigne. En général ce sont de bien pauvres gens.“ Bez poparcia dziennik wkrótce upadł. Lecaunet, *Montalembert*, 1895, I, 361.

²⁾ *Moniteur*, 1834, 8—9 styczeń. Lesur, 1834, 34 i n. Broglie do Talleyranda, 16 stycznia 1834 r., Talleyrand, *Memoires*, V, 309—311. Stanowisko króla, Martens, *Recueil des traités*, XV, 155—6. Odilon-Barrot, *Mémoires posthumes*, 1875, I, 265.

nocarstwu, do zniesienia lub zmienienia bez niej tego, co było uregulowane z jej współudziałem, lub co istnieje za jej uprzednią zgodą. Polega na mądrości J. K. M., skłonnej, jak jest istotnie, do wszystkich ofiar, którychby wymagały zachowanie (conservation) jej interesów i obrona jej praw.“ Jako mówca komisji, zaznaczył, iż słowa te dotyczą Polski, że według niej, a stosownie do protestów ministeryum brytyjskiego i francuskiego, wszystko, co dzieje się w Polsce wbrew traktatom, jest faktem materialnym, ale nie opiera się na prawie. „Gdyby Polacy sami zerwali łańcuchy swoje, gdyby inne narody wyzwoliły ich z pod jarzma żelaznego, dopiero wtedy prawo powróciłoby do swego panowania, dopiero wtedy sprawiedliwość zastąpiłaby samowolę (usurpation), ludzkość zwyciężyłaby barbarzyństwo.“ Nie wszystko jeszcze dla Polaków stracone: zostaje im patryotyzm, duch narodowy, który przetrwa wszelkie prześladowania, zostają im: życzliwość niektórych monarchów, sympatye ludów, opatrność i przyszłość. W Polsce dokonało się nieszczęście, gdzieindziej wisi jego groźba. Francya nie uzna zamachów nowych na niepodległość Turcyi lub Włoch, jak nie uznała stanu rzeczy w Polsce. Jest to protestem prawa przeciw faktom, aktem nie do pogardzenia. O wykonaniu winien myśleć rząd, do Izby zaś należy zaznaczenie, że zawsze, kiedy rząd zechce pójść po linii tego wskazania, znajdzie on poparcie w przedstawicielstwie narodowem.

Brogie, widząc, że mowa nie jest skierowana przeciw gabinetowi i nie odczuwając ukrytych uderzeń, zwłaszcza wobec wielkiej powagi jej tonu, wyraził swoją solidarność z zasadami, wygłoszonemi w imieniu komisji, i podziękował Bignonowi za umiarkowanie. Tymczasem zrozumiano ministra w ten sposób, że on solidaryzuje się z całym przemówieniem Bignona, i z tego oświadczenia wyprowadzono daleko sięgające konsekwencye.

Nazajutrz, poruszenie ogarniało całą Izbę. „Wyobraźnie rozgorzały, wszystkim zdawało się, że za tydzień będziemy mieli wojnę z całą Europą,“ mówi Brogie, który pomimo choroby przyszedł do Izby, a niepewną odpowiedzią na gorącą mowę Mauguina o mało nie doprowadził do upadku własnego gabinetu.

Po uciszeniu burzy, Odilon Barrot, pozostający w styczności z ks. Adamem, wniósł uzupełnienie do § 16 projektu komisji. Jego *amendement*, które brzmiało: „La chambre des députés a l'assurance que le gouvernement de V. M. a protesté contre l'état actuel de la Pologne et qu'il reclamera toujours avec force et persévérance en faveur de cette brave et malheureuse nation,“ i przyjęte zostało jednomyślnie, nie miało tak ostrej formy, jak

poprawka Bignona z przed dwóch lat i przeszło dzięki osłabieniu pozycji ministryum. Jest to jeszcze jednym dowodem słabnącego zainteresowania sprawami naszymi we Francyi.

Tylko silny bodziec z zewnątrz mógł wpłynąć na zmianę jej stosunku do sprawy polskiej, tylko nowy wstrząsający opinię akt mógł przewyciężyć prąd, jaki usiłował polityce swojej zaszcześcić Ludwik Filip. Król nosił się z myślą odnowienia sojuszu pięciu mocarstw i starał się przedewszystkiem o względy Petersburga. Równocześnie cesarz Mikołaj wiązał nowe spoidła, któreby umocniły łączność trzech państw samowładnych, i w tym celu jeździł do Cieplic (1835 r.). W drodze powrotnej zatrzymał się w Warszawie, gdzie właśnie ukończono budowę cytadeli, i zgodził się przyjąć deputacyę od miasta. Nie pozwolił jej jednak przemawiać, a na posłuchaniu (16 paźdz. 1835 r.) rzucił pamiętne groźne słowa, które w formie następującej obiegły Europę: „Jeżeli będziecie upierali się przy zachowaniu waszych snów o narodowości odrębnej, o Polsce niepodległej, możecie ściągnąć na siebie tylko wielkie nieszczęścia. Kazałem zbudować tu cytadelę i uprzedzam was, że przy najlżejszym buncie każę zbombardować miasto, zniszczyć Warszawę. Możecie być pewni, że ja nie będę jej odbudowywał.“

Słowa te wzbudzały wszędzie naprzód zdziwienie, potem przerażenie i oburzenie. Początkowo podawano w wątpliwość wiarygodność samego przemówienia; licząc się z opinią Anglii, nawet pani Lieven nie chciała im wierzyć, później trudno było zaprzeczyć. *Journal des débats* wystąpił z ostrymi artykułami przeciw Rosyi. Rocznicę 29 listopada obchodzono w Paryżu ze zwiększonym w tym roku zapalem. Pewne było, że wbrew życzeniu króla, który pragnął sprawę polską zupełnie usunąć z dyskusyi nad adresem, aby nie podsycać napróżno „złudzeń polskich,“ sprawa ta miała z większą, niż poprzednio, wypłynąć siłą. ¹⁾

¹⁾ A. Stern, *Geschichte Europa, von 1830 bis 1848*, 1911, II, 243--5. Martens, *Recueil des traités*, XV, 164. Beaumont-Vassy, *Hist. de mon temps*, 1856, II, 387 i n. Thureau Dangin, II, 419 i n. *Journal des débats* ogłosił przemówienie, jako wypowiedziane 22 paźdz., w numerze z 13 listopada 1835 r., poświęcając sprawie tej kilka numerów. Za nim powtórzyły inne pisma francuskie i angielskie. Lievenowa do Grey'a, 16 list., Guy le Strange, *Correspondence of Princess Lieven and Earl Grey*, 1890, III, 165--6. Grey pisał 24 listop.: „The effect of the speech assigned to your Emperor has not been less here than in France You will have seen the comments on it in the *Times*, now the chief paper of the Tories. All I will permit myself to say upon it is, that I am sincerely

Ks. Adam, nieobecny w Paryżu w chwili zbierania się Izby, nie omieszkał skorzystać z nastroju, jaki panował w tym czasie, listownie zachęcając Bignona do tem energiczniejszego wystąpienia z obroną praw Polski. ¹⁾

Zachęta, upoważnienie do działania przychodziło w samą porę. Bignon szykował się do nowego ataku na gabinet: połowicz-

glad, to hear that there are still doubts of its authenticity, and that I shall rejoice to find that the version given of it is altogether false, or greatly exaggerated." lb., 168.

1) „Ne pouvant me trouver à Paris à l'ouverture des Chambres—pisał do Bignona 21 grudnia 1835 r. z Howich—je suis contraint de vous importuner de ces lignes. Elles seront probablement superflues, car je me flatte qu'appelé toujours à traiter la partie diplomatique dans l'adresse, vous n'oubliez pas cette fois la cause de la Pologne, pas plus qu'aux autres sessions des Chambres. L'Empereur de Russie a pris récemment le soin de faciliter cette tâche et de rappeler notre cause à l'attention sérieuse de l'Europe. La Chambre qui n'a jusqu'ici laissé échapper aucune occasion de manifester sa sollicitude à notre égard, sentira qu'aujourd'hui, c'est sa propre dignité et celle de la France qui réclament une réponse énergique quoiqu' indirecte au discours hautain de Varsovie. Personne assurément ne saura mieux que vous, Monsieur, relever l'impression unanime en Europe qu'a fait naître la teneur de ce discours et montrer combien ces expressions deviennent offensantes pour la France quand on le compare à des passages contenus dans les adresses des années précédentes. (W tym samym duchu napisany był artykuł w *Journal des débats*, 19 listop. 1835 r., widocznie przez ks. Adama inspirowany.) Personne comme vous ne réunit à une haute habileté diplomatique d'anciens sentiments d'attachement à la cause de la Pologne et n'a démontré avec une éloquente plus concluante que dans cette cause se confondent tout à la fois les intérêts de la France, ceux de la justice, du droit des gens et du repos de l'Europe.

„Il est donc juste dans cette circonstance de s'en remettre avec confiance à votre sagesse et à votre zèle pour la dignité et les intérêts de la France dont la cause polonaise ne saurait être séparée. J'ajouterai cependant encore un mot. J'ai lieu de croire que les deux cabinets de Paris et de Londres ont dirigé récemment leur attention sur la convenance qu'il y aurait de faire résider près du gouvernement de la République de Cracovie des consuls de France et de l'Angleterre. Cette mesure dont l'importance est plus grande qu'elle ne paraît au premier aspect, a été négligée ou retardée par le désir, je suppose, de ne point mécontenter la Russie.

„Ce serait le moment de l'exécuter; elle serait aujourd'hui une réponse très pacifique quoique explicite au discours de l'Empereur Nicolas, car elle serait un témoignage de l'attention redoublée que le gouvernement veut porter désormais sur tout ce qui touche la Pologne et la stricte exécution des traités à son égard. Le gouvernement a négligé jusqu'à présent de veiller

ne powodzenie na wiosnę r. 1834 i połowiczne przytem rozwiązanie sprawy odszkodowania amerykańskiego ¹⁾ musiało mu dać wiarę w zwycięstwo ostateczne, tym razem z osiągnięciem zamierzonego celu. List ks. Adama dawał trwalszą moralną podstawę jego działaniu.

Wśród całego szeregu mówców, biorących udział w dyskusji nad sprawą polską (11 — 13 stycznia) głos zabrał i Bignon, tym razem mierzący wprost w chwiejące się ministeryum. Mówiąc z uznaniem o wielkim postępie w dziedzinie materyalnej, jaki kraj osiągnął w ostatnich latach, Bignon nie widzi zaspokojenia potrzeb moralnych Francyi, zaspokojenia możliwego tylko w łączności narodu a rządu. Tej łączności niema. Rząd chciał panować przy pomocy strachu (*par la crainte*), teraz zrozumiał, że tak dalej być nie może, i opowiada o polityce pojednania. Ale żeby nie było wątpliwości pod tym względem, należy kwestyę postawić jasno i wprowadzić amnestyę dla przestępstw politycznych.

„W zakresie polityki zagranicznej postępowanie rządu również mieści w sobie cały szereg nieporozumień, takim błędem była polityka w stosunku do Ameryki, czego dowodem ostatnie jej orędzie, będące w gruncie rzeczy wielką nauką, jaką naród wolny daje narodowi nie wolnemu.“ Ostatnie słowa wywołały oburzenie Izby; Bignon poprawił więc ten ustęp, uderzając silniej jeszcze w gabinet. „Jest to nauka—mówił—którą naród wolny daje narodowi, posiadającemu rząd, źle rozumiejący wolność.“ Poważne trudności nie leżą jednak poza Oceanem, tkwią w Europie, w kwestyi wschodniej i polskiej, o której orędzie królewskie nic nie mówi. Bignon nie potępia tego milczenia, lecz zaznacza: „Obowiązki nasze są różne od obowiązków ministeryum i może

à la conservation du seul point de la Pologne, laissée en possession de son indépendance, mais trop faible pour la conserver, si les puissances signataires du traité de Vienne ne la protègent contre la haine ou la mauvaise volonté des trois puissans voisins de cet état. J'ignore, s'il serait convenable de faire mention à la Chambre de cette circonstance. En tout cas, je prends la liberté de vous recommander beaucoup un article du *Polonais*, tiré d'un journal anglais qui traite cette question et vous sera présenté avec cette lettre. *Le Courrier français* du 14 contient un article sur le même sujet et vaut la peine d'être lu.“

¹⁾ Mowa Bignona w sprawie odszkodowania amerykańskiego i wywołane przezeń głosowanie było przyczyną zmiany w gabinecie Soult: Brogliego 4 kwietnia 1834 r. zastąpił de Rigny. Lesur, 1834, 158—162.

dla samego rządu nie będzie bez korzyści, jeżeli skorzystamy z inicjatywy, którą nam pozostawił.“ Wskutek tego proponuje uzupełnienie odpowiedzi punktem o Polsce. W innych czasach wystarczyłoby tylko przypomnieć imię narodowości polskiej. Obecnie jednak już to nie wystarcza. „Mówca potężniejszy, niż my wszyscy — mówił — głos potężniejszy od wszystkich trybun Francji i Anglii, odwołał się do narodów wszystkich w interesie narodu polskiego, odwołał się do wszystkich gabinetów dla utrzymania traktatów, których zupełne ogłaszał zniszczenie (annulation). Ten głos wzniósł się nad brzegami Wisły i jak dzwon pogrzebowy rozszedł się po całym świecie cywilizowanym. Czyż jest między wami, Panowie, ktokolwiek, którego dusza nie byłaby tem wzruszona dotychczas? Gdzież istnieje tak zajadły zwolennik systemu grozy (intimidation), o jakim mówią we Francji, któryby nie zadrżał, słysząc o systemie tego rodzaju i tej skali? W Warszawie najwyższym trybunałem sądowym jest cytadela, a sędziami, Panowie, są armaty. Gdyby wielki głos, który uderzył nas wszystkich, był źle zrozumiany, znaczyłoby to, iż ludzkość pozbawiona jest trzewi, iż uczucie litości zostało z jej serca wytarte.“¹⁾

Po posiedzeniu donosił ks. Czartoryskiemu 27 stycznia: „Przypuszczałem, że ma Pan wrócić do Francji w bardzo niedalekiej przyszłości i dlatego nie odpisywałem wcześniej. Nie wątpię, iż był Pan z góry przeświadczony, że nie zbrakuje osoby mojej przy obronie sprawy waszej. Niestety, dnia tego nie byłem w łaskach u części większości, gdyż zacząłem być nieco surowym dla ministrów. Pomimo to, istniał prawie powszechny dla *amendement* przychylny kierunek (w Izbie). Ponieważ Panu Mornay, który zgłosił swój wniosek przedemną, zależało bardzo na utrzymaniu pierwszeństwa, więc przyłączyłem się doń gorąco (avec empressement), gdyż najważniejszym było przeprowadzenie słowa narodowość polska, a słowo to znajdowało się w jego redakcyi. W gruncie rzeczy jest to tylko jeszcze jeden jałowy protest, ale w danej chwili nie będziemy mogli nic więcej uczynić. Tylko bieg wypadków może wlać życie w słowa, lecz impuls winien przyjść z Anglii. Musi nawiązać się sprawa wschodnia, wtedy powstaną korzystne dla Polski okoliczności. Działać przytem tak trzeba, ażeby w postępowaniu rządu angielskiego nie był zbyt widoczny bezpośredni, wyłączny jej interes, któryby ludziom niezyczliwym

¹⁾ *Moniteur*, 1836, 12—14 stycznia. Lesur, 1836, 20 i n.

w naszym kraju pozwolił uzasadnić beczynność. Znadto dobrze rozumie Pan sprawy (vous être éclairé), ażeby oddawać się złudzeniom (trompeuses illusions) co do motywów, kierujących gabinetami, ale i gabinety bywają pociągane czasem wbrew własnej woli. W epoce, kiedy wypadki nieprzewidziane odgrywają tak wielką rolę, wolno spodziewać się, że nastaną okoliczności, z których Polska dla siebie wyciągnie korzyści. Oto są, książę wie o tem dobrze, moje bardzo szczere życzenia, podstawa moich rozumowań i polityka moich uczuć stałego przyjaciela Polski i Polaków, tak godnie przez Pana reprezentowanych we Francyi i w Anglii.“

Izba uchwaliła poprawkę jeszcze słabszą w tonie, niż poprzednie. Bignon nie odniósł zwycięstwa, ale gabinet podcięty ostatecznie, zwłaszcza po przemówieniu Brogliego, ¹⁾ poszedł wkrótce do dymisyi (5 lutego). Zwyciężyła sprawa ogólna, zresztą czysto platonicznie, król bowiem wbrew orzeczeniu Izby, nie zmienił kierunku polityki swojej. Bignon ministrem nie został, zaszkodziwszy sobie ostatecznie nieustanną obroną niemiłego Filipowi przedmiotu.

IV.

Ciężkie zbliżały się czasy dla Polaków

Bo gdzie stąpili, szła przed nimi trwoga
W każdym sąsiedzie znajdowali wroga...

Takich, którzy, jak Bignon, wiernie wytrwali do końca przy sztandarze naszym, było nie wielu. To też żyła dlań wdzięczność w sercach emigracyi. Za życia uczcili go jedyną godnością, jaką rozporządzali, mianując członkiem honorowym Towarzystwa historyczno-literackiego. A kiedy umarł, licznie odprowadzili na

¹⁾ Lievenowa do Greya, Paryż, 17 styczeń 1836 r.: „M. de Broglie's speech about Poland (Broglie był w gruncie rzeczy bardzo dla Polski przychylny, a osobiście z ks. Adamem zaprzyjaźniony) in the Chamber of Deputies has pleased no one. The king disavows all responsibility in the matter and the other ministers try to make it out as meaning exactly the contrary of what was said.“ Guy Le Strange, III, 182. Ostatecznie gabinet upadł z powodu dyskusji nad konwersją renty, naprzód usunięto Humanna, potem ustąpił cały gabinet.

miejsce spoczynku. Odprowadzali go: Czartoryski i Niemcewicz, Plater, Wołowski, Dembiński, Dwernicki i wielu innych.

Nie zapomniany przez wieszcz, przez pamiętnikarkę uwieczniony, nawet po śmierci nie przestał służyć sprawie naszej. W dobie nowego przełomu, w r. 1862 ogłoszone *Souvenirs d'un diplomate*, dokument nawskroś prawdziwy, obraz wysiłków rzeczywistych społeczeństwa naszego na początku XIX stul., skonstruowany tak, aby po raz ostatni potwierdzał słuszność wszystkich Bignona założeń. Oto—godne z za grobu zamknięcie długiej i ofiarnej dla nas jego pracy.

MARCELI HANDELSMAN.

PIŚMIENNICTWO.

HENRYK SIENKIEWICZ. *W pustyni i w puszczy*. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Spółka 1912, 8-o, str. 395.

Powieść to odmienna zgoła od wszystkiego, co Sienkiewicz dotąd napisał, nie więc dziwnego, że wzbudziła powszechne zaciekawienie. A odmienna nie dlatego, że ma za tło „puszczę“ i „pustynię“, nie dla egzotyizmu swego tła krajobrazowego, gdyż mieliśmy już i „Listy z podróży“, i kilka nowel z dalekich lądów („Latarnik“, „Orso“, „Sachem“, „Wspomnienie z Maripozy“); i nie dlatego, że bohaterami jej są dzieci, gdyż Sienkiewicz dał nam już i Janka Muzykanta, i Michasia w „Pamiętniku poznańskiego nauczyciela“, i Litkę w „Rodzinie Połanieckich“, i Orsa i Jenny w „Orsie“ (sympatyczna para dzieciaków, dojrzewających przedwcześnie w niedoli, podobnie jak Staś i Nel w „Pustyni i puszczy“), i Maryskę w „Jamiole“, i Franka w „Bartku Zwycięzcy“, nie pierwszozna to więc dla niego kreślić jasne i ciemne profile jasnych i ciemnych główek.

„W pustyni i w puszczy“ różni się od poprzednich powieści Sienkiewicza o pokrewnym temacie stosunkiem autora do przedmiotu. A nie bądźmy czasem pochopni sądzić, że chodziło mu o napisanie powieści „dla dzieci“, bo dzieło prawdziwej sztuki nie zna różnicy wieku (pomijając pewne drażliwości tematu): ostatnią powieść Sienkiewicza, podobnie zresztą jak i „Trylogię“ i „Krzyżaków“, może czytać i będzie czytał z równym zapałem kilkunastoletni wyrostek, jak i najwybredniejszy smakosz i miłośnik literatury.

Stosunek zaś autora do przedmiotu wyraża się tu w ten sposób, iż przeciwstawia on dwie drobne istotki ludzkie olbrzymim

potęgą natury nieujarzmionej i każe tym dwojgu dzieciom — przezwyciężyć wszystkie przeszkody, zatryumfować nad ślepiemi siłami przyrody. Nie dość na tem. Czternastoletni Staś Tarkowski i o trzy lata młodsza od niego Nel Rawlison, porwani z Medinet el-Fayum przez fanatyków-derwiszów, pozostają sami, bez opieki, bez pomocy, bezbronni w rękach pół-dzikich wrogów, nie znających, co to względy ludzkie, a wracają do swoich „tatusiów“, cudem wyrwani z głębi nieznanych, nie deptanych stopą Europejczyka łądów afrykańskich na czele licznej karawany Murzynów, z bronią w rękę, na oswojonym słoniu, ku najwyższemu zdumieniu swych wybawców.

Cóż więc im dało tę moc nad stworzeniem? Przypadek? Szczęśliwe spotkanie z wymierającą na straszną chorobę śpiączki karawaną Szwajcara Lindego? Były to zapewne środki pomocnicze, ale główną rzeczą jest tu zgoła co innego: duch, który bierze górę nad materią, inaczej mówiąc: rozum i miłość.

„Rozum podważa góry, a miłość je przenosi“, ta stara zasada dałaby się w całej rozciągłości zastosować do ostatniej powieści Sienkiewicza. Doskonale przykład zastosowania tych dwu potęg mamy w przedziwnego wdzięku scenach ze słoniem, później przezwanym Kingiem; Staś przemyśliwa nad tem, jakby go uwolnić z pułapki górskiego wąwozu — i ostatecznie daje mu tę upragnioną wolność, a Nel, litując się w swem poczciwem serduszką nad gruboskórym więźniem, karmi olbrzyma i ocala od głodowej śmierci. I zda się, że wdzięczne stworzenie doskonale zrozumiało, czem jest w stosunku do niego Staś, „Bwana Kubwa“, „wielki pan“, czem zaś ta małeńka istotka, dobrotliwe bóstwo, „dobre Mzimu“.

Rozum, uskrzydłony przez uczucie, uczucie, spoczywające na granitowej podstawie rozumu — oto dwie dźwignie niezwykłych wypadków tej powieści. Nie uratowałby Staś ni siebie, ni małej Nel, gdyby nie był do niej serdecznie przywiązany, gdyby nie czuł głębokiego współczucia dla bezbronnej dziewczynki, rzuconej na łaskę niszczycielskich żywiołów i gorszych od nich — złych instynktów ludzkich. I nie uratowałby ni jej, ni siebie, gdyby nie posiadał wyższej kultury europejskiej, dającej mu przewagę nad tuziemcami afrykańskimi, gdyby w każdym wypadku nie umiał bacznie i chłodno rozważyć wszelkich okoliczności, gdyby wreszcie siłą woli nie umiał zapanować nad swymi nerwami, niepewnością czy bojaźnią, gdyby nie miał zimnej krwi i pewnego oka.

I jeszcze jedno. W powieści niniejszej wielką odgrywa rolę czynnik niezmiernie doniosły i sympatyczny: honor rycerski. Mo-

że to brzmi nieco zabawnie na pierwszy rzut oka, wobec tego, że Staś Tarkowski ma zaledwie lat czternaście; ale tak jest w istocie. Staś, jako mężczyzna, jako „kawaler“ (w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu), czuje się obowiązany dać opiekę Nel, bronić ją, póki sił starczy, od wszelkiego niebezpieczeństwa, bo cóżby na to ojciec powiedział, dawny powstaniec i sybirak, gdyby syn jego czegokolwiek w tym kierunku zaniechał? Dochodzi nawet pod tym względem do bohaterskiego samozaparcia, oddając swej małej towarzyszcze resztki wody, gdy znaleźli się w strasznej, spalonej promieniami słońca pustyni.

„Jeżeli w waszym kraju jest dużo podobnych do ciebie chłopców — mówi Linde do Stasia — to nieprędko dadzą sobie z wami rady.“ W tej warunkowości tego zdania zawiera się serdeczna troska autora, a zarazem także i cel powieści: wiedząc, że dzieci polskie będą czytały jego książkę, pragnął oddziaływać bezpośrednio na dusze młodociane, obudzić w nich szlachetniejsze uczucia i dążenia, a zarazem ostalić je, zahartować, by każda z nich stała się niezdobytą twierdzą dla pokus słabości i niedołęstwa.

A że dzisiejsza młodzież polska potrzebuje takiej ostrogi, to zdaje się, niestety, nie ulegać żadnej wątpliwości.

I w tem właśnie zawiera się doniosłość etyczno-narodowa niniejszej powieści, pisanej, jak przed ćwierćwieczem „Trylogia“, „dla pokrzepienia serc“.

Inne teraz zachodzi pytanie: jeśli Staś jest wcieleniem dążeń narodowych autora, a więc bardziej ideałem, niż typem (jak ideałem, zapewne rozmyślnie obdarzonym przez autora we wszystkie cnoty, był Skrzetuski wobec typowego warchoła — Kmicica), czy nie ma w sobie czegoś z papierowej doskonałości?

To pytanie nasuwa się czasem przy czytaniu kart „W pustyni i w puszczy“ (np. sceny z prorokiem Mahdim, kiedy Staś z pogardą i dumą odrzuca propozycję przyjęcia jego wiary). Ale trzeba zwrócić uwagę przede wszystkim na to, że oboje oni z Nel znajdują się w okolicznościach niezwykłych, wyjątkowych, a w takich razach ludzie czasem odnajdują w najgłębszych pokładach duszy takie potęgi, o jakich istnieniu sami nie mieli pojęcia: tchórz staje się bohaterem, łotr — męczennikiem (mieliśmy już taki przykład w twórczości Sienkiewicza w osobie Chilona Chilonidesa w „Quo vadis?“).

A potem są pewne szczegóły w powieści, na które trzeba pilną zwrócić uwagę, jeśli chodzi o charakterystykę bohaterów; są cienie, z wielkimi poczuciem artystycznym na obrazie rozmieszczone, a niezbędne, by zbytnio nie przejaśnić płótna. Autor pod-

kreśla niejednokrotnie z widoczną starannością, że Staś i Nel to bądź co bądź dzieci, które umieją płakać i śmiać się—jak dzieci. I dlatego niema w nich nic z koturnów.

A przytem, obok scen silnie dramatycznych, nie brak tu też innych, tchnących wprost przeciwnym nastrojem: rozjaśnionych szczerym i serdecznym humorem, humorem w najlepszym tego słowa znaczeniu, na jaki autor „Trylogii“ zdobyć się może. Żywioł komiczny reprezentują tu dwoje młodych murzynów: Kali i Mea, a poczęści też słoń King i pies Saba, najlepsze zaś pod tym względem są sceny, w których młodzi wędrowcy stykają się z czarnymi tubylcami (doskonały obraz przybycia do wioski murzyńskiej).

Tak więc ten dramat, który ma też w sobie wiele z czarownej, niewinnej, dziecięcej sielanki wśród obszarów Czarnego Łądu, nieraz też rozśmiesza do łez.

Powyższy nasz rozbiór zasadniczych pierwiastków artystycznych i etycznych niniejszej powieści nie byłby pełny, gdybyśmy nie powiedzieli jeszcze choć kilku słów o jej tle krajobrazowem. Jako autor „Listów z Afryki“, miał już Sienkiewicz znaczne doświadczenie w kreśleniu majestatycznych widoków natury podzwrotnikowej. I tutaj nie zawiódł go pendzel: obok ściślej wierności naukowej, o której zaświadczyć mogą uczeni-przyrodnicy, rozwinął tu całe bogactwo barw ze swej nieprzebranej palety. „W pustyni i w puszczy“ przekonywa raz jeszcze, jak wielkim artystą-malarzem jest autor „Krzyżaków“.

Powieść niniejsza, którą już przełożono na kilka języków europejskich, utrwala jeszcze i ukoronuje wszechświatową sławę naszego wielkiego pisarza.

HENRYK GALLE.

Pamiętnik Jana Obrycha Szanieckiego. Wydał, wstępem i przypisami opatrzył Marcełi Handelsman. Materiały do dziejów adwokatury w Polsce. Zeszyt I. Warszawa, 1912.

Badacze historyczni zaczynają coraz większą zwracać uwagę na dzieje porozbiorowe naszego narodu. Jest to fakt znamienity i pożądany. Pomimo niewyzyskanego i odłogi leżącego jeszcze materiału faktycznego, możemy stwierdzić, że i w epoce Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego i później umieliśmy się zdobyć na twórczy czyn z realnym celem na widoku. Posia-

damy dowody nietylko romantycznych ponad siły uniesień doprowadzonego do rozpaczcy społeczeństwa. Stwierdzenie istotnego stanu rzeczy właśnie dzisiaj jest ogromnie na czasie. Koło prawników powzięło szczęśliwą myśl wydania pamiętników Jana Olrycha Szanieckiego, działacza doby kongresowej, znanego obrońcy praw włościańskich.

W archiwum ks. Czartoryskich znajduje się Manuskrypt Biografii czyli żywota ś. p. Jana Olrycha Szanieckiego, posła na sejm od 1825 aż do emigracyi i ministra sprawiedliwości w ostatnich dniach, pisany własnoręcznie przez niego samego. Ważne objaśnienia pod względem wartości moralnej i historycznej, wzorowe przykłady życia prywatnego i publicznego. Dr. Handelman zabrał się z całym pietyzmem do wydania pamiętnika, stanowiącego nader ciekawy przyczynek do dziejów naszej kultury.

Szaniecki odegrał ważną rolę nietylko jako działacz społeczny. Zajmował się również funkcjami obrończymi, gdzie wykazał niepospolite zdolności: „Czynny i biegły prawnik, pracowity, nikomu w gorliwości wyprzedzić się nie dający, uprzejmy dla stron i towarzyszków swoich, umiał zjednać sobie powszechnie zaufanie. Punkt zwrotny w działalności jego stanowi sprawa Wielopolskich. Między Szanieckim a Józefem Nepomucenem hr. Wielopolskim zawiązały się stosunki przyjaźni, dzięki którym młody obrońca podjął się opieki nad zagmatwanymi interesami majątkowymi. Chodziło o możność sprzedania dóbr majorackich, aby ostatecznie oczyścić się z długów. Poczynając od układu z rodziną, Szaniecki prowadzi zaciętą rozprawę z wyznaczonym na ten koniec ze strony oponującej familii profesorem uniwersytetu lwowskiego Jaworskim. Ostatecznie ugoda stanęła. Ale tutaj „nasz biografowany zaczyna dopiero toczyć walkę. Uwolniwszy margrabiego od zaciętego procesu z rodziną i od ataków wierzycieli, sam się wystawił na pociski, skądkolwiek te pochodzić mogły.“

Pomimo trudności śmiało występuje do walki, gdyż, jak twierdził, bez przeszkód niema zwycięstwa. W dobrach, które nabywa od Wielopolskiego, zaczyna dbać o dobro swych włościan, był bowiem zdania, że „stan ludu w majątkach swych do dobrego bytu własną ich pracą i oszczędnością należy doprowadzać, oświatę pomiędzy niemi rozkrzewiać i do nabywania własności dopomagać, ażeby kraj coraz mniej nędznych, a coraz więcej dobrego mienia liczył mieszkańców.“ Napisał projekt utworzenia towarzystwa lub kompanii rolniczo-handlowej, gdzie proponuje stowarzyszonym: „zyski w przemyśle, dobro kraju w kulturze, przemyśle i handlu, ludzkości w podniesieniu klasy włościan.“

W ustawie towarzystwa kryła się jeszcze jedna myśl—stworzenia silnego stromictwa, które mogłoby odzyskać Ojczyźnie niepodległość i razem pomyślność. Występuje tutaj poraz pierwszy idea Szanieckiego zajęcia się czynnie sprawami politycznymi. Chodziło mu głównie o uregulowanie kwestyi włościańskiej. Aleksander I zapewnił rozwiązanie sprawy w duchu liberalnym; konstytucya obiecała opiekę tej „pożytecznej klasie ludności.“ Skończyło się jednak na teoretycznem skonstatowaniu niedomagań socyalnych. Sejmy rozbrzmiewają skargami z powodu ciężkiego położenia włościan. Panowały feodalne poniekąd stosunki, o czym z goryczą wspominają ówczesni publicyści.

Prawo z 1807 r. dawało tylko iluzję swobody, dopóki nie było własności, włościanin nie mógł należycie się rozwijać pod względem społeczno-gospodarczym. Za czasów Królestwa Kongresowego obywatele ziemscy nie zdawali sobie dokładnie sprawy, że byt polityczny znajduje się w ścisłej zależności od stanu kwestyi włościańskiej. Sfery miarodajne z Lubeckim na czele popełniły błąd, ustępując szlachcie folwarcznej, przeciwnej wszelkim ustępstwom. A przecież już w okresie Księstwa Warszawskiego toczyły się szerokie rozprawy na ten temat i opinia publiczna wypowiadała się dość sympatycznie co do uwłaszczenia. Memoryał Surowieckiego zawierał cały szereg łatwych do realizacji postulatów. Prof. Grabski w „Historji tow. rolniczego“ wspomina, że prąd opinii publicznej, dążności sejmu i tendencye rządu, ogół zatem sił społecznych kraju, zgodne były, by los i byt włościan pozostawić najzupełniej grze osobistych interesów większych właścicieli. Podobny pogląd nie przyniósł pożądaných rezultatów. Skarbek w dziejach swych zaznacza: Często się zdarzało, że włościanin, uprzykrzywszy sobie pańszczyznę, opuszczał wieś, a to była najbliższa droga do nędzy, żebractwa i kradzieży. Nic zatem dziwnego, że światlejsze ówczesne umysły wszelkimi siłami starały się zapobiedz rosnącym nadużyciom. Sejm z r. 1828, debatując nad sprawą uczczenia pamięci zmarłego monarchy, postanowił wprowadzić uwłaszczenie w dobrach narodowych. Sprawa się wlokła bez ostatecznego załatwienia.

Przyszło powstanie. Siłą rzeczy na plan pierwszy wysunęła się paląca kwestya ostatecznego uregulowania położenia włościan. I w tym momencie Szaniecki odegrał znakomitą rolę. W roku wielkich wypadków w kraju Szaniecki był złożony ciężką niemocą. „Doktorzy kazali jechać mu do wód, a on, wybrawszy się w podróż, pojechał do Warszawy na sejm, nie mogąc przenieść na sobie, żeby opuścić sposobność służenia sprawie publicznej,

dopóki ostatek sił nie zgaśnie.“ Osłabiony, nie mógł zabierać głosu, ale przygotował petycję, którą za niego przeczytano w przedmocie zniesienia pańszczyzny, nadania włościanom własności gruntowej i zaprowadzenia szkół. Petycja doznała oporu z powodu jakoby targnięcia na własność prywatną i została odrzucona. Przegrana nie zniszczyła jego zamiarów. Podaje do pism projekt, aby każdy właściciel dóbr, zapewniwszy włościanom własność, stanął na ich czele do obrony. „Przestańmy być półbraćmi, przybierzmy wszyscy jednakie imię synów ojczyzny i zamiast wyłączną bracią szlachtą, bądźmy wszyscy zarówno Polakami.“ Równocześnie wnosi do łaski marszałkowskiej nowy projekt uregulowania stosunków: należy znieść wszelką pańszczyznę, skasować wszelkie feodalne monopola, uznać włościańskie posiadłości za nieograniczoną własność, i dać ludowi starozakonnemu prawo obywatelstwa. Wniosek oddany został pod rozbiór komisjom sejmowym. Wobec oporu z ich strony, podał min. Biernacki myśl nadania własności gruntowej włościanom w dobrach narodowych. Jednym słowem, powtórzono idee przedrewolucyjne. Ostatecznie wiadomo, że sejm nie rozstrzygnął podanych w tej mierze wniosków. Dopiero później mieliśmy odczuć błąd, popełniony w czasie rewolucji 1831 roku. Szaniecki—„kurator i opiekun włościan,“ rozumiał doskonale, że kunktatorstwo i chwiejność nie może sprowadzić dobrego rezultatu. Nie było w jego wystąpieniach ani demagogii, ani doktrynerstwa. Republikanin z przekonania — tworzy stronnictwo reform i towarzystwo przyjaciół ludu, aby nadać całej sprawie normalny bieg rzeczy. Niestety. Nie wielu znalazł zwolenników swych poglądów. Dla jednych Szaniecki był jakobinem-rewolucjonistą, dla innych zaś przedstawicielem szlacheckiego liberalizmu. Przez krótką tylko chwilę przed opuszczeniem kraju był ministrem.

Po upadku powstania wszyscy działacze wyszli z Królestwa. Szaniecki wędrował z miejsca na miejsce: był w Frankfurcie i Pradze, we Wrocławiu i Dreźnie. Nakoniec ruszył do duchowej stolicy Polski—do Paryża. We Francji ogniskowało się życie narodowe, skąd szły promienie myśli społecznej do wszystkich zakątków ziem polskich. W tem starciu się poglądów i utarczce często pozbawionej zasadniczych momentów dojrzewał czyn twórczy. Niektórzy, sądząc nader powierzchownie społeczność emigracyjną, widzą tam jedynie pieniactwo polityczne. Jest to jednostronny punkt widzenia: nie zapominajmy, że w kraju była apatya, panował zastój w każdym kierunku. Na emigracji toczyły się spory, przybierające niepożądanym często obrót. Harto-

wała się idea społeczna—tworzyła się opinia narodowa. Emigracja umiała się zdobyć na trwałe czyny. W tem otoczeniu emigracyjnem Szaniecki początkowo czuł się niezłe. Wkrótce jednakże nie staje mu sił do tego gorączkowego życia: bez bliższych znajomych, bez orientacji w ogólnej linii politycznej, przeciwnik stronnictwa przewrotu, bez zaufania do stronnictwa konserwatywnego — Szaniecki znalazł się w odosobnieniu. Zbliży się wtedy z Lelewelem, który poświęcił się badaniom naukowym, nie będąc przywódcą żadnego ze stronnictw. I dzięki tym stosunkom, Szaniecki znalazł instytucję, która pochłoneła jego działalność. Stał się czynnym członkiem komisji funduszków emigracji polskiej. I znów po pewnym czasie musiał z placówki ustąpić, złamany insynuacjami warchołów emigracyjnych, którzy kwestyonowali system udzielania zapomóg. Posypały się inwektywy, że Szaniecki—zwolennik metody szlacheckiej—ma nałóg wydawania jałmużny zamiast jawnych subsydi. Sprawa wytoczona została przed sąd opiniowy. Wszystko to podkopało zdrowie Szanieckiego, który umarł w r. 1840.

Działalność Szanieckiego ma znaczenie właściwie w czasie Królestwa Kongresowego. Był to jeden z tych mężów czynu, którzy umieją tworzyć albo na trybunie parlamentarnej, albo w ogniu walki jawnej. Do konspiracji i spisków nie miał zdolności, nie umiał zresztą wżyć się w spory partyjne, które go rujnowały moralnie. Najważniejsze bez wątpienia dzieło, jakie zostawił, były jego wystąpienia w sprawie włościańskiej. Zaznaczyć wypada, że wystąpienia Szanieckiego nie nosiły charakteru doktrynerskiego. Był to umysł trzeźwy i konsekwentny, umiejący realnie przyglądać się splotowi warunków. Szedł otwarcie i mężnie, walczył o wolność, przekonany był bowiem, że Polak, kochając wolność, nie powinien się być otaczać niewolnikami. Postęp socyalny bierze górę wtedy, jeżeli tylko uderzyć śmiało na zastarzałe przesady. Wśród posłów sejmowych odznaczał się odwagą poglądów, co mu zjednało opinię człowieka niezłomnych zasad. Przypomnienie tej postaci społeczeństwu w pierwszym wydawnictwie koła prawników świadczy, że najmłodsze pokolenie naszej palestry chce wcielić w życie te same ideały, które przyświecały „niestrudzonemu obrońcy uciśnionego ludu włościańskiego“—Szanieckiemu. Jest to fakt godny podkreślenia.

D-R ŻELISŁAW GROTOWSKI.

ARTUR HAUSNER. *Odrodzenie Galicji a drogi wodne*. Z 2 tablicami i rysunkiem w tekście. Kraków, 1911.

Drogi wodne nie tylko w czasach dawnych, ale i obecnie grają wybitną rolę, przyczyniając się znakomicie do rozwoju gospodarczego kraju. Są one znacznie tańsze od kolei, a zabierając najtaniej opłacane produkty masowe, nie tylko nie robią kolejom konkurencji, ale przeciwnie, przyczyniają się jeszcze do zwiększenia ich rentowności.

Ważna ta sprawa stała się w Galicji na porządku dziennym dzięki ustawie z r. 1901, przeprowadzonej przez ministra Körbera. Według tej ustawy, Galicja miała otrzymać połączenie Wisły z Odrą i Dunajem, oraz Wisły z Dniestrem.

Budowa kanałów powinna się była rozpocząć w r. 1904, tymczasem następne dwa gabinety, Gautscha i Bienerta, ani myślały o tem. Z programu ekonomicznego Körbera Niemcy otrzymali nadzwyczajnie drogie koleje alpejskie, Czesi wydali 86 milionów na uregulowanie i kanalizację Łaby i Wełtawy, Galicja zaś nic nie otrzymała. Pod wpływem opinii w kraju, Koło Polskie zajęło się tą sprawą i nawet obaliło Bienerta, w końcu jednak zgodziło się na rewizję ustawy z r. 1901, czyli właściwie na zniszczenie tego, co ona dawała.

Ustawa o kanałach ma olbrzymie znaczenie dla rolnictwa galicyjskiego, zapowiada bowiem regulację rzek, których wylewy przyczyniały dziesiątki milionów koron corocznych strat. Kanały zapewnią zbyt produktów rolniczych, ułatwią dostarczanie nawozów sztucznych, pozwolą zasilać swemi wodami stawy rybne, nawadniać łąki i pastwiska.

Dla przemysłu galicyjskiego jest to poprostu kwestya bytu lub niebytu, bez kanałów bowiem nie da się nawet pomyśleć jego rozwój na większą skalę. Tylko tanie drogi wodne, pozwalając na sprowadzanie rudy do Galicji, mogłyby stworzyć w niej przemysł żelazny. Istniejący już przemysł naftowy potrzebuje niezbędnie lepszej komunikacji. To samo dzieje się i w innych dziedzinach.

Dla handlu galicyjskiego zysk z kanałów jest wprost nieobliczalnie duży, połączą one bowiem Galicję z morzami Bałtyckim i Czarnym, torując nowe drogi handlowe.

Dla wszystkich tych powodów autor nawołuje gorąco opinię w Galicji, by wymogła jaknajszybsze wykonanie ustawy kanałowej.

WACŁAW DUNIN,

Kronika miesięczna.

Sprawa biskupa i jej następstwa. — Trzy wzmianki prawodawcze Koła Polskiego.— Pomniejszyciele olbrzymów.— O stanowisko Koła Polskiego w parlamencie niemieckim. — Huberband jako imię i zjawisko pospolite w dziejach naszej bankowości.

Warszawski sąd okręgowy rozstrzygnął bardzo interesującą ze stanowiska prawnego i społecznego sprawę o unieważnienie małżeństwa, zawartego przed duchownym maryawickim, przez konsystorz katolicki. *Meritum* sprawy było następujące: dwoje dzieciaków, osiemnastoletni chłopak i szesnastoletnia dziewczyna, pozostający z sobą w trzecim stopniu pokrewieństwa, nie mogąc uzyskać na ślub zezwolenia rodziców, udali się o pobłogosławienie związku małżeńskiego do zamieszkałego w pobliżu duchownego maryawickiego w tem przekonaniu, że jest on zakonnikiem, zależnym od biskupa katolickiego. Maryawita chętnie ze sposobności uzyskania prozelitów skorzystał i bez żadnej dyspensy, bez pozwolenia rodziców, dał ślub dwojgu niepełnoletnim — w nocy. Kiedy sprawa wyszła na jaw, a pierwsze zapady minęły, rodziny małżonków uzyskały od sądu arcybiskupiego unieważnienie małżeństwa, do czego sąd powyższy uznał się kompetentnym, ponieważ pogwałcony został przepis prawa kanonicznego, dotyczący wymagania dyspensy przy pokrewieństwie nowożeńców.

O unieważnieniu małżeństwa duchowny maryawicki doniósł władzom państwowym, które wszczęły dochodzenie karne przeciw prezesowi sądu arcybiskupiego, J. E. ks. biskupowi Ruszkiewiczowi, obrońcy sakramentu małżeństwa ks. Ciepłińskiemu, notaryuszowi sądu arcybiskupiego ks. Roczkowskiemu, oraz dwóm parom małżeńskim, stworzonym po unieważnieniu przez oboje eks-małżonków, o bigamię, wreszcie przeciw proboszczowi ks.

Płaskowskiemu, że jednej z tych par ślubu udzielił. Pierwszym trzem oskarżonym zarzucano przekroczenie kompetencji, niezawiadomienie władz cywilnych i używanie w procedurze języka polskiego.

Na sądzie oskarżeni do winy się nie przyznali. Nie możemy, z braku miejsca, streszczać ich tłumaczeń oraz świetnych wywodów obrońców. Zanotujemy tylko wyrok, mocą którego J. E. ks. biskup Ruszkiewicz i ks. Ciepliński skazani zostali na rok i cztery miesiące zamknięcia w twierdzy, ks. Płaskowskiemu udzielono surowej nagany, pozostałych zaś oskarżonych uniewinniono; co do wyroku na J. E. ks. biskupa Ruszkiewicza sąd postanowił wystąpić z prośbą na Najwyższe Imię o zamianę kary na złożenie z urzędu. Skazani apelują do wyższej instancji, przez co ks. biskup zrzekł się korzystania z powyższego postanowienia sądu.

Nie wolno poddawać krytyce wyroku sądowego, możemy tylko podkreślić niektóre momenty społeczne sprawy. Więc przede wszystkim inicjatorom procesu wydawało się, że będzie wielką reklamą na rzecz maryawityzmu. Oczekiwania te zawiodły; stało się wprost przeciwnie. Duchowieństwo maryawickie wyszło z tej sprawy w świetle chwywania prozelitów za wszelką cenę, zarówno ułatwiania ślubów, jak poprzednio ułatwiania rozwodów; jak wiadomo, konsystorze protestanckie, oburzone faktami zmieniania religii, jak rękawiczek, obostrzyły procedurę rozwodową; dla amatorów lekkomyślnych rozwodów pozostał dziś, jako jedyna ucieczka—maryawityzm. Z drugiej strony duchowieństwo maryawickie okazało się również w tym, jak i w innych wypadkach, zbyt pochopne do wzywania na pomoc ramienia świeckiego, co niezbyt się zgadza ze współczesnem pojmowaniem zadań religii i jej przedstawicieli. Wreszcie, dla ludu — a z warstw ludowych niemal wyłącznie rekrutowali się prozelici maryawityzmu—skazanie z inicjatywy maryawitów dostojnika kościelnego na więzienie jest faktem odstrasającym i depopularyzującym sektę. Wystarczy posłuchać, co mówią wśród ludu o procesie.

*

*

*

Stosownie do położenia narodu naszego i spraw jego w państwie głosy posłów polskich w Izbie musiały z konieczności odzwierciedlać pierwiastek krytyczny, opozycyjny, pierwiastek obrony przeciw ciosom nam wymierzonym. Koło Polskie rozumie jednak dobrze, że obok tego obowiązku ciąży na nim inny, pozytywny, usiłowania—choćby w najszerszym zakresie—przeprowadzenia zmian w położeniu kraju, wyzyskując współczesne tendencje unifikacyjne. Obowiązkowi temu wyraz dało Koło, przedstawiając trzy wnioski prawodawcze natury finansowej, wybierając jako bardzo odpowiednią chwilę obecną, kiedy wobec świetnego stanu finansów państwowych, wszystkie niemal dzielnice państwa zwracają się do rządu o ulgi, często nawet niesłuszne i nieuzasadnione.

Pierwszy wniosek zmierza do zniesienia w Królestwie Polskiem podatku podymnego i gruntowego głównego, zarówno włościańskiego, jak i dworskiego. Podatki te wynoszą razem 6,301,694 rub. rocznie. Zgodnie z wnioskami Koła Polskiego, powinien pozostać tylko podatek gruntowy dodatkowy, równający się podatkowi gruntowemu w Rosyi. Podatek ten wynosi 2,107,427 rb. i stosunkowo przewyższa nawet podatek gruntowy w Rosyi, który wynosi zaledwie 13,364,362 rb. na całą Rosyę Europejską. Zniesienie podatku podymnego, ze stanowiska słuszności, jest konieczne, wypływa bowiem stąd, iż podatek ten odpowiada podatkowi poduszniemu, oddawna skasowanemu w Rosyi; podatek zaś gruntowy główny ustanowiony został w Królestwie Polskiem, celem dokonania skupu listów likwidacyjnych z roku 1864, które już w 1906 powinny były uleść zupełnej amortyzacji, właściwie zaś zostały wycofane znacznie wcześniej.

Wniosek drugi dotyczy opłat na sądy gminne. Opłaty te są wyższe, aniżeli wydatki skarbu na sądy gminne, co zaś najważniejsza, w całej Rosyi opłaty na sądy, ponoszone dawniej przez ziemstwa, zostały oddane ziemstwom na rzecz kapitałów drogowych. W ten sposób istnieje zasada zupełnie słuszna, by i w Królestwie Polskiem opłaty, ponoszone obecnie na sądy gminne, obrócić na rzecz kapitałów drogowych, które w ten sposób otrzymałyby około 1,000,000 rb. funduszu dodatkowego. Wniosek ten jest tembardziej na czasie, iż rząd, jak wiadomo, w jednej z gubernii Królestwa skasował 300 wiorst dróg bitych, powołując się na brak środków i czyniąc niesłychany w dziejach państw nowożytych krok wstecz w rozwoju środków komunikacyjnych.

Trzeci wniosek Koła Polskiego zwraca uwagę na to, iż lasy skarbowe w Królestwie Polskiem nie ponoszą opłat miejscowych

(na fundusz drogowy, na szpitale, weterynaryę i t. d.), gdy tymczasem w innych guberniach państwa lasy te pociągane są do wszystkich opłat ziemskich. I tak np. w projekcie budżetu departamentu leśnego na r. 1912 w całej Rosyi, z wyjątkiem Królestwa Polskiego, podatki ziemskie z lasów rządowych wynoszą 8,970,280 rb., wobec przewidywanego dochodu z tych lasów w sumie 75,855,107 rb., co stanowi 11,8^o/. Tymczasem w gub. Królestwa Polskiego, wobec dochodu 7,466,689 rb., powinności gminne stanowią tylko 117,220 rb., czyli 1,4^o/. Królestwo Polskie traci na tem paręset tysięcy rubli rocznie, a więc wyrównanie tego stanu rzeczy jest również koniecznością. Zaznaczyć wogóle należy, iż inwestycje państwowe w Rosyi na cele oświaty, rolnictwa, dróg żelaznych, wodnych i innych rosną niezmiernie szybko, w Królestwie Polskiem zaś pozostają w dawnej mierze lub nawet cofają się, w każdym zaś razie są znacznie mniejsze, aniżeli w guberniach wewnętrznych. Wyrównanie tego stosunku jest rzeczą bardzo trudną, gdyż zależy to przeważnie od czynników administracyjnych. Tem ważniejsze jest wyrównanie tych ciężarów, które wypływają z odmiennego prawodawstwa.

Wszystkie te wnioski zmierzają do przygotowania gruntu dla przyszłego samorządu wiejskiego. Nikt się nie łudzi, że będzie on mógł funkcjonować prawidłowo tylko przy znacznem podniesieniu brzemienia podatkowego; trzeba więc zawczasu ulżyć ciężarowi, aby umożliwić te nowe opodatkowania, trzeba wreszcie znaleźć nowe źródła dochodu na cele kulturalne samorządu. Uzasadnieniem wniosków między innymi jest i fakt, że dochód czysty, jaki daje Królestwo Polskie skarbowi, z roku na rok wzrasta. Gdy przed laty kilku, według obliczeń p. Grabskiego, wynosił on 14 milionów rubli rocznie, obecnie dosięgnął on już cyfry 44 mil. rubli. Z drugiej strony pałdzienikowcy, reprezentujący także pogląd unifikacyjny *à outrance*, niejednokrotnie oświadczały się z twierdzeniem, że Królestwo Polskie powinno posiadać te same prawa i przywileje, co Cesarstwo. Teraz, kiedy nadeszła chwila wykonania zobowiązań na gruncie ściśle tylko unifikacyjnym, ciekawa rzecz, czy pozostaną konsekwentni w komisyi finansowej, dokąd te trzy wnioski Koła odesłano.

Przed paru laty uroczyście obwieszczono narodowi, że wkraczamy w okres „przewartościowywania wszelkich wartości.“ Podobno okres ten trwa ciągle, a polega przedewszystkiem na zohydzeniu ludzi wielkich, czcig powszechną otoczonych. Mniej lub więcej, raczej mniej głośnie pisarki łatwy sobie wyrabiają rozgłos ujadaniem na geniuszów; nawet cywilnej odwagi przytem nie okazują, wśród pustej bowiem gawiedzi czytającej znajdzie się zawsze zastęp gapiów, którzy bezczelność wezmą za śmiałość zdania i nikomu wczoraj nieznanego pismaka wielkim ogłaszają. A o to przecież tylko chodzi; okazji zaś nie zbraknie w tym roku jubileuszowym, w którym tyle wielkich rocznic przypada.

Niedawno z dwóch stron, w mało znanem pisemku radykalnem i w poważnym organie konserwatywnym, Napoleon pasowany został na zwykłego tyрана, na *gloire surfaite*, którego cześć tylko demoralizować może. Chcemy wierzyć, że autorom chodziło przedewszystkiem o stosunek Napoleona do Polski, rozumiemy, że stosunek ten krytykować można i trzeba, zwłaszcza ze strony zawodowych historyków, którzy rozporządzają wszystkimi aktami sprawy dziejowej, ale nikt i nigdy nie powinien zapominać o tem, że wojny napoleońskie były sposobnością do okazania wysokiego napięcia idealizmu, wielkiego zaparcia się siebie dla miłości Ojczyzny i bezprzykładnego bohaterstwa. Te cnoty dziadów czcimy i tej czci dajemy wyraz pośredni w kulcie napoleońskim. Ale poza stosunkiem Napoleona do Polski lśni on jeszcze w dziejach ludzkości, jako niepospolita manifestacya geniuszu, potęgi pracy, przystosowania środków do celów. Wreszcie—sztaundy zdobywczych armii napoleońskich rozniosły po świecie zasadnicze hasła wyzwolenia równości przed prawem, które stworzyły społeczeństwa współczesne. I o tem nikt, wydający sąd o Napoleonie, bez względu na takie czy inne stanowisko narodowe, zapominać nie może.

Drugi przykład — bliższy nam W roku bieżącym przypada jubileusz stuletni Skargi, jednego z najznakomitszych Polaków-patriotów, świetnego kaznodziei, którego mowy pozostały jednym ze spiżowych pomników języka polskiego, natchnionego proroka, przepowiadającego, niestety, tak ściśle i dokładnie przyszły upadek Ojczyzny. I znowu, dla niektórych umysłów staje się ten wielki mąż bojownikiem współczesnego klerykalizmu wojującego i niczem więcej; żądają od niego, aby żyjąc w okresie wojen wyznaniowych, był rzecznikiem zasad tolerancyi takich, jakie stają się powoli dopiero udziałem czasów naszych, a o jakich

najmniej mają chyba prawa mówić fanatycy z tamtego brzegu, zaślepieni wrogowie Kościoła i katolicyzmu.

Jeżeli Herostrates mógł w imię próżności własnej spalić świątynię Efezu, jeżeli Neron dla tych samych pobudek mógł podpalić Rzym, to współcześni pomniejszyciele olbrzymów nie mogą nam nawet zaimponować ogromem swej próżności.

Duch ludzki od wieków uczucia swoje i myśli oplata około postaci, które wyrastają nad miarę zwykłą i niby drogowskazy stoją na bezmiernem polu dziejów. W kulcie dla wielkich ludzi i bohaterów, tkwi nie tylko podziw, ale i miłość dla pięknych idei, ale i nieświadome często pragnienie naśladownictwa. A jest on tak niezbędny dla każdego, że miejsce strąconego z piedestału przedmiotu czci zastępuje inny. Czyżby doprawdy było pożądanem, aby miejsca Napoleona i Skargi — zestawienie najzupełniej przypadkowe nie jest w najmniejszym nawet zakresie porównaniem — zajęli ich pomniejszyciele, mniejsza o to, jak się nazywają, bo nikogo to nic nie obchodzi? Z naszego stanowiska — nie; ze stanowiska najświętszych i najogólniejszych ideałów ludzkości — także nie.

*

*

*

W prasie wielkopolskiej toczą się ciekawe rozprawy na temat, jakie stanowisko zająć powinno Koło Polskie w nowym parlamencie niemieckim. Wybory do prezydium, świeżo odbyte, nadają rozprawom tym piętno praktyczności. Przypomnijmy, że przy głosowaniu na prezydenta członkowie Koła głosowali razem z centrum i przeprowadzili wybór Spahna z tegoż stronnictwa; kiedy jednak chodziło o obsadzenie stanowiska pierwszego wiceprezydenta i trzeba było wybierać między wrogim Polakom konserwatystą a socjalistą Scheidemanem, Koło Polskie wstrzymało się od głosowania i umożliwiło wybór tego ostatniego; mamy tedy obecnie ciekawe widowisko, że obradom parlamentu niemieckiego przewodniczy socjalista. Mniejsza o to, że wybory te były tylko prowizoryczne; podkreślmy jedynie wątpliwość, czy wogóle taktyka abstynencji jest dobra, aby później do kwestyi tej jeszcze powrócić.

Skład obecnego parlamentu niemieckiego, niby mocne wino, upoił niektóre głowy polskie. Nie używajmy, mówiąc o nich, określenia „ugodowości“, który tem mniej mówi, im bardziej jest utarty. Powiedzmy o nich, że ludzi tych cechuje z jednej strony dążenie do spokoju za wszelką cenę, z drugiej zaś paniczna obawa przed stosowaniem wywłaszczenia. Tylko na takim nienormalnem podłożu psychicznem mogą rodzić się takie kwiatki, jak głos „obywatela“, zamieszczony na szpaltach organu zachowawczego, a doradzający bezwzględne współdziałanie z rządem, głosowanie za wszystkimi jego projektami, bez żadnych targów politycznych, bez stosowania zasady wzajemności, by w najmniejszej mierze, poprostu w nadziei tylko, że kiedyś, „choćby czekać przyszło dłużej“, nastąpi przecież „rozsądna odpowiedź z tamtej strony.“ Autor wychodzi z założenia, że wobec potęgi Niemiec Polacy są ilością nieskończenie małą, a więc do pominięcia, że więc niema podstawy do układów i targów, które wymagają większej współmierności kontrahentów. Głos ten wywołał ostrą polemikę nawet ze strony skądinąd współwyznawców „obywatela“; wreszcie i organ opinii konserwatywnej w artykule naczelnym tego rodzaju stanowisko potępił.

Biorąc rzecz szerzej i ogólniej, głos „obywatela“ jest przede wszystkim apoteozą lenistwa myśli i czynu, bo przepisuje jeden i ten sam sposób postępowania we wszystkich wypadkach, podczas gdy uniwersalnych środków i lekarstw nie zna zarówno medycyna, jak i nauka społeczna współczesna; i pod tym względem stoi ona na jednym poziomie z domagającymi się opozycji bezwzględnej w każdym przypadku. Polityka jest sztuką i to sztuką bardzo trudną; wymaga nieustannego namysłu i pracy przystosowywania zasad i metod do wypadków, nieustannie zmiennych, że, gdy zważyć okoliczności, zgoła niema dwóch jednakowych. Na dowód trudności przypomnijmy głosowanie dawne Koła, podwyższenie podatków pośrednich, np. od przedmiotów nie pierwszej potrzeby. Było racjonalne, odpowiadało poglądom większości społeczeństwa, a przecież już wówczas poseł Korfanty przepowiadał oburzenie ludności polskiej na Ślązku, któż wie, ile głosów, z tych, co padły na socyalistę, było spełnieniem tej przepowiedni? Jeszcze trudniej rozstrzygnąć sprawę ceł agrarnych, dotyczącą ludność miejską już w artykułach bezwzględnie codziennej potrzeby, bo żywności. Dlatego, za każdym z takich głosowań musi stać dobrze przemyślany splot motywów, wychodzących z interesu ogólnonarodowego, któremu jedynie wszystkie partykularne podporządkowane być muszą. Kryterium głoso-

wania, oparte na tem, czy dany projekt jest rządowym, wydaje się zupełnym nonsensem.

Również błędnie, zdaniem naszym, upraszcza zagadnienie część opinii, stawiając je tak: czy Koło Polskie ma głosować z centrum, czy z socyalistami? Pozorne uproszczenie jest tu zadzierzgnięciem wężła wprost nie do rozplątania. Zwolennicy pierwszego przypominają, że centrum głosowało zawsze przeciw projektom antypolskim; zupełnie toż samo można powiedzieć o socyalistach. Zwolennicy drugich stwierdzają, że sojusz z centrum nic nam nigdy nie przyniósł; w formie warunkowej można to samo powiedzieć o socyalistach, poprostu dlatego, że obydwa te stronnictwa nie były nigdy rządem, a dotąd on tylko, nie parlament, w Rzeszy Niemieckiej rozstrzyga. Pozostaje fakt, że przy ostatnich wyborach na Ślązku centrum poparło naszego kandydata, gdy socjaliści ostro nam się przeciwstawiali; ale myśmy poparli kandydata centrowego w Westfalii, a wzajemność usług kwituje.

Błędnie postawione pytanie taktyczne można przecież poprawić odpowiedzią: trzeba głosować z jednymi lub drugimi w zależności, jak taktyka i interes danej chwili tego wymaga. Wróćmy jeszcze do wyboru prezydium: dobrze było, że na prezydenta centrowca głosowali posłowie polscy; ale czy dobrze się stało, że nie głosowali na pierwszego wiceprezydenta socyalistę? Wszak głosowanie byłoby tylko aktem uprzejmości politycznej za to, że socjaliści zawsze głosowali przeciw projektom antypolskim; obawy tchórzliwych i nieśmiałych były płonne, skoro i tak został wybrany socyalista, chociaż bez naszej pomocy; obawy narażenia się centrum również nie było, skoro poprzednio Koło spełniło obowiązek sprzymierzeńca.

Stosunek do centrum utrudni lub ułatwi nominacya na stolicę prymasowską. Piszemy te słowa pod świeżem wrażeniem pogłoski, jakoby zająć ją miał hr. Zorn de Bulach, brat namiestnika Alzacyi. Nominacya tego ostatniego była wyrazem zmiany stosunku rządu do Alzacyi. Uważa się on za Alzaczycyka, bez marzeń ku tamtej stronie granicy; jest lojalnym wobec korony i państwa, ale jego językiem domowym, rodzinnym, jest francuski. Wszystkie te szczegóły zbyt mało nam jeszcze określają postać brata domnianego kandydata na arcybiskupstwo gnieźnieńsko-poznańskie. Namiestnik jest człowiekiem silnej ręki, co stwierdził zarówno wobec miejscowych frankofilów, jak i miejscowych hakatystów; jeżeli to jest cecha rodzinna—a jakby dziedzicznie twardo brzmi nazwisko — będzie zbędną, a może być

wprost szkodliwą na wyspie Tumskiej. W każdym razie nominacja na to stanowisko nie Polaka byłaby jeszcze jednym czynnikiem rozwiewania złudzeń, dotyczących złagodzenia polityki rządu względem Polaków; pchnęłaby z pewnością Koło w kierunku bardziej opozycyjnym, od *środkowym*.

Zwolennicy ściślejszego stosunku Koła z socyalistami winni pamiętać, że jest on zupełnie zależny od postępowania samych socyalistów. Nie będziemy z pewnością dalecy od prawdy, jeżeli powiemy, że oni sami są zaskoczeni swoim zwycięstwem i że w ich kołach z pewnością toczą się rozprawy, jakie należy zająć stanowisko. Trudno sobie wyobrazić w taktyce bezwzględnej opozycji, negacyi państwa, abstynencyi najsilniejszą frakcyę parlamentarną, liczącą w swoim łonie 30^o o ogółu posłów. Trudno—dlatego, że w takim razie sferom kierowniczym i stronnictwom mieszczańskim musi nasunąć się pytanie o bezpłodności głosowania powszechnego, a zaraz zatem i wniosek o ograniczeniu tegoż. Innemi słowy zamiast spodziewanej pod wpływem wyborów ostatnich demokratyzacyi Sejmu pruskiego stanęlibyśmy wobec możliwości zjawiska przeciwnego, uwstecznienia parlamentu niemieckiego. Po socyalistach niemieckich, pełnych zawsze zdrowego oportunizmu, możnaby się spodziewać zmiany taktyki bezwzględnej opozycji, a w takim razie możliwy byłby bliższy stosunek Koła Polskiego z nimi; inaczej byłby to powrót z naszej strony do potępionej już taktyki opozycji *quand même*. Niestety, przeciw mądrej polityce posłów mogą wystąpić niższe sfery partyi. Przypomnijmy, że podczas najgorętszych walk w łonie socyal-demokratów z t. zw. rewizjonizmem, zmarły przywódca socyalistyczny, Ignacy Auer, człowiek, który z wyrobnika przedostał się do kierownictwa partyjnego, gdy wybuchła w partyi krucjata przeciw rewizjonistom, pisał do jednego z ostatnich, Edwarda Bernsteina, bardzo mądre słowa, reasumujące przeszkody psychiczne, stojące na drodze do rewizyi programu stronnictwa. „Agitatorzy socyalistyczni—pisał mniej więcej Auer—nauczyl się dzisiejszej urzędowo-partyjnej frazeologii i są za leniwi, by uczyć się innej, nowej, może więcej odpowiadającej potrzebom stronnictwa. Ale nietylko agitatorzy są leniwi. Wyborcy grzeszą tą samą wadą; wolą oni nadto słyszeć słowa o milenaryzmie, o doskonałości moralnej i umysłowej świata robotniczego. Stara frazeologia rewolucyjna schlebia masom i daje agitatorowi oklaski.“ Oto jest zarazem wymowne potępienie leniwej bezmyślności, rodzącej się na podłożu bezwzględnej taktyki opozycyjnej.

Uboczne uwagi określiły już dostatecznie nasz pogląd na położenie Koła w parlamencie niemieckim. Skoro jednak zwyczaj wymaga wyraźnej konkluzji, nie możemy znaleźć lepszej w tym roku jubileuszowym wielkiego wieszczą, jak przytoczenie słów Jego: „...Komunistą ni arystokratą, ni panslawistą ani demokratą... nie zwał się nigdy... Jeśli jakim znakiem znaczyć go chcecie, zwijcie go Polakiem!“ Pod pojęcie osoby podstawmy politykę, a będziemy mieli właściwe rozwiązanie. Trudne — nie przeczyamy—jak trudne jest wyzbycie się ziemskich pierwiastków otoczenia, nawyknień, doktryn, dla szarej, codziennej służby dobru narodowemu.

*

*

*

Nieustannie puszczane w obieg plotki, uwłaczające czci osób, stronnictw, instytucji, coraz niższego poziomu ton polemik prasowych, sprawiają, że obok wszystkich bez wyjątku zarzutów inteligentny czytelnik przechodzi obojętnie, nie dając im wiary, przypuszczając czasem, że są to poprostu karczemno cyrkowe zapasy ku zabawieniu niewybrednych. Narzekaniom na brak u nas opinii publicznej przeciwstawić trzeba płynący z takiego źródła uzasadniony sceptycyzm. Więc gdy tu i owdzie spotykano zarzuty, że w naszym świecie bankowym nie wszystko dzieje się tak, jak dźać się powinno, pomijano je bez wrażenia. Trzeba było dopiero sprawy Huberbanda, aby najbardziej opornym oczy otworzyć na nepotyzm i karygodną niedbałość, jaka w tym świecie panuje.

Kto to jest Huberband? W danym wypadku prosty, ciemny Żyd, który się za ledwie podpisać umiał; szerzej— jest to dziś imię pospolite, możnaby niestety powiedzieć, że imię jego jest legion... mniej lub więcej ciemnych dyskonterów, z których każdy może zrobić jutro to samo, co zrobił on. Przecież to tak łatwo! Najuczciwszy człowiek nie może dostać kredytu na cele produkcyjne, bo nie znają go ci, którzy bankom referencyi dostarczają, dostanie go każdy dyskonter, oczywiście Żyd, bo lepsi nieco koleżdy jego opinię wydają, a wyżsi w komitetach giełdowych zasiadają. Przeciętny rzemieślnik, drobny fabrykant, potrzebujący kredytu na rozszerzenie interesu, musi uciekać się do pomocy

dyskontera takiego, najczęściej mniej lub więcej lichwiarza, bo bez jego pośrednictwa nie dostanie pieniędzy. Oczywiście — bo dają o nim opinię, że jest... niedobry.

Wszystko to mniej więcej wiedzieliśmy. Nie jest to nic nowego; poprostu niezdrowy objaw handlu pieniędzmi, istniejący prawie wszędzie, u nas w rozmiarach gorszych z powodu niewyrobienia handlowego społeczeństwa i nadmiernej roli pośredników żydowskich. Ale zdumienie i przerażenie ogarnia na myśl, że najpoważniejsze banki są tak mało przezorne, że padają ofiarą sprytnych oszustów na krocie tysięcy rubli. Huberband operował w ten sposób, że w pakach weksli, które przedstawiał do dyskonta, była zawsze pewna ilość zupełnie dobrych, które promieniowały na wszystkie inne—fikcyjne; dobre w terminie wykupywał, fikcyjne—spłacał nowemi i dyskontował nowe, zyskane w ten sposób pieniądze przezornie lokował zagranicą, aż fundusz urosł do tak poważnych rozmiarów, że dyskonter miał dosyć. Nie czekał oczywiście, aż mu ogłoszono bankructwo. Uciekł i gdzieś zdala od Warszawy spożywa swoją zdobycz. Wesołym uśmiechem zapewne rozjaśnia mu się lice na myśl o dyrektorach najpoważniejszych banków tutejszych. Passywa jego upadłości wynoszą przeszło milion rubli.

Próżno tłómaczą nam, że to wypadek wyjątkowy. Procedura jest przecież tak łatwa, że setki znajdzie naśladowców. Wyjątków zresztą nie powinno być, bo po każdym może nastąpić drugi, aż zbierze ich się dość, by zostały regułą. W jednym wielkim banku po milionowych stratach Leonowa krociove straty Huberbanda; w drugim nadzwyczajne walne zgromadzenie członków jest dość serwilistyczne, aby z powodu tych strat nie udzielić dymisyi Zarządowi. Mniejsza o akcyonaryuszy, mniejsza o członków, bo ci ostatecznie mają, co chcą; chcą mieć straty, więc mają straty. Ale przecież te najpoważniejsze banki operują przeważnie funduszami lokowanemi przez dziesiątki tysięcy ludzi, funduszami, które są nieraz owocem długich lat krwawej pracy. Lekkomysłna gospodarka te fundusze właśnie naraża na niebezpieczeństwo i to jest właśnie społeczna strona sprawy Huberbanda.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

b. p. Leopold Meyet.

Zmarł człowiek cichy, niestrudzony działacz na polu gromadzenia pamiątek, kultury polskiej dotyczących. Urodzony w Warszawie w r. 1850, po ukończeniu gimnazjum wstąpił w r. 1866 na wydział prawa i administracji b. Szkoły Głównej, następnie zaś kształcił się w uniwersytecie lipskim, gdzie kolegował z Chmielowskim, Ochorowiczem, Świętochowskim. W r. 1872 należał do grona założycieli „Niwy,” której był współredaktorem do chwili przejścia pisma w ręce obozu zachowawczego. Równocześnie, po aplikacyi, Meyet został patronem trybunału, a po reformie sądownictwa adwokatem przysięgłym.

Niezależność materyalna pozwoliła mu zająć się umiłowanem nadewszystko zbieraniem autografów, portretów, wogóle przedmiotów, dotyczących wielkich wieszczów naszych, że zbiór jego w tym kierunku stał się jednym z najznakomitszych w Polsce. Oparty o ten olbrzymi materyał, ogłosił mnóstwo przyczynków, dotyczących Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i Szopena, rozrzuconych po różnych pismach. W roku 1899 wydał 2 tomy „Listów do matki“ Słowackiego. Poprzednio ogłosił studyum o 347 wizerunkach Mickiewicza (r. 1888), zbiór nowel „Do nieznanjomej“ (1882), „Liście, fragmenty i szkice“ (1895) i in. Leopold Meyet należał do grona najbliższych przyjaciół dwóch najwybitniejszych autorek naszych, Maryi Konopnickiej i Elizy Orzeszkowej; po śmierci tej ostatniej ogłosił niektóre jej utwory, rzucające wiele światła na twórczość autorki „Nad Niemnem.“ Od roku 1907 był członkiem Warszawskiego Towarzystwa Naukowego; Akademia Umiejętności w uznaniu jego zasług mianowała go członkiem komisji literackiej.

O przywiązaniu jego do kraju świadczy niepospolity w swej ofiarności testament, przekazujący cały majątek zmarłego na cele publiczne. Zbiory swoje testator podzielił na: 1) zbiór ogólny, 2) Mickiewiczowski, 3) Słowackiego, 4) różnych poetów, 5) Stara Warszawa, 6) starożytności polsko-żydowskie, 7) książki, rękopisy i t. p., 8) Chopiniana. Te wszystkie zbiory, prócz dwóch ostatnich działów, zapisał Muzeum miejskiemu Warszawy pod warunkiem, ażeby była urządzona sala zbiorowa jego imienia i trzy sale poetów. Gdyby zarząd miejski nie chciał lub nie mógł przyjąć, albo urządzić Muzeum, to wszystkie zbiory muzealne przeznaczone są dla Muzeum Narodowego w Krakowie. Książki zapisał Bibliotece Krasieńskich, zaś wszystkie książki prawnicze Towarzystwu prawniczemu; Chopiniana zostały zapisane sekcyi Chopina przy Towarzystwie Muzycznym. Cały zresztą majątek przeznaczył testator m. w Warszawie na otwieranie i wspomaganie szkół początkowych i rzemieślniczych pod warunkami następującymi: Fundusz jest wieczysty. Co najmniej wynosić musi w gotowiznie rb. 250,000, która to suma pozostać musi nietknięta. Nauczanie odbywać się ma wyłącznie w języku polskim. Na nauczycieli i nauczycielki mają być przyjmowani Polacy i Polki bez różnicy wyznania. Dzieci polskie przyjmowane być mogą do szkół tych bez różnicy wyznania. Zapis ten ma być oddany w dwa lata po ustanowieniu samorządu miejskiego, a zarząd miasta najpóźniej w 1 rok po objęciu legatu ma otworzyć szkoły. W razie, gdyby miasto nie otrzymało samorządu, lub naruszyło warunki, ustanowione przez testatora, cały zapis przechodzi na rzecz Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie.

Ostatnie rozporządzenie świadczy o zapatrzeniu testatora w daleką przyszłość, w przykazanie umiłowanego nad wszystkich Juliusza, by „nieść przed narodem oświaty kaganiec.“ Pamięć zmarłego przetrwa długo w sercach licznych jego przyjaciół i znajomych; pamięć dobrego czynu trwać będzie wiecznie w fundacyi szkolnej i w sali muzealnej imienia ofiarodawcy.

ś. p. Jadwiga Krausharowa.

Jadwiga Krausharowa urodziła się w roku 1854, jako córka wybitnego archeologa i estetyka, Matiasa Bersona, potem wyszła za mąż za znanego i cenionego historyka, Aleksandra Kraushara.

Próbowała sił swych w nowelistyce, ogłaszając dwa subtelne drobiazgi powieściowe p. t. „Jedna noc“ i „Na Monte Pincio.“ Później zwróciła się do krytyki literackiej i ogłosiła drukiem cały szereg rozpraw i szkiców, wśród których wyróżniają się prace o duńskich pisarzach: Brandesie i Kierkegaardzie, o norweskim powieściopisarzu, Kiellandzie, i większe studyum o Alfredzie de Musset.

Najbliższymi węzłami pokrewieństwa złączona z przedstawicielami polskiej nauki, sztuki, literatury i dziennikarstwa, miała wszelkie warunki do spełnienia zadania, najbliższego jej sercu i upodobaniom, gromadzenia wokoło siebie jaknajszerszych kół tych przedstawicieli. To też dom pp. Krausharów w ostatnich latach był jednym z najwybitniejszych i najliczniej uczęszczanych salonów literackich w Warszawie, gdzie każdy, mile i gościnnie witany, mógł spędzić chwil kilka na ożywionej i zajmującej rozmowie. Licznych przyjaciół i znajomych, którzy wieść o zgonie ś. p. Krausharowej z niekłamanym żalem przyjęli, była gorąca miłość zmarłej dla kraju ojczystego. Urodzona i wychowana w religii mojżeszowej, nawróciła się na katolicyzm już w wieku dojrzałym, by się mocniejszymi węzły z Polską zespolić, a uczyniła to w szczerą wiarę, była bowiem odtąd przekonaną i praktykującą katoliczką do końca życia. Słusznie nad grobem podniósł to przywiązanie zmarłej do ziemi ojczystej prof. Władysław Smoleński, a słowom jego przyświadczyli wszyscy, którzy nieboszczkę znali i zacną, dobrą kobietę we wdzięcznej pamięci zachowali.

L. W.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— TOWARZYSTWO NAUKOWE WARSZAWSKIE. Na odbytem w dniu 10 z. m. posiedzeniu Wydziału I, p. Br. Chlebowski odczytał część I-szą pracy p. t. „Stanowisko Kraszewskiego w literaturze i życiu społeczeństwa,” przedstawiającą rozwój twórczości literackiej i różnorodnej działalności kulturalnej tego pracownika i pisarza w okresie od pojawienia się pierwszej oddzielnie wydanej powieści („Pan Walery“ r. 1831) do chwili opuszczenia Warszawy i kraju w początkach r. 1863. P. Fr. Pułaski odczytał komunikat o niewydanych dotąd pieśniach religijnych polskich z XV w., znajdujących się w rękopisach biblioteki hr. Krasieńskich i złożył kopie ich dla ogłoszenia w wydawnictwach Towarzystwa.

Pierwsze tegoroczne posiedzenie Wydziału III Towarzystwa odbyło się w dniu 11 z. m. Po odczytaniu nadesłanego przez p. Wł. Dziewulskiego wspomnienia pośmiertnego o ś. p. Janie Kowalczyku, uczczono pamięć zmarłego przez powstanie. Następnie p. Sławomir Miklaszewski wygłosił doroczne przemówienie inauguracyjne p. t.: „Rzut oka na rozwój pojęć gleboznawczych.“ Poczem przedstawiono komunikaty następujące: P. St. J. Thugutt: „O dzeolitach fonolitu maryenberskiego w Uściu Czeskiem.“ Tenże: „Nowe złoża metameronu natrolitowego.“ Tenże: „O ptylocicie i mordenicie.“ P. J. Tur: „Badania nad anomaliami jajnika ssaków.“ P. Ed. Lubecki: „O budowie przewodów płciowych u ślimaka winniczka (*Helix pomatia*)“ (przedstawił p. J. Tur).

W dniu 3 z. m. odbyło się posiedzenie Komisji do badań astronomicznych, geofizycznych i meteorologicznych przy Wydziale III. Na posiedzeniu tem wygłoszono następujące referaty: P. St. Landau: „Optyka ciał poruszających się z punktu widzenia danych doświadczalnych.“ P. B. Danielewicz: „O zastosowaniu rachunku prawdopodobieństwa do badań nad zmiennością opadu.“

Dnia 7 z. m. odbyło się posiedzenie Wydziału I. Na wezwanie przewodniczącego, p. Br. Chlebowskiego, obecni uczcili przez powstanie pamięć zmarłego w dn. 27 stycznia r. b. członka Wydziału, Leopolda Méyeta; poczem p. K. Appel wygłosił referat p. t. „Stanowisko językoznawstwa pośród innych nauk,“ w którym ustaliwszy to stanowisko, przeciwstawił lingwistykę filologii, wykazując stosunek lingwisty i filologa do zjawisk językowych.

— TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW HISTORII W WARSZAWIE. Sprawozdanie za rok 1911. Ubiegły rok zaznaczył się szeregiem reform w działalności Towarzystwa Miłośników Historii. Postanowiono zwiększyć ilość odczytów, urządzanych na zebraniach Towarzystwa, a nadto rozpocząć wydawnictwo popularnych, ale ściśle naukowych monografii, poświęconych dziejom Warszawy. Wykonanie tych planów stało się możliwem dzięki szczodrej ofierze mecenasa Kraushara, który na fundusz wydawniczy Towarzystwa złożył 700 rb., tudzież zobowiązał się pokryć koszty projektowanego przez siebie dzieła „Widoki Warszawy i jej okolic Karola Alberti'ego.“ Drugim hojnym ofiarodawcą, któremu Towarzystwo zawdzięcza rubli 250, był poseł do Rady Państwa, mecenas Stanisław Rotwand.

Szereg wydawnictw Towarzystwa rozpoczęła „Warszawa za książąt Mazowieckich,“ pióra Bronisława Chlebowskiego, w parę miesięcy po tem dziełku wyszła z druku praca d-ra Handelsmana „Warszawa w roku 1806-7.“ Więcej tomików w roku sprawozdawczym nie udało się wydać, natomiast zawczasu przygotowano szereg monografii, które ukazywać się będą w ciągu roku 1912.

W roku ubiegłym odbyły się 4 zwyczajne zebrania Towarzystwa, na których wygłoszono następujące odczyty:

- 1) P. Marceli Handelsman „Rezydenci napoleońscy w Warszawie.
- 2) P. Władysław Semkowicz: „Geneza szlachty polskiej i jej rozsiedlenie w wiekach średnich.“
- 3) Dr. Józef Bieliński: „Stosunek Królewskiego Uniwersytetu Warszawskiego do Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.“
- 4) P. Ignacy T. Baranowski: „Biblioteka Żałuskich w Warszawie.“

Nadto na zebraniach członków zwyczajnych Towarzystwa p.p.: Janusz Iwaszkiewicz, Tadeusz Korzon, Aleksander Kraushar i Henryk Mościcki wygłoszili referaty sprawozdawczo-krytyczne o nowych wydawnictwach historycznych.

Chcąc ułatwić wymianę myśli między historykami, zamieszkałymi w Warszawie, zorganizował zarząd w roku sprawozdawczym specjalną sekcję członków czynnych, która ma zająć się urządzaniem dyskusji na tematy naukowe, ogół historyków obchodzące.

Stosownie do uchwały, zapadłej 1910 r., w roku sprawozdawczym rachunkowość „Przeglądu Historycznego“ oddzielona była od rachunkowości Towarzystwa, którego członkowie złożyli ogółem na wydawnictwo „Przeglądu“ rubli 516 wzamian za 86 egzemplarzy tego wydawnictwa.

Zaznaczyć należy, że do ożywienia działalności Towarzystwa Miłośników przyczyniło się uzyskanie stałego lokalu przy ulicy Brackiej № 5.

Ilość członków zwyczajnych Towarzystwa w roku sprawozdawczym wynosiła, niestety, tylko 114. Jest to liczba niesłychanie mała, jeśli wziąć pod uwagę, że np. Towarzystwo Miłośników Historii w Krakowie liczy członków z górą tysiąc. Od pomnożenia ilości członków na przyszłość zależy dalszy rozwój naszej instytucji.

N O W E K S I A Ź K I.

— JÓZEF RADWAN, adwokat przysięgły z Kalisza: *Wskazówki prawne przy przejściu własności*. Warszawa, 1911. Nakładem warszawskiej spółki wydawniczej. Skład główny w księgarni E. Wendego i S-ki (T. Hiża i A. Turkuła). Wydawnictwo wydziału kółek Centr. Tow. Rolniczego w Królestwie Polskiem. № 10.

Książka niniejsza omawia w popularnej formie przepisy prawa, dotyczące spadków i działów, darowizn i testamentów, oraz kupna i sprzedaży. Wyjaśnia ona te części kodeksu cywilnego, z którymi najpospoliciej włościanie się stykają i przy których nieraz padają ofiarą wskutek nieznamomości prawa. Dla lepszego zrozumienia oddzielne przepisy tłómaczone są przykładami. Wydawnictwo to nadaje się w zupełności dla drobnych rolników.

W. D.

— STANISŁAW PÓLKOZIC-PLICHTA. *Pamiętnik z czasów 1863—1872*. Warszawa, 1911. Str. 203.

Bezpretensjonalna opowieść o losach powstańczych i kilkoletniem wygnaniu. Bez głębszej wartości historycznej, stanowi wszakże pewien przyczynek do odtworzenia tła obyczajowego tych czasów. Czyta się z zajęciem.

— MICKIEWICZ PO CZESKU. Do obfitego już zbioru przekładów dzieł Mickiewicza na język czeski („Dziady“ tłómaczył Vrchlicky, „Pana Tadeusza“ Eliza Krasnoborska, „Konrada Wallenroda“ J. Śladek, „Sonety“ Jaromir Borecki), przybył obecnie świeżo ogłoszony w wydawnictwie Akademii czeskiej „Shornik svétové poesie,“ tom przekładów dokonanych przez Franciszka Kva-pila, zawierający „Grażynę,“ utwory drobniejsze z „Odą do młodości,“ „Farysem,“ „Redutą Ordonu,“ oraz „Księgi pielgrzymstwa narodu polskiego.“ Ten ostatni przekład zaopatrzył tłómacz osobnemi objaśnieniami. Przekład pod względem formy pozostaje na wysokości zadania.

CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— SFINKS. Czasopismo literackie, artystyczne i naukowe, wydawane i redagowane przez Władysława Bukowińskiego. Rok V. T. VII. Styczeń, 1912. Warszawa. Treść: Marya Bukowińska (wspomnienie pozgonne); — Dr. Aleksander Kołtowski: Giorgio Vasari; — Kazimierz Gliński: Z nocy bezsen-nych;—Aleksander Kraushar: Dramat szkolny kaliski w roku 1826;—Stanisław Przybyszewski: Mocny człowiek (c. d.); — Michał Sobeski: Z psychologii twórczości;—Jadwiga Zipińska: Czuwajcie;—Marian Zbrowski: Sonety;—Wacław Makowski: Rok 1905 w literaturze polskiej;—Z. Jahołkowska-Koszutska: Z od-dali (c. d.); — Eljan: Jak odłamana gałąź (c. d.); — Wł. Bukowiński: Na fali;—Przeglądy i sprawozdania;—Dodatki artystyczne;—Rysunki i winiety.

— KSIĄŻKA. Miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej. Warszawa. Luty, 1912. Treść: Nasze miesięczniki literackie;—Krytyka: Appel Karol: Język i sztuka. Lingwistyka i estetyka. Streszczenie;—Barwiński Euge-niusz, dr.: Dyaryusze i akta sejmowe z roku 1591—1592; — Beecher Stowe H.: Chata Wuja Toma;—Bornstein Benedykt: Zasadniczy problemat teorii pozna-nia Kanta; — Cornish J. P.: Świat zwierząt. Zwierzęta ssące; — Czarnik Broni-sław, dr.: Daty z lat szkolnych Augusta Bielowskiego;—Tenże: Pierwsze utwory poetyczne Augusta Bielowskiego; — Danrit kapitan: Człowiek-ptak; — Dawid J. Wł.: O intuicyi w filozofii Bergsona; — Dąbrowski Tomasz, ks.: Homilie na niedziele i uroczyste święta całego roku; — Finkel Ludwik, dr.: Elekeya Zyg-munta I-go. Spory dynastji Jagiellońskiej i Unii polsko-litewskiej; — Flaubert Gustaw: Pani Bovary; — Gabryel Fr., ks. dr.: Filozofia ks. arcybiskupa Igna-cego Hołowińskiego. Idee filozoficzne ks. Stanisława Chołoniewskiego; — Gą-siorowski Leon, ks.: O czystości panieńskiej, środkach do jej zachowania i grzechu przeciwnym tej enocie;—Gąsiorowski Wacław: Szwoleżerowie gwar-dyi; — Hajota: Dar Heliogabala; — Holleman A. F., dr. prof. chemii na uni-wersytecie w Amsterdamie: Podręcznik chemii organicznej; — Jahołkowska Ludwika: W domu; — Krzywicki Ludwik: Początki własności indywidualnej;—Morawska Z.: Na zgliszczach Zakonu; — Newcomb Simon: Astronomia dla wszystkich, wykład popularny zjawisk niebieskich; — Ottonówna: Z bożej ła-ski; — Pigoń Stanisław: O księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego A. Mic-kiewicza;—Przerwa-Tetmajer Kazimierz: Janosik Nędza Litmanowski;—Rocz-nik Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie, 1910;—Rozwadowski Jan: Współ-czesny stan językoznawstwa indoeuropejskiego; — Sienkiewicz Henryk: W pu-styni i w puszczy;—Stattler-Jędrzejewiczowa Marya: Madej;—Sterling Wł., dr.: Psychologia doświadczalna w zastosowaniu do badań nad dziećmi;—Straszew-ski M, dr. prof. filoz. w Uniwersytecie Jagiellońskim: W dążeniu do syntezy. Pomysły i szkice z lat 1877 do 1907;—Szczepański Ludwik: Przewrót;—Tylor Edward B.: Antropologia; — Wydawnictwa Komitetu obchodu setnej rocznicy urodzin Juliusza Słowackiego we Lwowie: — Zaleski Władysław: Ku gwiaz-dom; — Żyżkowski Stanisław: Nędza. Studium powieściowe; — Pod prasą; — Kronika;—Czasopisma;—Bibliografia;—Ogłoszenia.

BIBLIOGRAFIA.

KSIAŻKI NADEŚLANE DO REDAKCYI.

ANNUAIRE DE L'UNIVERSITÉ DE SOFIA, 1909 — 1910. I Faculté Historico-Philologique. Sofia, 1911.

BALZER OSWALD: Skartabelat w stroju szlachectwa polskiego. Kraków, Akademia Umiejętności, 1911. Nakładem Funduszu Nestora Bucewicza. Skład główny w księgarni „Spółki Wydawniczej Polskiej.“

BIEDRZYCKI STEFAN, INŻ.: Zarys mechanicznej uprawy roli, z 55 rysunkami w tekście, oraz dodatkiem: O uprawie motorowej. Wydanie drugie uzupełnione. Wydawnictwa Centralnego Towarzystwa Rolniczego w Królestwie Polskiem. Serya druga (Zarysy). Warszawa, 1912. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

BONIECKI ADAM: Herbarz polski. Tom XVI, zeszyt IX. „Lipscy — Lisienicy.“

BOUGAUD E., biskup. zawał.: Św. Wincenty à Paulo. Żywot i prace. Tom II. Warszawa. „Biblioteka Dzieł Chrześcijańskich.“

CZAJKOWSKI MICHAŁ: Stefan Czarniecki. Powieść historyczna. Tom drugi. „Biesiada Literacka.“

D'ANGOULEME MAŁGORZATA: Opowiadania. Według dokumentów, zebranych przez Le Roux de Lincy i Montaignon. Tłómaczył St. Moulin. Lwów. „Wydawnictwo Kultura i Sztuka.“ Warszawa, E. Wende i S-ka.

EJSMOND JULIAN: Bajki i prawdy. Warszawa, 1912. „Biblioteka Dzieł Wyborowych“

EPIKTET. Podręcznik (Pamiętnik moralności stoickiej). Przełożył i wstępem opatrzył Józef Jankowski. Warszawa, 1912. Nakład księgarni Sadowskiego. „Biblioteczka Hermetyczna.“

FALKOWSKA STANISŁAWA: Lilie cmentarne. Poezye. Wilno, 1911. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka w Warszawie.

FINOT JAN: Nauka szczęścia. Księgi życia i ducha. Nakładem M. Arcyta w Warszawie. Z upoważnienia autora przełożył z francuskiego Antoni Krasnowolski.

FOUARD G., ks.: Święty Paweł i jego prace misyjne. Tłómaczył ks. J. Bromski. Tom II. Warszawa, 1912. „Biblioteka Dzieł Chrześcijańskich.“

GOŁĄB JULIAN, Ks. Doktor św. Teologii, archiwaryusz Kapituły, katedr. krak.: Starania polskie o sobór powszechny i reformę Kościoła za pontyfikatu Klemensa VII (1523 — 1534). Studium historyczne. Kraków, nakładem autora. G. Gebethner i S-ka. 1911.

GORCZYŃSKI BOLESŁAW: Na tropie trucizny. Roman. Warszawa, 1912. Nakład Tow. Akc. Wydawniczego „Świat.“

GÓRZYŃSKI KS. WŁ.: Rozwój historii sztuki wśród innych narodów i w Polsce. Włocławek, 1912. Drukarnia dyecezyalna.

JANISZEWSKI BOGDAN: Gruźlica była rogatego i walka z nią. Z 8-ma rysunkami w tekście i tablicą barwną. Wydawnictwa Centralnego Towarzystwa Rolniczego w Królestwie Polskiem № 8. Warszawa, 1912. Skład główny w księg. Gebethnera i Wolffa.

JEŻEGODNIK GAZETY „RIECZ“ na 1912 rok. Petersburg. Wydanie redakcyi gazety „Riecz.“

KATALOG ROZUMOWANY wydawnictw „Biblioteki Dzieł Chrześcijańskich“ i Kalendarz „Biblioteki Dzieł Chrześcijańskich“ na rok 1912. Warszawa. Gebethner i Wolff.

KORZON TADEUSZ: Dzieje wojen i wojskowości w Polsce. Epoka przed-rozbiorowa. Tom I, z ilustracjami, wykonanemi podług pomników przez Bronisława Gembarzewskiego, i mapą, narysowaną przez Jadwigę z Prószyńskich Rogową. Tom II, z ilustracjami, wykonanemi podług pomników przez Bronisława Gembarzewskiego. Tom III, dokończenie epoki porozbiorowej. Rozdział o broni i uzbrojeniu oraz epokę porozbiorową opracował Bronisław Gembarzewski. Kraków, 1912. Akademia Umiejętności. Nakładem funduszu Nestora Bucewicza. Skład główny w księgarni Spółki Wydawn. Polskiej.

KOSIAKIEWICZ W.: Gąsiorkowski. Powieść. Tom I. Warszawa. „Biblioteka Dzieł Wyborowych.“

LANGJE JÓZEF: W poszukiwaniu drogowskazu. Wstęp do programu politycznego. Warszawa, 1911.

LUTOSŁAWSKI WINCENY: Na drodze ku wielkiej przemianie. Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

MARDEN O. S.: Siła ducha i spokój życia. Przełożyła z angielskiego Marya Kreczkowska. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie. „Księga życia i ducha.“

MARY EVEREST BOOLE: Przygotowanie dziecka do wiedzy ściślej. Z angielskiego przełożyła Marya Sadzewiczowa. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka. „Biblioteka życia codziennego.“

MINKOWICZ-WYSOCZAŃSKI BRONISŁAW: Wyklęci. Tryptyk dramatyczny. Lwów, 1912. Nakładem księgarni H. Altenberga.

OLLIVIER EMIL: Ze wspomnień ministra. Przekład Z. G. Wstępem poprzedził Fr. Rawita-Gawroński. Lwów, 1911.

ORZESZKOWA ELIZA: ...I pieśń niech zapłacze. Z 6-iu ilustracjami St. Bagińskiego. Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka. „Ciekawe Powieści.“

PAWŁOWSKI BRONISŁAW, D-R: Zajęcie Lwowa przez Austryę 1772 r. Z 17 rycinami w tekście. „Biblioteka lwowska,“ wydawnictwo Tow. Miłośników przeszłości Lwowa. Tom XVI, Lwów, 1911.

PERETIATKOWICZ A., D-R: Prąd nowy w prawoznawstwie (Studjum prawno-filozoficzne). Referat na V Zjazd prawników i ekonomistów polskich. Lwów, 1912.

PODRĘCZNA ENCYKLOPEDIA KOŚCIELNA, opracowana pod kierunkiem ks. ks.: St. Galla, J. Niedzielskiego, H. Przędzieckiego, Cz. Sokołowskiego, A. Szlagowskiego, J. Gautier i redaktora ks. Zygm. Chełmickiego. Wydawnictwo „Biblioteki Dzieł Chrześcijańskich.“ Tom XXV — XXVI. Warszawa, 1911. Skład główny w księg. Gebethnera i Wolffa.

PROGRAM DZIAŁALNOŚCI TOWARZYSTWA GNIAZD SIEROCYCH. Broszura zaopatrzona w szczerze uznania dla działalności Gniazd Sierocych Henryka Sienkiewicza, Maryi Konopnickiej i Elizy Orzeszkowej. Warszawa, Miodowa 3.

PURWIN JAN: Spółki pieniężne. Wydawnictwo wydziału Kółek Centr. Tow. Rolniczego w Królestwie Polskiem № 14. Warszawa, 1912. Nakładem Warszawskiej Spółki Wydawniczej. Skład główny w księg. E. Wende i S-ka.

RAPACKI WINCENTY: Hanza. Powieść z XV wieku z 6-iu ilustracyami. Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka. „Ciekawe Powieści.“

REYMONT ST. WŁADYSŁAW: Ave Patria. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

RHYS DAVIDS T. W.: Buddyzm, zarys życia i nauk Gotamy Buddy. Z upoważnienia autora z 20 wydania oryginału przełożył St. F. Michalski. Warszawa, 1912. Wydawnictwo „Ultima Thule.“

ROZPRAWY wydziału Matematyczno-Przyrodniczego Akademii Umiejętności. Serya III, tom II, dział A. Nauki Matematyczno-Fizyczne. Kraków, 1911. Nakładem Akademii Umiejętności. Skład główny w księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej.

RZEWUSKI HR. ADAM: Jego żarłoczna mość—Burak... Szkice ukraińsko-kontraktowe. Nakładem księgar. Idzikowskiego w Kijowie. Warszawa — Kijów, 1912.

SINKO TADEUSZ: Polski Anti-Lukrecyusz. Kraków, 1911. Nakładem Akademii Umiejętności. Skład główny w księgarni Spółki Wydawn. Polskiej.

SLOVANSTVO. Obraz jeno minulosti a přítomnosti. Napisali: D-r Jaroslav Bidlo, D-r Ant. Boháč, D-r Vratislav Černý, D-r Václ. Dvorský, D-r B. Franta, D-r Jiří Guth, Jan Hejrit, Antonitz Jirak, D-r Karel Kadlec, D-r H. Máchal, D-r Zd. Nejedlý, D-r B. Prusik, F. J. Rambousek, D-r Josef Seneiner, Tr. Táboorský. S Mapou Slovanstva. V Praze. 1912 r.

SPRAWOZDANIE Komisji Fizyograficznej Akademii Umiejętności w Krakowie, obejmujące pogląd na czynności, dokonane w ciągu roku 1910, oraz Materyały do fizyografii krajowej. Tom czterdziesty piąty, z 7-ma tablicami. Kraków, 1911. Nakładem Akademii Umiejętności. Skład główny w księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej.

SPRAWOZDANIA z posiedzeń Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Listopad. Warszawa, 1911. Nakładem Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ki.

STADNICKI ANTONI: Na obu półkulach. Wrażenia i listy z podróży. Kraków, D. E. Friedlein. Warszawa, E. Wende i S-ka, 1911.

SZCZĘSNY A.: To, co się stało. Poezye (pod znakiem poetów. Warszawa, 1911.

SZKOŁA REALNA IMIENIA STASZICA, utrzymywana przez Stowarzyszenie Techników w Warszawie. Warszawa, 1911. Nakładem Szkoły Realnej imienia Staszica.

TARNOWSKI STANISŁAW: Zygmunt Krasiński. Tom I i II. Kraków, 1912. Akademia Umiejętności. Nakładem funduszu Nestora Bucewicza. Skł. główny w księgarni Spółki Wydawn. Polskiej.

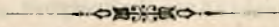
TRUSZKOWSKI ANTONI: Poezye. Kijów, 1912. Skład główny w księgarni Leona Idzikowskiego.

WEYSSENHOFF JÓZEF: Znaj Pana. Nowele. Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

WROŃSKI-HOENE: Propedeutyka Mesyaniczna. Zasady Filozofii Absolutnej. Przekład i słowo wstępne Józefa Jankowskiego. Warszawa, 1912. St. Sadowski. „Biblioteczka Hermetyczna.“

ZARZECKI Z.: Uwagi metodyczne o nauczaniu arytmetyki początkowej. Wydawnictwo imienia Staszica. Staraniem Stowarzyszenia nauczycielstwa polskiego. Warszawa, 1911. „Książnica wychowawcza.“ Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

ŹRÓDŁA DO HISTORII SZTUKI I CYWILIZACJI W POLSCE. Wydał Adam Chmiel. Tom I. Wydawnictwo Komisji do badania historii sztuki w Polsce Akademii Umiejętności. Kraków, 1911. Nakładem Akademii Umiejętności. Spółka Wydawnicza Polska.



Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURZYCY hr. ZAMOYSKI.

SPIS RZECZY
ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM
z roku 1912.

F I L O Z O F I A.

	Str.
NEOWITALIZM,—przez <i>Bohdana Rutkiewicza</i>	100
METODY W ESTETYCE,—przez <i>Michała Sobieskiego</i>	540

H I S T O R Y A.

WSPOMNIENIA Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI,—przez <i>Henryka Wier-</i> <i>cieńskiego</i>	14, 239 i 443
PRZYSIĘGA KOŚCIUSZKI,—przez <i>Szymona Askenazego</i>	477
BIGNON I SPRAWA POLSKA PO r. 1831,—przez <i>Marcelego Handelsmana</i>	550

HISTORIA LITERATURY.

PIOTR SKARGA,—przez <i>d-ra Tadeusza Grabowskiego</i>	1
Z AKTÓW SŁAWNEJ PRZYJAŹNI (Korespondencya Krasińskiego z Au- gustem Cieszkowskim),—przez <i>Adama Żółtowskiego</i>	56
STANISŁAW TREMBECKI,—przez <i>Maryana Szyjkowskiego</i>	209
JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI,—przez <i>Bronisława Chlebowskiego</i>	409
NIEZNANY POEMAT POLSKI Z WIEKU XVII,—przez <i>Romana Pollaka</i>	492

SZKICE LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

EWOLUCYONIZM W HISTORII LITERATURY,—przez <i>d-ra Mauryce-</i> <i>go Manna</i>	87
---	----

MALARSTWO HOLENDERSKIE,—przez <i>Konrada Ostrowskiego</i>	<i>Str.</i> 119
RUCH LITERACKI W NIEMCZECH,—przez <i>d-ra Józefa Flacha</i>	275
FRYDERYK MISTRAL,—przez <i>Orwida</i>	305

SZKICE FILOLOGICZNE.

POLSZCZYŻNA NA GÓRNYCH WĘGRZECH,—przez <i>G. Smólskiego</i>	326
---	-----

SZKICE SPOŁECZNE.

SZKOLNICTWO UZUPEŁNIAJĄCE NA ZACHODZIE,—przez <i>Bronista- wa Bouffała</i>	142
--	-----

R O Z M A I T O Ś C I.

HAŁSZKA Z OSTROGA I PODLASCY JEJ LENNICZY,—przez <i>d-ra Igna- cego T. Baranowskiego</i>	362
--	-----

K R Y T Y K A.

JÓZEF WEYSSENHOFF: „Soból i panna,—przez <i>Henryka Gallego</i>	159
EDMUND KOŁODZIEJCZYK: „Ludność polska na Górnych Węgrzech,— przez <i>W. D.</i>	164
JERZY ZUŁAWSKI: „Gród słońca,—przez <i>M. Kridla</i>	166
„Przyczynki do dziejów wychowania i oświaty w Polsce,—przez <i>d-ra Z. Bujakowskiego</i>	171
BARWIŃSKI EUGENIUSZ D-R: „Dyaryusze i akta sejmowe z r. 1591 — 1592,—przez <i>I. B.</i>	175
WŁADYSŁAW FEDOROWICZ: „1809. Campagne de Pologne,—przez <i>Mar- celego Handelsmana</i>	177
KS. DR. LUDWIK ZALEWSKI: „Sztuka rymotwórcza Franciszka Ksawere- go Dmochowskiego”—przez <i>A. Drogoszewskiego</i>	368
„Ostatnie prace z dziejów muzyki polskiej,—przez <i>d-ra Józefa Wła- dyśława Reissa</i>	379
HENRYK SIENKIEWICZ: „W pustyni i w puszczy,—przez <i>Henryka Gallego</i>	582
MARCELI HANDELSMAN: „Pamiętnik Jana Olrycha Szanieckiego,—przez <i>d-ra Żeliszława Grotowskiego</i>	585
ARTUR HAUSNER: „Odrodzenie Galicyi a drogi wodne,—przez <i>Wacława Dunina</i>	590

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Str.

STYCZEŃ:

Pod znakiem spraw polskich. — Walka o wolność sumienia przed forum Rady Państwa. — Trzy etapy sprawy polskiej w Izbie. — Interpelacya o tajne nauczanie przyjęta. — O rolę Żydów w samorządzie. — Deklaracya Koła i stosunek do niej różnych opinii. — Sprawa chełmska. — Memoriał mniejszości. — Rozprawy historyczne i mowy posłów polskich. — Na rok nowy. — Towarzystwo Naukowe we własnej siedzibie 180

LUTY:

Spełniony cios. — Kolej wiedeńska w ręku rządu. — Pierwsze następstwa. — Z historii drogi. — Otwarcie Sejmu galicyjskiego. — Prolog: egzekucya pośła Milewskiego. — Polityka namiestnika przed sądem Koła Sejmowego. — Czerwony parlament. — Rezultaty wyborów polskich w Niemczech. — Polemika o młodzież współczesną. — Rozprawy chełmskie i głosowanie Izby 387

MARZEC:

Sprawa biskupa i jej następstwa. — Trzy wzmianki prawodawcze Koła Polskiego. — Pomniejszyciele olbrzymów. — O stanowisko Koła Polskiego w parlamencie niemieckim. — Huberband jako imię i zjawisko pospolite w dziejach naszej bankowości 591

WSPOMNIENIA POZGONNE.

ś. p. Wacław Karczewski, ś. p. Grzegorz Smólski, ś. p. Stanisław Markiewicz i ś. p. Jan Kowalczyk, — przez *L. W.* 192
b. p. Leopold Meyet i ś. p. Jadwiga Krausharowa, — przez *L. W.* 602

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

STYCZEŃ 198
LUTY 403
MARZEC 605